PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt V. Miesiąc Luty 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA

u historyków, w rzeczywistości i w poezyi.

Któż nie słyszał o Barbarze? Kto o niej nie czytał, kto wreszcie nie pisał o niej? ma się ochotę powtórzyć za autorem Historyi Wilna, zabierając się do nowej pracy o tej królowej, której losy tyle już znakomitszych i mniej znakomitych umysłów zajęły i tyle papieru zapełniły drukiem. Specyalne badania takich uczonych, jak Baliński, Przezdziecki, szkic Szajnochy i tuzin blisko utworów poetycznych, między którymi jeden przed wielu laty nawet bardzo u nas głośny, a i dziś jeszcze mimo zmiany smaku i wyobrażeń, cieszący się niepośledniem powodzeniem na scenie polskiej — wszak takim inwentarzem literackim nie poszczyci się podobno nawet Jadwiga, a cóż dopiero inne mniej znane i mniej sympatyczne figury naszej historyi.

A jednak ma ten nieledwie zużyty temat jeszcze jednę stronę ciekawą, ponętną, a niewyzyskaną dotychczas. Któryś z pisarzy podniósł pytanie, zkąd pochodzi popularność Barbary; czy przyczyną jej jest dramat Felińskiego, czy też naodwrót sympatyczności bohaterki zawdzięczają swe rozpowszechnienie, utwory o niej traktujące. O ileż godniejszym zastanowienia wydaje mi się inny fakt: oto jak ta, którą Szajnocha nazywa „jedną z najmilszych postaci fantazyi polskiej,“ a ktoś inny w ogóle „jedną z najpopularniejszych i najpoetyczniej-

szych postaci XVI wieku," mimo to niedostatecznie musi powszechnie być znaną, kiedy z tylu poetów każdy tak odmiennie ją pojął.

Nie jestże interesującem porównanie tych różnych Barbar, jakie z jednej Barbary utworzyła fantazya poetów i niepoetów? Nie wartoż w tym celu zbliska im się przypatrzyć, zestawić je i ocenić, o ile i pod jakim względem jedna jest wyższą od drugiej, lub niższą od innej. A nie myślę tu o wartości dramatów czy powieści, o tem nieraz już pisano; lecz jedynie o samym charakterze Barbary, jak jest pojęty i przedstawiony.

Zakres i ten dość obszerny. Raz widzimy ją jako kobietę namiętną, gwałtowną, rozgorączkowaną, prawie pół waryatką; to znów jako spokojną, rozważną osobę, kierującą się przedewszystkiem rozsądkiem i cnotą; tam jest mężną żoną, podtrzymującą słaby charakter męża, nawet heroiną gotową dla ojczyzny zrobić ofiarę z wszystkiego, z samego serca; gdzieindziej rozmarzona, mówi wciąż patetyczne frazesy, szuka zawsze pięknych porównań i byle czem się egzaltuje. Doprawdy w kłopocie byłby, ktoby z samej literatury pięknej chciał sobie zrobić obraz prawdziwej Barbary, choć przybliżony. Notabene, wszystkie te dramaty i powieści przedstawiają Barbarę w jednej i tej samej epoce życia.

Lecz, czyż z tego będziemy czynili zarzut poetom? Czy kto z poezyi zechce uczyć się historyi?

Są w estetyce, jak zresztą w każdym kierunku umiejętności, pytania, które wiecznie rozwiązywane, rozwiązanemi podobno nie będą nigdy, niejako zapory każdemu w drogę wchodzące, które przemódz trudno, pominąć niepodobna. — Cóż z tego, że niejednemu się zdaje, iż je raz na zawsze usunął; idzie dalej, nie domyślając się, że pierwszy lepszy płód talentu zwali jego teorye, a jego następcy znów te same przeszkody napotykają, z któremi on walczył.

O takie pytanie właśnie potrąciliśmy w tej chwili: jaką rolę w poezyi, zwłaszcza w dramacie historycznym, gra strona historyczna treści? Zwolennicy realizmu twierdzą, że prawda, że historya ludzkości jest najwyższą poezyą, i cytują zaraz Shakespeara dramaty z dziejów angielskich, w których nieledwie każde słowo jest historycznem. Naprzeciw nim podniosą

się znów idealiści, i odwołując się na takie powagi, jak Lessing, Schiller, powiedzą, że najwyższą prawdą jest prawda poetyczna, że dramat ma prawo zmieniać historyę, albowiem przedstawiając człowieka takim, jakim w danych okolicznościach z natury swej byćby powinien — a to przeczuwa poeta — osiąga dużo szczytniejszy cel, i silniejszą nosi cechę prawdy, niż gdyby tylko był odbiciem wiernem pewnych szczególnych, przypadkowych faktów.

Daremną byłoby zarozumiałością kusić się o rozstrzygnięcie tak ważnej a trudnej kwestyi, której nie podołało tyle wielkich umysłów. Lecz chcący porównywać i oceniać poetyczne przedstawienia osoby historycznej, musi koniecznie wprzód naznaczyć swoje stanowisko w kwestyi zasadniczej, która tu nabiera największej wagi.

Nie da się zaprzeczyć, że bohaterowie historyczni, pod pewnym względem tak dla poetów ponętni, jak wszystko co nosi piętno rzeczywistości, przedstawiają tę niedogodność dla dramatyków i powieściopisarzy, że czytelnik lub widz zawsze jest skłonny do porównywania ich z tem, co o nich wie z historyi, z gotową ideą, którój pozbyć się niełatwo, zwłaszcza jeśli to są postacie bardziej znane. Jeśli więc autor według swego planu poczynił w rolach lub charakterach tych osób jakie zmiany, robią one nam wrażenie dyssonansów, przeszkadzających do używania estetycznych piękności.

Ztąd atoli nie wynika zaraz, aby rzetelność historyka była obowiązkiem poety podobne przedmioty traktującego. — W obecnym stanie krytyki nikt zapewne nie będzie jej wymagał co do zdarzeń historycznych, lecz mówię głównie o wierności co do charakterów. Naprzeciw zwolennikom Ryszarda III może każdy powołać się (żeby innych nie wspomnieć) na Wallensteina, który, jak twierdzi historya, wcale nie był ani tak marzycielskim, ani tak zabobonnym, ani z taką bezwzględnością i pogardą przeszkód idącym naprzód, jakby za głosem wyższego natchnienia, jakim go odmalował Schiller. Historya stwierdza, że był on wprawdzie nie ze zwykłych egoistów, naturą fantastyczną, samowolną, wodzem, który miał nader śmiałe i wysokie plany i który umiał do pewnego stopnia zawładnąć politycznemi stosunkami swego czasu, ale dopiero pod sam koniec swej karyery, jakby fatalizmem wiedziony, podążył

na ślepo naprzeciw swemu smutnemu przeznaczeniu. W astrologią wierzył zapewne nie więcej niż ogół spółczesnych mu ludzi. A jednak mimo że poeta tę właśnie mniej wybitną stronę jego charakteru, tę skłonność do skrytej i dwuznacznej gry, zaciekanie się w najgłębsze zagadki życia, wiarę w tajemnicze potęgi i wynikający z niej brak stanowczości uczynił głównym czynnikiem jego roli i powodem zguby, niemniej przeto Walenstein jest jedną z największych kreacyj dramatycznych.

Ani pierwsze tedy, ani drugie z obu wspomnianych zapatrywań nie jest absolutnie słusznem. Najbezpieczniej wydaje nam się pomiędzy niemi obrać stanowisko pośrednie. W tej bowiem całej trudne do rozwikłania sprawie, cóż można uważać za pewne? Oto, że najwyższem kryteryum i jedynem prawem dramatu i poezyi całej jest wrażenie estetyczne; a dalej, że jak to zwięźle wyraził Schiller w rozprawie *O patetycznem*: *Es ist die poetische u. nicht die historische Wahrheit, auf welche alle ästhetische Wirkung sich gründet.*" Jeżeli dramat jako dramat jest arcydziełem, nikt nie będzie mu czynił zarzutu z wykroczeń przeciw historyi, ale też mogą być także zmiany rzeczywistej osnowy, które zamiast na pożytek, muszą wyjść na szkodę samego utworu, a wtedy nie mamy powodu być dla nich pobłażliwymi.

Pomiędzy prawdą poetyczną a historyczną, jako modyfikacyami prawdy jednej bezwzględnej, nie zachodzi stosunek podrzędności, ale zupełna współrzędność, ani też nie ma przeciwieństwa, tylko pewne różnice. Owszem ścisły jest tam związek i łatwo znaleźć równowagę.

Mając o tem wiadomość, jesteśmy w możności wyprowadzić niektóre wskazówki, według których dadzą się oceniać postacie dramatów historyczne.

Naprzód już sam prosty zdrowy rozum dyktuje, że między imieniem historycznem a przedstawioną pod niem postacią musi zachodzić co do charakteru przynajmniej niejakie podobieństwo, któreby usprawiedliwiło ich połączenie. Bo jeśli one ze sobą nie mają nic wspólnego, to daleko krócej tym postaciom nie dawać imion historycznych.

Powtóre zmiany częściowe dokonane w istocie charakteru, jakkolwiek często są nierażące, nie powinny być dowolne, przypadkowe, lecz uzasadnione dobrze i konieczne, tak aby oczy-

wistą była ich potrzeba. Inaczej bowiem trzebaby chyba przyjąć bezwzględną wyższość prawdy poetycznej nad historyczną.

Jeżeli wreszcie poeta widzi się zmuszonym charaktery historyczne modyfikować wedle potrzeb swego dramatu lub powieści, musi zawsze mieć na oku, że owej najwyższej instancyi, wrażenia estetycznego, niezbędnym warunkiem jest ścisłe prawdopodobieństwo. Wszak nawet według najzagorzalszych idealistów wyższość prawdy poetycznej polega tylko na bezpośredniem uwidocznieniu praw ogólnych natury ludzkiej, a więc na naturalności, na psychologicznej konsekwencyi. Nie godzi się zatem czynić np. jednego z czynników nawet istotnych rzeczywistego charakteru, jedynym motorem całego działania postaci poetycznej; bo choć niekiedy i zdarzają się w historyi charaktery tak jednostronne, to przecież są rzadkiemi wyjątkami, wcale niestósownemi na reprezentantów człowieka, na typowe postacie. Takiemi są wszystkie uosobienia jednej z cnót lub namiętności, albo też samych cnót czy samych wad, które będą zawsze czemś niedokończonem, gdyż takich ludzi nie spotyka się w świecie, tylko w krainach fantazyi. W komedyi molierowskiej nie robią tego rodzaju personifikacye złego wrażenia, ile że gdzie chodzi o wyszydzenie ludzkich ułomności, tam zarówno przy tworzeniu jak i przy ocenieniu rozum jest główną sprężyną; lecz najgorsze muszą wywoływać w dramacie poważnym, w tragedyi historycznej, gdzie chodzi o wzbudzenie współczucia, a tego nie wzbudzi automat poruszany jedną namiętnością, tylko człowiek nam podobny, będący zbiorem wielu rozmaitych popędów ludzkich. Musimy tam ciągle czuć, że Henryk VIII lub Marya Stuart, choć nie byli zupełnie tacy, jakimi ich arcydzieła dramatu przedstawiają, przecież takimi być mogli, owszem prawie zrozumialsi by nam byli niż historyczni; w ogóle że to są postacie, co powodują się ogólno ludzkiemi uczuciami, co mają pod skórą krew i kości, a nie fikcye, które ożywione jakimś cudem, nie mogłyby chodzić po ziemi, bo im brak najistotniejszych warunków ludzkiej natury, bo nie są całkowitymi ludźmi.

To są główniejsze, jak sądzę, uwagi, któremi kierujemy się przy ocenianiu charakterów poetycznych z historyi wziętych. Nie są one zbyt drobiazgowe; ależ bo w przedmiocie tak subtelnym, a tak obszernym, trudno wdawać się w szczegóły,

bez napotkania na każdym kroku trudności nie do rozwikłania. W teoryi trzeba się kontentować najwyraźniejszemi wskazówkami, reszta w praktyce znajdzie się sama. W ogólności zdaje mi się, że co do wspomnionych zmian można dalej rozwinąć napomknięte już porównanie z dyssonansami i powiedzieć, że tak jak w muzyce najfałszywszy dyssonans czasem, i bardzo często, wywołuje znakomity efekt estetyczny, jeśli jest dobrze umotywowany, przygotowany i rozwiązany, tak też i powyższe zmiany, same w sobie wstrętne, mogą zarówno najlepsze jak i najgorsze zrobić wrażenie, według tego czy są potrzebne i w należyty sposób uczynione lub też nie.

Z tego zapatrywania się na stosunek historyi do poezyi historycznej wypływa naturalnie, że za nieobojętną rzecz uważać będziemy historyczną stronę bohaterów dramatów i powieści, i że zechcemy uwzględnić naprzód, jakie zmiany w ich charakterach poczyniono, aby osądzić potem, czy są potrzebne i odpowiednie.

W ocenieniu przeto licznych przedstawień Barbary, w których ta interesująca postać naszych dziejów tak rozmaicie została pojętą, będziemy za punkt wyjścia uważać charakter jej rzeczywisty. Dlatego część główną tej pracy, estetyczną, poprzedzi obraz Barbary, jaki nam dają badania naukowe.

Atoli wobec wyczerpujących dzieł historycznych w tej właśnie materyi, jakie posiada nasza literatura, może się komu wydawać zbytecznem zajmowanie się tym przedmiotem. Dla wytłumaczenia się muszę z góry zapewnić, że nie mam też wcale pretensyi wyświecać coś nowego lub niejasnego w dziejach Barbary; wydana korespondencya tak jej samej jak i osób z nią w styczności będących z całej najważniejszej epoki życia, dostatecznem jest źródłem do jej poznania.

Wypada jednak przypomnieć główne punkty, które być mogą podstawą sądu naszego o niej. A praca ta nie jest wcale zbyteczną; jakżeż to bowiem utrudnione jest utworzenie sobie jasnego obrazu o jej charakterze z obszernych owych dzieł źródłowych, jak on tam spleciony z mnóstwem szczegółów historycznych i archeologicznych, zpośród których dopiero z mozołem trzeba wyłączać rysy, nas tu jedynie obchodzące. To daje prawo przypuszczać, że bądź co bądź znaczna jest liczba , c o choć znają te dzieła, nie utworzyli sobie takiego

zarysu charakteru Radziwiłłówny, jaki nam będzie potrzebny Braku zaś tego nie zastąpią przystępniejsze opowiadania z drugiej ręki, gdyż nie są ani bezstronne, ani całkiem dokładne. Jeśli obok rysów charakteru będą nas zajmować także szczegóły faktyczne, biograficzne, to tylko o ile przyczyniają się do objaśnienia strony psychologicznej, albo też o ile bez potrzeby zostały przez poetów powikłane i przekształcone.

Jednakowoż i na tem poprzestać nie można. Interesującą i pouczającą już wprawdzie jest rzeczą porównać Barbarę poetów z rzeczywistą; lecz oceniając historyczną stronę tego lub owego utworu, trzeba jeszcze przenieść się w epokę, kiedy on powstał. Główna część źródeł do dziejów żony Zygmunta Augusta wyszła na jaw w najnowszych czasach przeważnie roku 1837; trudnoż je brać w rachubę wobec wcześniejszych utworów i poczytywać za samowolność np. Felińskiemu nieuwzględnienie ich w r. 1818. Do tych utworów musimy szukać innej podstawy porównania; będą nią dane, jakie można mieć w owym czasie, obraz, jaki w odnośnej epoce mógł być rozpowszechniony. Tym sposobem otrzymamy też przegląd historycznych przedstawień naszej bohaterki, obraz literatury historycznej tego przedmiotu.

Z natury rzeczy grupują się te materyały w dwa główne działy, których granicę stanowi r. 1837, a poczęści już r. 1822. Podział ten jest i z innej strony dogodnym, ile że schodzi się niemal zupełnie z innym nałożonym przez charakter poematów, ten sam temat traktujących: prawie wszystkie utwory przed 1837 r. napisane należą do rodzaju poezyi klasycznej, gdy powstałe po tej epoce co do jednego skupiają się około sztandaru romantyzmu.

I.

Barbara historyczna.

Nam, którzy Barbarę poznać możemy i prawie wszyscy znamy, jak osobę spółczesną wśród nas żyjącą, wydaje się czemś niepojętem, oburzającem, jak można było ją przedstawić w tylu obrazach tak sprzecznych, a więc przeważnie i fał-

szywych, jakie napotykamy, czytając dawniejszych poetów, co się nią zajmowali. Co za lekceważenie nie postarać się o nabycie informacyi w przedmiocie, o którym się pisze!

Lecz nie potępiajmy ich za to. O ileż większe będzie nasze zadziwienie, gdy się przekonamy, jak spółcześni im historycy nasi z końca XVIII lub początku XIX wieku nic nie umieją powiedzieć o Barbarze. Niedość że wstrzymują się starannie od wydania jakiegobądź sądu o charakterze Barbary, ale wszyscy prawie zbywają pokrótce, jakby rzecz małej wagi, cały przebieg jej roli w dziejach naszych, wstrząśnienia, których jej sprawa stała się powodem, rezultaty historyczne z tej sprawy wynikłe; nie zużytkowują oni nawet tego, czego bez trudu mogli się byli o tem wszystkiem dowiedzieć z pism dawniejszych. Prawda, że ich książki są to same kompendya i że trzeba uwzględnić także stan ówczesny umiejętności historycznych u nas i prac przygotowawczych; lecz jeśli historycy takie milczenie o Barbarze zachowują, jakże się dziwić, że nic o niej nie wiedzą poeci, którzy bądź co bądź po źródłach szukać nie są obowiązani.

Weźmy Albertrandego, autora pierwszego podręcznika historyi polskiej. Weźmy Wagę, którego *Historya książąt i królów* tak długo była jedynem źródłem znajomości dziejów ojczystych dla ogółu narodu, lub Miklaszewskiego co go potem zastąpił w szkołach: pierwszy z nich nic prawie o Barbarze nie mówi; Waga w najwcześniejszem wydaniu swego dzieła nie raczy nawet wspomnieć, że była jaka Barbara Radziwiłłówna, w następnem z r. 1770 poświęca jej wprawdzie słów kilka, ale jak nieuzasadnionych. Twierdzi że jedyną przyczyną oporu sejmu przeciw małżeństwu królewskiemu była Bony ambicya i zazdrość władzy, że sejm r. 1548 rozszedł się z powodu sprawy unii z Litwą; niewiedzieć zaś zkąd na następnym sejmie naraz wszyscy zgodzili się na koronacyę Barbary, ta atoli wkrótce umarła. Nie wiele nadto powiada o całej rzeczy Miklaszewski, który tylko konstatuje, że opór narodu stałością króla został zwyciężony.

Nieco więcej uwagi zwraca na sprawę Barbary dopiero Bandtkie w swem *Krótkiem wyobrażeniu dziejów Królestwa Polskiego* wyd. roku 1810. Zatrzymuje on się już nad charakterem Zygmuta Augusta, którego postępowanie ocenia ze

stanowiska przychylnego Barbarze i w ogóle zasadzie monarchicznej. Gani ostro zawziętość szlachty przeciw królowej szlacheckiego pochodzenia, kiedy to właśnie księżniczki na tronie jak n. p. Bona, daleko więcej złego Polsce przyniosły niż szlachcianki: Pilecka, Zapolska. Także już szerzej opisuje sejm 1548 r., wspomina opór Tęczyńskiego co wołał Turka widzieć na polskim tronie niż Barbarę, i Dzierzgowskiego prymasa propozycyę rozłożenia grzechu z rozwodu królewskiego na cały naród, wreszcie przemówienie Zygmunta Augusta „że co się stało odstać się nie może“ a „milsza mu jest żona niż wszystkie królestwa na świecie.“ Dodaje w końcu, że pamięć Barbary zachował król w sercu na zawsze. Ale cóż z tego wszystkiego kiedy o zachowaniu się królowej w obec tego co się działo, o niej samej, o jej chakterze nic nie czytamy.

Pierwszy Niemcewicz, interesując się, widać, więcej samą postacią Radziwiłłównej, napisał w *Śpiewach historycznych*, wydanych r. 1816, jakby mimochodem dwa słowa, rzucające jednak pewne światło jeśli nie na nią samą, to na jego zapatrywanie się co do niej. — „Była to pani mimo zazdrości oszczerców ozdobiona rzadką pięknością i świetnymi umysłu darami,“ tak się wyraża w przydatkach do Śpiewu o Zygmuncie Auguście, a choć o tem czy była dobrą i cnotliwą nic nie mówi, wszakże pierwszy przyznaje jej jakieś zalety.

Inne pytanie zkąd on miał wiadomość o tych darach jej umysłu. Musiał chyba z przywiązania do niej Augusta wniosek zrobić, że tak „ulubiona małżonka“ tego wykwintnie wykształconego króla, który posiadał wrodzoną do wszystkiego „zdatność“ i „był biegłym w umiejętnościach i językach a kochał nauki, krasomówstwo, poezyę, nadobne kunszta...“ że takiego człowieka żona nie mogła być pierwszą lepszą piękną kobietą. Tylko że my inne mamy trochę o tym królu zdanie, wiemy zkądinnąd, że serce jego wyborne nie zawsze było tak trudnem, a i wprost o Barbary niezwykłych darach umysłu mamy powody utworzyć sobie mniej wygórowane wyobrażenie. — Lecz i o Bonie pierwszy z przytoczonych autorów Niemcewicz wyjawia swój sąd. „Po stracie wdzięków nic wyniosłej „kobiecie boleśniejszem nie jest, jak strata władzy. Bona wstarości męża nawykła do przewodniczenia w rządach z zawziętą „niechęcią patrzyła na synowę, która powabami i dowcipem

„zdawała się wyłącznie władać umysłem jej syna.“ To też ciągle przeciw niej intrygowała, a gdy po koronacyi Bar, bara umarła, nie obeszło się „bez silnego podejrzenia zadanej „przez Bonę trucizny.“ Bona też wkrótce wyniosła się ze skarbami do Włoch.

Chwała Bogu! dowiadujemy się przecie coś o wykształceniu Augusta i jego do żony przywiązaniu, o piękności i „dowcipie“ Barbary, o niegodziwości Bony. Jednak choć to jest więcej niż dotąd, lecz jeszcze tyle co nic dla kogoś, coby chciał odtworzyć sobie postać Barbary.

Może Lelewel co więcej nam powie? Gdzie tam! widać że i on nie umiał początkowo dokładnej sobie zdać sprawy nietylko o charakterze Barbary, ale nawet o politycznem znaczeniu jej historyi, kiedy w kilku opracowaniach Wagi wydawanych w latach 1816, 1818, 1824 całą epokę Barbary tak pokrótce przechodzi. W najobszerniejszem z nich opowiada na półtory stronnicy wszystko co się między r. 1547 a 1552 w Polsce działo, a nie były to zaprawdę rzeczy małej doniosłości. Jeszcze zaś krócej zbywa rzecz w *Dziejach Polski synowcom opowiedzianych* z r. 1829.

Wprawdzie w materyałach jego do wykładów uniwersyteckich spisanych jeszcze 1813 r. a wydawanych w XIII tomie *Polski, dziejów i rzeczy jej* znajdujemy kilka dokładniejszych niż tu szczegółów, tyczących sprawy Barbary; mianowicie przypisuje tam Lelewel zaburzenia sejmu piotrkowskiego (1548 r. z którego robi dwa sejmy w roku tym i następnym) głównie powodom politycznym, a nie niechęci narodu ku Radziwiłłównej. Lecz choć dobrze ocenia pobudki szlachty do oporu przeciw królowi, co objął rządy „bez pytania stanów“ i głównie stałości i zręczności króla przypisuje słusznie uśmierzenie burzy — w ogóle zbyt niedostatecznie oznacza Lelewel wpływ i działalność Bony, i stanowisko względem szlachty, jakie w tej opozycyi zajęli możnowładzcy; zbyt wiele przypisuje planom politycznym szlachty i bardzo jednostronnie sądzi Maciejowskiego i Tarnowskiego, którzy jego zdaniem jedynie na oku mieli zawładnięcie rządem i krajem. O samej Barbarze nie objawia wcale swej opinii, mówi tylko, że zgon jej napełnił smutkiem kraj cały — więc snać zamieniła się ona w postać sympatyczną narodowi — i dalej że choć umarła na

raka, mimo to i sam król prócz innych nie tail się z podejrzeniem otrucia jej przez Bonę.

Ta ostatnia wzmianka, niemniej i kilka innych n. p. że Bona przed śmiercią Barbary skłoniła się do ofiarowania jej zgody okazując żal za dawne intrygi, już i bez powoływania się na listy Zygmunta Augusta wydane później przez Niemcewicza, świadczyłaby dostatecznie, że te materyały do wykładów nie zostały wydrukowane w pierwotnej redakcyi z r. 1813, tylko z zastosowaniem źródeł późniejszych, jak to zresztą i wydawca w przedmowie przyznaje, odwołując się do nowszego obrobienia częściowego tej epoki zawartego w Lelewelowem dziele: *Ostatnie lata panowania Zygmunta Starego i początek panowania Zygmunta Augusta.*

Tak więc przed r. 1822 widocznie żaden z historyków nie miał nic nowego do powiedzenia, każden z nich z wyjątkiem Niemcewicza powtarza mniej więcej to samo co napisali inni, a jeśli czem się różnią między sobą to tylko większem lub mniejszem zrozumieniem politycznej wagi zajścia o Barbarę, według czego dłużej lub krócej rzecz zbywają.

Ależ bo i jakie oni wszyscy mogli mieć dane? Rzućmy okiem na ich źródła, a raczej na ich brak źródeł, a przestaniemy im lakonizm ten brać za złe. Głównem świadectwem o Barbarze i jej czasie są aż do trzeciego dziesiątka lat naszego wieku kroniki.

Z tych najpierwsze co do czasu są *Annales* Orzechowskiego wydane wkrótce po śmierci Barbary, bo 1554 r. Cytujemy słowa jego odnoszące się do naszej sprawy z tłumaczenia Włyńskiego.

W roczniku 1szym opisawszy śmierć pierwszej żony Zygmunta Augusta Elżbiety Austryaczki i lekkomyślne jego życie w Wilnie, powiada: „Była w Litwie wysokiego urodzenia pani, „w starodawnym Radziwiłłów domu z Grzegorza (sic) kasztelana wileńskiego spłodzona, imieniem Barbara, ze składu twarzy piękna, że z zazdrości urody jej niewinności uwłaczano. „Ta za Stanisława Gasztolda wojewodę trockiego w pierwsze poszedłszy zamęście, wkrótce po jego śmierci, została czas niejaki młodą i znakomitą wdową, w której gdy wszystko znaczne „było i ród i wiek i dorodność i dobre mienie tudzież obycza-

„jów układność i łaskawość (w oryg. facilitas) siłu mark mają-
„cych na siebie zalotników miała, których ona pogardziwszy za-
„męściem... etc... Tymczasem sam król także młodym będąc...
„kochać się w niej począł i usilnie pragnąć. Lecz gdy wsty-
„dliwa białogłowa przez złe podejrzenia sławy swojej naruszyć
„nie chciała, dał się król ująć miłości, a zwyciężonym będąc
„sam się dobrowolnie poddał i pokryjomu przed ojcem za żonę
„ją pojął.“ Po śmierci zaś ojca nowy król Barbarę natychmiast
„i ostentacyjnie żoną swą ogłosił.“ Pojechawszy do Krakowa na pogrzeb, — po którym zaraz Bona z córkami usunęła się na Mazowsze, zapewnione jej przez męża jako posag — zwołał sejm na październik tego roku; jednak otwarcie jego ociągnęło się do stycznia roku następnego (więc 1549?).

Rocznik 2gi opisuje sejm piotrkowski w sposób, który okazuje, że Orzechowski pojął go ze strony prawdziwej. Choć niektóre szczegóły nie dość są dokładne, choć trudno się dorozumieć, kiedy to nastąpiła owa słynna mowa Boratyńskiego, podczas której cała Izba poselska do nóg się królowi rzuciła, to jak się niebawem przekonamy opowiada jednak prawdziwie, że właściwie chodziło głównie o egzekucyę i unię, i o zachwianie uzurpowanej przez Augusta dziedziczności tronu, a nie o osobę Barbary. O niej nie wspomniały pierwsze już gwałtowne mowy, aż dopiero w kilka dni po rozpoczęciu sesyi i zrazu jakby o przedmiocie pobocznym. Zgodnie też z prawdą przedstawia zachwianie senatorów, którzy dopiero później, po energicznej odpowiedzi króla, i na usilne nalegania posłów dali się nakłonić do wystąpienia w oczy przeciw królowi, ale też teraz nie żartem go zaczepili. Trafnie zcharakteryzowane jest wystąpienie Dzierzgowskiego arcybiskupa, Dziaduskiego biskupa przemyskiego, Kmity, Zborowskiego, Górki, Tęczyńskiego, co się tak uniósł w swym zapale jak również i stanowisko Maciejowskiego który bronił ważności sakramentu, klnąc się wszakże, że małżeństwa ani chwali, ani doradzał; on i hetman Tarnowski jednymi prawie byli obrońcami króla; obu ich prawość charakteru i wyższość rozumu wynosi Orzechowski.

Wcale dokładny jest obraz słynnego zajścia w senacie— mniej dokładny opis zakończenia sejmu. Mimo wszystkiego, posłowie trwali w uporze, i swym naciskiem zmusili Izbę senatorską do polecenia Górce, aby jeszcze raz w jej imieniu

próbował zmiękczyć króla. Gdy ten w namiętnej mowie zaczął króla straszyć władzą senatu, której i Władysław i Kazimierz Jagiełło uledz musieli, i gdy nadto Kmita dodał jeszcze parę zbyt ostrych wyrazów nagany, zniecierpliwiony August nakazał milczenie w tej sprawie. Piorunujące wrażenie tego zakazu przerwał Leszczyński, zuchwale wymawiając królowi, że się zapomniał, gdyż nie ma prawa odbierać radom wolności głosu, I przywiedziono go do tego, że musiał się tłumaczyć, jako nie chciał tamować swobody obrad. Ponownie zapewnił wszakże o swej niewruszonej woli, czem koniec rozprawom położył „bo możnym nie tyle o Barbarę chodziło, co o sprowadzenie zamieszek i bezkrólewia.“ Przypisują też — powiada Orzechowski — niemały wpływ w tej sprawie Bonie, która bojąc się o utratę władzy, podbechtała w senacie ludzi wpływowych, aby małżeństwu wszelkiemi sposoby przeszkadzali. I tak było rycerstwo rozdraźnione, ze nie wiele brakło by już do wojny przyszło. Lecz stałość króla poparta przez Maciejowskiego, a jeszcze więcej przez Tarnowskiego odniosła zwycięztwo. Sejm wprawdzie się rozszedł, lecz król mimo protestacyi przystąpił do sądów.

Następny sejm jest dość krótko w roczniku 3cim zbyty, lecz podniesiona zręczność Zygmunta Augusta, który nieuciszone jeszcze żądania egzekucyi zwrócił przeciw samym panom, czem Izby rozdwoiwszy, działanie ich osłabił. O sprawie Barbary nie wspominano już wcale. Zupełnie tak, jak z późniejszych źródeł poznamy, jest opisaną zmiana taktyki, która teraz nastąpiła tak u senatorów z Kmitą i Dzierzgowskim na czele, jako i u Bony. „Tyle to mogą środki królów, zmieniając łatwo ludzi, iż ich nie poznasz potem.“ Zaczęto się na wyścigi przychlebiać teraz Barbarze, która „gdy w wielkiej łasce u króla i w wielkiem uszanowaniu u wszystkich była, iż przez nią łatwo było o przystęp w mówieniu i o łaskę króla, każdy za sobą z swojemi do niej ubiegał się usługami.“ Skorzystał z tego zwrotu król, który już dawno o koronacyi żony był myślał, a nie śmiejąc jeszcze umyślnie sejmu na to zwoływać, postarał się tylko o przyzwolenie senatu i połączył obrząd z hołdem książąt lennych. „Tym torem do nazwiska królowej przyszła Barbara, która lubo już na ten czas na siłach upadała, jednak słabość ciała pociechą tak wielkiej dostojności

krzepiła i mawiać także zwykła była, że o nic nie stała byle tylko jednym dniem po koronowaniu więcej żyła... W miesiąc szósty po ukoronowaniu na ciężką chorobę, którą zowią rakiem umarła.“

Trzeba przyznać, że roczniki Orzechowskiego choć nie bardzo rozświecają charakter samej Barbary, lecz politycznej strony tej sprawy dają obraz bardzo prawdy bliski i wcale dokładny. Obrady n. p. sejmowe podane są z wiernością zadziwiającą. — Ale dziwnie niekonsekwentny to był człowiek ten Orzechowski! Że tak jak w wielu innych okolicznościach, i co do sprawy, która nas tu obchodzi, łatwo zmieniał zdanie, mamy dowód z jego pism „przygodnych“ — teraz nazwanoby to broszurami. Ten sam co w historyi królowi ofiarowanej tak wychwala Barbarę, okazuje się parę tylko lat wcześniej gwałtownym jej przeciwnikiem. Ponieważ nie wszystkie były w owych czasach drukowane, wspomnę teraz tylko o jednem z tych pism, które wydane zostało r. 1584 staraniem Jakóba Górskiego, lecz musiało już przedtem być rozpowszechnione, gdyż pisał je Orzechowski jeszcze przed r. 1550, a wiadoma jest gorliwość jego w rozrzucaniu swych rozpraw okolicznościowych. Że czytane i poszukiwane było wnosić można ztąd, że do r. 1763 pięć czy sześć edycyi liczyło, a i rękopismów wiele rorzuconyeh jest po kraju.

Nosi ono nazwę *Fidelis Subditus* i zawiera dwa listy do Zygmunta Augusta pisane. Otóż w drugim z kolei, co do którego czasu powstania nie mamy całkiem pewnych danych [1]) przemawia autor — według Ossolińskiego — do Zygmunta już jako do króla, i między innemi ostro nagania jego przywiązanie do Barbary, i dla odwiedzenia go odeń wszelkich ar-

---

[1]) Jeśli, jak usilnie dowodzi i kilkakroć powtarza Ossoliński, list ten pisanym był przed ślubem Augusta z Barbarą, to musiał być wczesniejszy, bo ślub odbył się r. 1547. Jeżeli zaś powodem do napisania go był napad Tatarów 1549 r., jak to znów gdzieindziej twierdzi ten sam autor, to jakże mógł „odradzać“ małżeństwo już dokonane i ogłoszone za nierozerwalne? W każdym razie treść sama wskazuje, że pisany był po ślubie, bo i po śmierci króla starego, może jeszcze r. 1548 zanim wyszło na jaw tajemnie zawarte małżeństwo.

gumetów używa. Wystawia mu zgubne dla królów samych i dla królestw skutki niewstrzemięźliwej miłości panujących, która jest nieprzyjaciółką cnót, zarazą najznakomitszych przymiotów, zagładą dobrych przedsięwzięć. Energicznie występuje przeciw nierównym małżeństwom królów, mówiąc o Barbarze: „żona ta niemiła narodowi, ohydzi mu i Ciebie“ i zapewniając że nawet potomstwo z niej nie byłoby narodowi pożądanem. — Jakkolwiekbądź, broszura ta wskazuje przynajmniej przyjęcie jakiego doznała nowa królowa od opinii większej części narodu i to części inteligentnej, która wtedy miała mniej więcej to samo znaczenie, co dziennikarstwo w czasach dzisiejszych.

Do opowiadania roczników Orzechowskiego mało co dodać można ze świadectw innych historyków spółczesnych. Ze wzmianki n. p. Stryjkowskiego w *Kronice* wydanej r. 1582 ks. XXII rozd. III dowiadujemy się tylko, że Barbara była córką Jerzego Radziwiłła kasztelana wileńskiego, a nie Grzegorza, że gdy po owdowieniu mieszkała przy matce Król młody „często chodził na biesiadę uczciwą, uczyniwszy z pałacu zamkowego przez ogród do jej dworu przechód“; że ślub dany był tajemnie przez plebana Radziwiłłów, że małżeństwa tego „król sam Zygmunt Stary, i królowa Bona matka srodze synowi bronili i paskwiluse rozmaite pisano,“ a nawet o to w samem zdaje się Wilnie rozruchy i niesnaski były. Jednak gdy po śmierci Zygmunta I publicznie za żonę swą Barbarę ogłosił, musieli panowie litewscy, którzy tak jak polscy, prawie wszyscy związkowi przeciwnymi byli, uchylić głowy, gdyż stosunek narodu do panującego na Litwie zupełnie był inny niż w konstytucyjnej Polsce. Utrzymuje dalej Stryjkowski, że koronacya Radziwiłłównej uchwaloną była na sejmie r. 1560, lecz w świątki następnego roku królowa umarła“ z podejrzeniem trucizny zadanej przez Włocha doktora.

Nic zupełnie nie mówi o Barbarze Sarnicki w *Annalach* wydanych r. 1587, jak również niewiele Bielski Joachim w *Kronice Polskiej* drukowanej 1597 r. pod imieniem ojca Marcina, który tak powierzchownie rzecz całą opisuje, że go nawet to nie zastanawia, dlaczego przeciwnicy Barbary nagle na jej stronę przeszli. Spotykamy się tylko u niego znów z ową mylną datą sejmu piotrkowskiego pierwszego, który we-

dług niego przeciągnął się do stycznia 1549 r. i z podejrzeniem otrucia Barbary przez Włocha. Niemniej pominięty jest charakter jej w Krzysztofa Warszewickiego *Parallelach* wydanych roku 1603.

Za to bardzo znów jaskrawe, choć zupełnie odmienne niż widzieliśmy dotąd, (światło jeśli to światłem nazwać można), rzuca na sprawę i osobistość Barbary niewiadomy autor dzieła *Vita Petri Kmithae* drukowanego po raz pierwszy przy dobromilskiem wydaniu roczników Orzechowskiego r. 1611. Ustęp jej tyczący zanadto jest charakterystyczny, by go nie przytoczyć w tłumaczeniu:

„Król młody Zygmunt August mając od ojca powierzony zarząd Litwy bawił w Wilnie, gdzie spędzając czas w towarzystwie pochlebców rozpustnie na zbytkach, ucztach i maszkaradach, zapalony został miłością do wdowy Barbary, córki J. Radziwiłła, która w domu wychowana przez matkę zdawna źle słynącą, poślubiona potem Gasztoldowi młodszemu, matkę w szpetności charakteru przewyższyła, Po jego zaś śmierci król ożenił się z nią tajemnie i z pominięciem wszelkich prawnych formalności i wymagań, nie zaradziwszy się ani królestwa swych rodziców, ani senatu, i zobowiązał się do wiary małżeńskiej bez wiedzy stanów. A lubo związki z tą osobą odradził był kilku ze swych dworzan pałających zarównie ogniem miłości ku niej, jak i bogactw żądzą, przecież sam sobie odradzić nie zdołał, lecz pojąwszy ją za żonę, przejął na siebie całą sromotę i zchańbił sławę i godność po przodkach odziedziczoną i dobre imię i chwałę jaką się bezprzestannie był cieszył, a wszystkie stany królestwa pogrążył w żałobę i boleść. To bowiem małżeństwo nie było zawarte za wolą Boga, nie z miłości cnoty ani w żaden prawny lub należny sposób, lecz z poduszczania djabelskiego, osiągnięte i przygotowane za pomocą czarów matki, zażegnywań bab zdaleka sprowadzonych i różnych sztuk szatańskich. To ojcu królowi śmierć przyspieszyło, matkę z synem poważniło i do Włoch zawiodło, a siostrom królewnym dobrą sławę zmniejszyło i królestwo zniesławiło a obcym zbrzydziło.“ Ztąd zmartwienie dla prawdziwie przychylnych Polsce i domowi królewskiemu, a rozkosz i wesele nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej.

Dla wyjścia z trudności zjednał sobie król i stryjeczny brat Barbary Radziwiłł Czarny hetmana Tarnowskiego i biskupa Maciejowskiego, wiedząc, że za nim łatwo pójdzie reszta oponentów między senatorami i śród szlachty. Dziwi się tylko autor i ubolewa, że ci dwaj najprzedniejsi z Rad królewskich tak niepomni byli swego obowiązku i powagi narodu, że nadzieją zysku dali się ująć, że nawet potem króla sami dalej pchali, namawiając do śmiałego ogłoszenia Barbary publicznie za żonę, skoro tylko umarł król stary, główna zawada. Tarnowski mianowicie popierał to małżeństwo, mając urazę do Zygmunta I i Bony o odmówienie mu spodziewanego starostwa krakowskiego, a udzielenie go głównemu jego nieprzyjacielowi Kmicie. Nadto, dodaje złośliwie, tuszył sobie, że po wypędzeniu gwałcącego tym związkiem wolę narodu króla, sam na tron będzie wyniesiony. Tym czasem gdy się to nieudało, otwarcie zaczął objawiać swą niechęć ku ostatniemu Jagiellonowi, zrywał sejmy i przez swych popleczników usiłował wszelkim zamiarom króla przeszkadzać. Maciejowski zaś miał liczną i rozrzutną rodzinę, na której utrzymanie dochody biskupie mu niewystarczały: rad więc był okazywaniem przychylności i popieraniem swem monarchę dobrze usposobić dla siebie, chcąc uzyskać dochody gdańskie. Jeden tylko Kmita „nic podobnie niegodnego nie uczynił, lecz królowi z wielkodusznością jako wierny kraju obrońca i miłośnik opierał się, małżeństwa uznać nie chciał, lecz starał się zniweczyć. A widząc bezskuteczność swego szlachetnego oporu, usunął się na resztę życia od dworu i rady królewskiej.“

— Jaka szkoda, że to jedyne może otwarcie wypowiedzenie spółczesne ocenienie tej sprawy, tak mało zasługuje na wiarę. Kto tylko cokolwiek obeznany jest z historyą owej epoki, osądzi jak fałszywie i stronniczo są przedstawione nie tylko charaktery ale fakta same. A co najdziwniejsza, to że autor, który w tym rozdziale tak wynosi Kmitę, wcale nie okazuje się jego zwolennikiem w reszcie dzieła, zarzuca mu łakomstwo, przekupstwo, wichrzycielstwo, tak że książka ta jest głównem źródłem wszystkich złych wiadomości jakie mamy o tym dygnitarzu. Widocznie pochodzi żywot Piotra Kmity od człowieka który w swym gorącym demokratyzmie chciał obrzucić błotem wszystko co się stanowiskiem socyalnem odznaczało: i tron

i wszystkich senatorów, a już szczególną złością pałał do Tarnowskiego, tego chce zdyskredytować w opinii wszelkimi sposobami, nawet przez porównanie z niecnym Kmitą. Tarnowski usiłował zamieszki i bezkrólewie sprowadzić, bo sam chciał królem zostać, Tarnowski znany był jako człowiek pyszny zawzięty w nieprzyjaźni, zmienny i nieukontentowany w czynach; on dalej sprzyjał małżeństwu królewskiemu więc „podły, przekupny, pogardy godny;“ Kmita zaś dla tego, że był przeciwnego zdania „mąż zacny, dusza wielka, charakter wzniosły.“ Nieprzeszkadzają temu wszystkie dopiero co przez autora wyjawione przywary Kmity, niekiedy wprost sprzeczne z zaletami teraz wychwalanemi.

W swym zapale przeciw hetmanowi i królowi, nie waha się nasz bezimienny z tego znanego egoisty, namiętnego krzykacza i wichrzyciela robić ideał patryoty i męża stanu, nawet wprost twierdzić że zrażony niepowodzeniem swych szlachetnych zamiarów usunął się od dworu i żył w odosobnieniu; jak gdyby nie było powszechnie wiadomo, że on to właśnie był jednym z pierwszych, co widząc swą przegraną, rzucili się w wręcz przeciwną politykę i dla ratowania stanowiska, urzędów i dochodów zaczęli płaszczyć się przed królem, którego strącić nie zdołali i nadskakiwać tej Barbarze, której pozbyć się nie mogli; że to Kmita właśnie w sposób najbardziej krzyczący zapomniał o swej własnej godności, a przykładem swoim pociągnąwszy wielu z senatorów i ze szlachty, przyczynił się wielce do utorowania Barbarze drogi do korony.

Cóż powiedzieć o naiwnie zjadliwem przedstawieniu Barbary i jej matki, przedstawieniu które wraz ze sprzecznościami w obrazie Kmity mogło niejednemu dać pohop do istniejącego przypuszczenia, że autorem Żywota Kmity jest Orzechowski znany zarówno z gwałtowności jak i braku konsekwencyi? Naturalnie mamy prawo zbyć je uśmiechem zarówno jak i w wielkiej części sąd o Maciejowskim i Tarnowskim. Zapewne że znakomita postać zwycięzcy z pod Orszy dwuznacznie i to niepomału wygląda w drugiej połowie życia, tylko że świadectwo całego poprzedniego życia niepozwala nam podsuwać mu nieszlachetnych chęci, a nieraz się już pokazało, że wielcy wodzowie stają się niezdecydowanymi i niekonsekwentnymi, gdy się wdadzą

w politykę, choć nie zaraz ztąd wynika, żeby charakter ich był brudny.

Z ciekawością bierzemy do ręki jeszcze Górnickiego, szukając, co też nam o Barbarze powie ten, co tak wdzięcznie umiał opisać obyczaje człowieka światowego i przymioty „dwornej pani.“ Ku wielkiemu zawodowi przekonamy się że sympatyczny autor Dworzanina nietylko o pisaniu historyi nie miał wyobrażenia, ale i jako pamiętnikarz dziwnie jest czczy i płytki. Jakżeż bo i krótko zbywa 44 lat jednej z najważniejszych epok naszych dziejów, których sam był świadkiem, a po części aktorem. A potem ta nużąca drobiazgowość przy opowiadaniu mało znanych wypadków i ceremonii obok starannego zamykania oczu na zdarzenia ważniejsze, na przyczyny i skutki, obok braku wszelkiego sądu osobistego. Co zaś do charakterów, tych całkiem nie zna, nawet nie spostrzega ich istnienia.

Więc nie dziw, ze i Barbarę tak powierzchownie traktuje w swych *Dziejach w Koronie Polskiej* wydanych 1637 roku. Wspomina tylko że gdy na sejm 1547 r. był przyjechał z Litwy Zygmunt August poprzedzony wieścią o związku z Radziwiłłówną, „przeto król stary osobno na pokoju pytał o to syna i żeby mu powiedział prawdę. Tam jako opowiedział ojcu, nikt tego nie wie, lecz tak rozumieli ludzie, że się nie przyznał, albowiem po starcu nie znać było frasunku żadnego.“ Dwie rzeczy tylko ciekawsze znajdujemy w całym opowiadaniu, to jest twierdzenie wbrew Orzechowskiemu i innym że na sejmie 1548 r. „naprzód o ożenieniu tem mówić i porozumiewać się senatorowie (więc nie dopiero nakłonieni przez posłów) poczęli“ i wytłomaczenie że król prymasa Dzierzgowskiego jednego z najzawziętszych przeciwników małżeństwa tem sobie, zjednał iż po śmierci Maciejowskiego powstałe zatargi o biskupstwo krakowskie według jego życzenia rozstrzygnął. Śmierć Barbary przypisana jest jedynie chorobie.

Na Górnickim kończy się szereg spółecznych opowiadaczy sprawy Barbary, szereg najważniejszy, bo od kogoż mogliśmy się spodziewać pewnej informacyi, jeśli nie od nich? Lecz niestety tak są skąpi w udzieleniu tych wiadomości, czy też tak mało ich nasza bohaterka zajmuje, że po przeczytaniu 7 różnych opowiadań, nietylko nie wiemy jaką była Barbara,

prócz że była dobrą i piękną, ale nawet od kogo wyszedł opór przeciw niej, ani dokładnie, którzy i jacy byli przywódzcy opozycyi, ani jaki rodzaj śmierci.

A zatarty zarys ten historyi nieszczęśliwej królowej, podany przez powyższych pisarzy stanowi cały zasób wiadomości o niej pierwszych dramatyków, co ją swą bohaterką uczynili. Cóż bowiem dotych bezpośrednich relacyi dodać mogło kilku pisarzy pierwszych, co dzieje owej epoki jakby z drugiej ręki otrzymali?? Najwięcej jeszcze spodziewaćby się można od Kojałowicza, który pisał *Historyę Litwy* wydaną roku 1669 i historyą domu Radziwiłłów p. t. *Fasti Radiviliani*, w żadnem jednak z tych dzieł nie znajdujemy nic nowego. Nie warto bowiem i wspominać o wzmiance w pierwszem uczynionej, że zdaniem wielu Włoch, co podać miał truciznę Barbarze, namówiony był do tego od ludzi jej nienawistnych.

To co powiada o niej Starowolski lub Kochanowski może być dla nas ciekawem co najwięcej jako świadectwo o zapatrywaniu się potomności na tę postać historyczną. Napis nagrobkowy przytoczony w *Monumentach* (wbrew treści jego Kraszewski twierdzi, że był wyryty na blasze przybitej do trumny, nagrobku zaś żadnego nie było nigdy) napis ten mówi tylko, że:

Wielu wiele dopomogła, nie szkodziła nikomu,
Nikt się nie może nazwać od niej obrażonym
(czy skrzywdzonym).

— Kochanowski zaś żarliwy przeciwnik postępku Zygmunta Augusta, w dziele *Hypomnema Reginarum Poloniae* druk. r, 1672 traktuje rzecz ze stanowiska polityka. „Zaiste, robi on uwagę, jeśli już między prywatnymi tego rodzaju zawarte związki niczem są, cóż dopiero między panującymi, których życia świadkami winny być niebo i ziemia!“ Następnie rozczulając się nad smutną starością Zygmunta I, który takich rzeczy doczekał mówi: „Nic nie tłumaczyło Augusta tylko miłość; jeżeli dla osłony występków, występki tarczą być mogą.“ Wreszcie z okazyi zajść sejmu piotrkowskiego dodaje: „Lecz wrodzonym jak się zdaje, przymiotem Polaków jest na błędy swych królów naprzód się oburzać, potem je znosić, nareszcie zapominać... Tak w końcu między proszącymi a proszącym

łzy zakończyły rozprawę, gdy król Barbary, Polacy króla odstąpić nie chcą, z wielkim uszczerbkiem stron obu August zatrzymuje Liwią, poddani Augusta.... lecz śmierć nie długo Barbarze dała się cieszyć nieprawem posiadaniem korony."

Po Kochanowskim następuje długoletnie głębokie milczeczenie o Barbarze, przerwane dopiero z końcem przeszłego wieku tu i owdzie pobieżnemi, a ślepo powtarzanemi napomknieniami w podręcznikach historyi polskiej, o których już była mowa. Do nich przydały, jak równie wiemy, kilka nowych szczegółów Śpiewy historyczne, gdzie znajdujemy też pierwszą wiadomość, że powszechnie Bonę pomawiano o otrucie Barbary. Jeżeli więc w poezyi spotykamy się już przed rokiem 1816 z przedstawieniem Bony jako godzącej na życie synowej, przypisać to należy przechowującej się tradycyi, i temu prawdopodobieństwu na które łatwo mogły każdego naprowadzać wzmianki o Włochu doktorze i nienawistnych ludziach. Wszak byłoby naturalnem takie omówienie zarzutu, który podnosić za życia Zygmunta Augusta niepozwalała owym pisarzom już prosta delikatność.

U historyka jednak jak Niemcewicz musimy przyjąć pewniejsze źródła takiej wiadomości, niż ustną tradycyę lub domysł, i mamy też nie jeden powód do przypuszczenia, że już wtedy, gdy pisał komentarze prozą do śpiewów historycznych znane mu były niektóre z dokumentów i listów, które potem na jaw wydał w swym *Zbiorze Pamiętników o starożytnej Polsce.*

Z rokiem wydania Igo tomu rzeczonych pamiętników (1822) nastaje nowa i nader ważna epoka w badaniach tak o Barbarze jak w ogóle o całym czasie panowania Zygmunta Augusta, epoka wydobywania się z ukrycia źródeł do historyi owych czasów w szeregu długim, do dziś dnia może nieskończonym. Przypatrzmy się materyałom w tym tomie wydrukowanym.

Są tam fragmenty z biografii kard. Commendoniego legata papieskiego w Polsce, napisanej przez Gratianiego, podane w tłumaczeniu z łacińskiego pod tytułem: *Pamiętnik Kommendoniego.* Chociaż kardynał przybył do Polski w kilkanaście dopiero lat po śmierci Barbary, jednak przy rozbiorze charakteru i życia Zygmunta Augusta i z okazyi sprawy

rozwodu jego z Katarzyną Austryaczką jest mowa i o Barbarze, mianowicie o początkach miłości króla do niej w Wilnie: „Młodzież znająca jej wdzięki, zaprowadziła go naprzód do niej; sztuką i pieszczoty swemi tyle dokazała, że wbrew upominaniom matki i sióstr przekładających stadło to jako niegodne królewskiego majestatu, August pojął za żonę i koronować kazał.“ Następnie o śmierci Barbary: „Ta gdy różnemi lekarstwami płodności nabyć pragnie umiera.“

Ale mniejsza o tę niezbyt pochlebną opinię, niepotwierdzoną zresztą żadnem innem świadectwem. W dalszym ciągu podaje nam Niemcewicz ułamek z rękopismu ruskiego, znalezionego przezeń w bibliotece wileńskiej, w którym do inszego opowiadania przyłączony był *Latopis W. X. Litewskiego i Żmudzkiego*, a w nim ustęp tyczący Zygmunta i Barbary. Odnosi on się wprawdzie tylko do początku związku i zdaje się być echem pospolitych pogłosek brukowych, w głąb rzeczy nie wchodząc wcale, jednakże mimo to dla nas nader jest interesującym, jako pierwsza notata o tej sprawie podana nie ze stanowiska dziejopisarskiego, lecz z prostotą i anegdotycznym zakrojem, jakoby wyraz spółczesnego sądu szerszych kół. Dowiadujemy się, że August wkrótce po śmierci swej pierwszej żony († 1545 r.) poznał i począł miłować Barbarę. Gdy zbyt częste jego odwiedziny, zwłaszcza od czasu, jak sobie z pałacu uczynił przejście do jej mieszkania dawały coraz więcej powodu do obmowy, bracia młodej wdowy prosili króla by tego zaprzestał. Rzeczywiście dłuższa nastąpiła przerwa, aż nagle jednego wieczora król znowu zjawił się samotnie. Wtedy „panowie Radziwiłłowie, którzy pilnie tego strzegli“ zeszedłszy go zaczęli wymawiać mu iż obietnicę łamie a dom ich na niesławę naraża. Król odparł żywo, że nie wiedzą co mówią, bo może im owszem te odwiedziny sławę i pożytek przyniosą. Oni podchwyciwszy te słowa, przywiedli natychmiast księdza, *którego na to gotowego mieli* i siostrę królowi potajemnie zaślubili. I długo o tem nikt się nie dowiedział, bo nawet Barbara pozostała nadal w domu matki. Tylko Maciejowskiemu i Tarnowskiemu zwierzył się król za przyjazdem do Polski 1546 r. (sic.) Aż dopiero r. 1548 gdy Panowie Rada W. Księstwa zjechali się w Wilnie ku nowemu królowi, dowiedzieli się o małżeństwie a nie aprobując wcale prosili i upominali króla

„by tego nie czynił.“ I cały naród bardzo temu był nie rad, wielu nawet wiary dać nie chciało, a u wrót i na ścianach zamku przybijali „mnogie paszkwile,“ które i samemu królowi przynoszono. W krótce wiadomość ta doszła do królestwa starych w Koronie, którzy „wielce srogo“ syna zganili — lecz on na niczyje napomnienia nie dbał Tyle Latopis.

W ogóle zawiera książka pomieniona w dalszych swych częściach wiele niepoślednich a w swoim czasie nowych szczegółów o Augusta charakterze, o jego złem życiu i bezgranicznej uległości wdziękom kobiecym dla których gotów był poświęcić wszystko; o jego zabobonności i skłonności do czarów i zażegnywań, w którym to celu zawsze otaczał się „babami“ ich magicznym sztukom swe zdrowie powierzając. Nie małej też wagi światło rzucone jest na stan ówczesnej moralności publicznej i pojęcia o honorze zwłaszcza w rzeczach pieniężnych. Skandaliczny obraz przekupstwa i nieuczciwości znacznej części obywatelstwa a nawet dygnitarzy, przedstawiający się w Orzelskiego opowiadaniu o zajściach z powodu spisania inwentarza i przeprowadzenia testamentu po śmierci ostatniego Jagiellona prawdziwie zgrozą przejmuje.

Na takiem tle nader ciekawy rysunek mógłby stanowić następujący dalej *Dyaryusz sejmu r. 1548*, pierwszy, jaki z tego sejmu w druku się ukazał. Wystawić sobie łatwo z jakim interesem go brano do ręki. Cóż kiedy czytając każdy musiał być rozczarowanym. Zamiast sprawozdania z rozpraw znajdujemy tam pobieżne tylko notatki spisane przez kogoś, co ani rzeczy nie zrozumiał ani nawet nie umiał podać zewnętrznej treści tego co słyszał i porządku w jakim mowy następowały. Już same takie pomyłki jak nazwanie sejmu piotrkowskiego warszawskim wprowadzenie na scenę arcybiskupa Gamrata, który nie żył od trzech lat, lub p. Baranowskiego zamiast Boratyńskiego, błędne wreszcie datowanie jak zaraz na wstępie gdzie pod napisem: die prima Novembri (sic) zaczyna się tekst od słów: We środę w wilią Wszech świętych: wszystko to wystarcza, żeby czytelnika źle uprzedzić przeciw wiarogodności dyaryusza. Co do sprawy Barbary przychodzimy do przekonania, że o jej przebiegu na sejmie więcej się dowiedzieć można z roczników Orzechowskiego, aniżeli z niniejszego dyaryusza.

Sprawozdanie nie dochodzi dalej jak do owej sesyi, na której król pierwszą w obec połączonych izb dał odpowiedź odmowną. Ale i ten urywek, choć stosunkowo obszerny, wcale nie jest dokładnym. Dowiadujemy się tylko, że z początku podnoszono głównie kwestyą egzekucyi, że sprawa Barbary przyszła na stół dopiero 3go dnia obrad i to wskutek natrętnych żądań posłów, którzy nie zaraz panów namówili do tego kroku. Głównym w tej okoliczności mowcą izby poselskiej „do posłów, którzy byli przy królu“ (tak jest, choć zapewne ma być do „panów Rad“), był Lupa Podłowski (sic). Ze strony panów zaś najprzykrzejsze słowa usłyszał król od Andrzeja Zebrzydowskiego bisk. kujaws., od wojewody krak. Kmity i Górki kaszt. pozn., który bardzo ostro i w tonie zwierzchniczym wystąpił z żądaniem porzucenia Barbary i dowodził, że „królowie Polscy nie zamyśliwali o małżeństwie bez zezwolenia stanów.“ Po stronie króla prócz Tarnowskiego, który w tem chciał całą wolność monarsze zostawić i Maciejowskiego, który bronił nie postępku królewskiego, tylko ważności związku, miał stać poczęści także i Łaski woj. sieradz., wychodzący z zasady, że szkoda tracić czas na narady nad rzeczą, która się już stała. Co zaś dziwna, to że Tęczyński, przedstawiany zwykle jako jeden z najzagorzalszych przeciwników małżeństwa i przywódzców opozycyi, w tym dyaryuszu wcale na takiego nie wygląda. Nie wdaje się on tu w ocenianie faktu, tylko w mowie nader spokojnej poprzestaje na stwierdzeniu, iż się posłowie przed senatem żalili na tajemne ślubu zawarcie i na stanowcze oświadczenie króla, „iż raczejby żywot utracił niż złamał małżeństwa przysięgę.“

Ten ostatni szczegół naprowadza nas na domysł, że tu jest jakaś przerwa, że mowę Tęczyńskiego musiało poprzedzić jakieś oświadczenie królewskie, o którem żadnej nie było wzmianki. I rzeczywiście, przekonamy się z innego dyaryusza, iż obrady te senatu odbyły się we wtorek, nie w 4ty dzień sesyi, tylko w tydzień później. Przez tydzień ubiegły odbyło się kilka narad posłów z senatem i chodziła deputacya od panów do króla, który odpowiedział stanowczo, że żony nie opuści. Tak więc początek sesyi 6go listopada zestawiony jest z drugą połową obrad 13go listopada, jakby to jedna sesya była.

Król, który był świadkiem tych właśnie ostatnich obrad 13go przyrzekł dać odpowiedź ostateczną obu izbom nazajutrz, i istotnie we środę wystąpił w senacie w obecności izby poselskiej z nader energiczną mową, w której zbiwszy punkt po punkcie wszystkie inne zarzuty mu czynione, na końcu przystąpił do odparcia zaczepek o małżeństwo. Mowa ta w głównych rysach zgodną jest z wersyą, która się w tradycyi przechowała, choć zwykle przytaczana jako odpowiedź dana deputacyi lub izbie poselskiej, gdy ta z Boratyńskim na czele rzuciła się przed królem na kolana. Tylko niespotykamy tu owych energicznych zwrotów ani wyrażenia że „co się stało odstać się nie może“ ale raczej jakieś spokojne, długie dowodzenie, że słuszność jest przy królu i tłomaczenie, że krok jego jest nieodwołalny. Od tej zaś mowy, którą według późniejszych źródeł uważać musimy za autentyczną także różni się ona cokolwiek, mianowicie rownież brakiem energii i dodaniem odpowiedzi na inne zarzuty, której w mowie oryginalnej nie było. Z porównania z dyaryuszem późniejszym wypada, że mowa tutaj podana jako w senacie w obec posłów wygłoszana, jest tylko pierwszą odpowiedzią daną deputacyi senackiej, i ztąd ten ton łagodny, który łatwiej się da wytłomaczyć przy pierwszej zaczepce niż wobec późniejszego zajątrzenia.

Na tem kończy się dyaryusz. Lecz ważniejszą od niego jest dla nas ostatnia część tej samej jeszcze książki, mianowicie 30 *Listów* Zygmunta Augusta do brata Barbary podczaszego litews. a później wojewody wil., list jeden do jej matki, kasztelanowej wil. i jeden do marszałka litew., brata stryjecznego Barbary, wreszcie list samej Barbary do brata i Bony do Montego. Listy te stanowią pierwsze źródło do przyjrzenia się prywatnej stronie stosunku Zygmunta do Barbary, stosunkom poufnym, familijnym, słowem temu, co jest częścią najbardziej ogólno ludzką tych zdarzeń historycznych, a więc stroną nas specyalnie obchodzącą. Wprawdzie nie tworzą one całości, są dopiero połową korespondencyi, bo niema między nimi ani jednej odpowiedzi Podczaszego, ani jednego listu Barbary do męża lub na odwrót. I królewskie listy nawet nie są wcale skompletowane. Dla tego też korespondencya rzeczona nie wyjaśnia wszystkiego, owszem wiele zostawia wątpliwości a nawet sama czasem stawia zagadki, które dopiero późniejsze

źródła dozwoliły rozwiązać. Mimo to nie mała jej wartość polega na tem, że obejmuje cały czas pożycia Augusta z Radziwiłłówną i tyka wszystkich prawie zajść i spraw tego okresu.

I tego wreszcie nie można powiedzieć, żeby pod względem psychologicznym illustrowała samą postać Barbary; więcej pomaga do poznania charakteru Augusta i przebiegu zdarzeń. Nowe szczegóły nam przydatne, które z niej zaczerpnąć się dadzą są następujące.

Poślubienie Barbary umiał August dość długo utrzymać w tajemnicy w samem nawet Wilnie, nie sprowadzając żony do zamku, tylko zostawiając ją po dawnemu przy matce. Zmuszony wkrótce jechać do Korony na sejm zwołany przez ojca pod jesień 1547 r. w Piotrkowie widać obawiał się jednak jakichś dla Barbary niebezpieczeństw, kiedy usunął ją na czas swej nieobecności z Wilna do Dubinek, zamku obronnego o kilka mil od stolicy, gdzie zostawała pod opieką właściciela zamku a brata jej Mikołaja Rudego, podczaszego i Dowojny starosty Mereckiego; największą około niej troskliwość zaleca tymże kilka listów królewskich.

Z listów podczas sejmu pisanych dowiadujemy się o zatargach wybuchłych między kasztelanem krak. i hetmanem Tarnowskim Janem, a Piotrem Kmitą wojewodą krak., co królowi wiele zmartwienia sprawiło. Tych dwóch krewnych i potem z okazyi sprawy Barbary widzimy ciągle w przeciwnych obozach. Że Barbara nawet śród małej garstki przypuszczonych do tajemnicy znalazła niechętnych, pokazuje się z niepokojących plotek, któremi Podskarbina (Hornostayowa) próbowała zachwiać zaufanie jej do Augusta, przeciw czemu z takiem oburzeniem protestuje król i zapewnia o swej jednostajnej miłości w liście z lutego 1548 r. Z niespokojności i podejrzeń jego w skutek wiadomości o przypadkowem zawaleniu się jakiegoś sklepienia w pobliżu pokojów Barbary w Dubinkach widać, że nawet musiała być obawa zamachu na jej życie. Ciekawe są dowody, nieledwie w każdym liście z Piotrkowa, drobiazgowej troskliwości z jaką król zajmuje się z tego oddalenia wszystkiem co się Barbary tyczy, jak rozporządzenia szczegółowe odnoszące się aż do umieszczenia „praczki jej król. Mości,“ do zapewnienia ludziom do dworu należącym obrokowego dla koni. Tajemnicy o zawartym związku strzegł

król jak najstaranniej i w Koronie, bardzo go też martwi, iż podobno pod koniec sejmu Bona zwiedziała się coś o nim od Tęczyńskiego, wojewody sandom., który też potem gra rolę jednego z głównych przeciwników Barbary.

Zaledwie młody król po sejmie zdołał pospieszyć do Wilna (w marcu 1548 r.) gdy zaraz powołała go nazad do Krakowa wiadomość o śmierci ojca. Przed odjazdem, mając już ręce rozwiązane, nie widzi nic pilniejszego jak sprowadzić do siebie swoją Barbarę, publicznie za żonę ją uznać. Oznajmia on w liście z nieukrytem wzruszeniem i bardzo pospiesznie wysłanym do Podczaszego, bez daty tylko: Czwartek 48 — „gwałtowną potrzebę aby... małżonka nasza najmilsza jutro przyjechała do Wilna, na dobrą godzinę w noc do dworu twojej miłości pokryjomu... sic astra volunt.“ Zaraz po uroczystym wjeździe Barbary na zamek, zapowiedzianym w liście na „sobotę,“ opuszcza ją król, nie mogąc nawet myśleć o zabraniu jej ze sobą do Korony. Musiały bardzo niepokojące wieści rozejść się o nieprzychylnem małżeństwu usposobieniu kraju, gdyż król w liście z Krakowa prosi Barbarę, by się próżno nie frasowała trudnościami, i ku jej zaspokojeniu zaręcza, że owszem wszystko idzie „podle myśli naszej i niechęci w W. Polsce się uspokoiły.“ Tylko uskarża się na jakieś intrygi Wojewodziny wil. i Kasztelana wil. Ostrzeżenie królewskie w jednym z listów, aby nigdy nie był „pisany na wierzchu tytuł Jej król. Mości, lecz prosto list począć pisać“ i tylko „niechaj od Jej król. Mości pisywają *in plurali*, my etc.“ naprowadza na domysł, że musiało wielu być takich, którzy przestrzegali, aby Radziwiłłówna nie używała tytułu zaprzeczonego jej przez naród i tych obawiano się nawet listami drażnić.

Z sejmu piotrkowskiego 1548 r. nie ma ani jednego listu w niniejszym zbiorze. Wiemy tylko, że mimo przeciwności król jeszcze podczas jego trwania dopełnił zamiaru wyrażonego w dawniejszym liście do Kasztelanowej wil., matki Barbary, i sprowadził żonę do Korony. Mimo to korespondencya z Wilna nie ustała. Została tam rodzina Barbary. Otóż mnóstwo zachowało się listów dowodzących, że król i nadal w najściślejszych stosunkach pozostał i z matką jej, i z braćmi i z innymi nawet krewnymi. Wchodzi w sprawy majątkowe

i rodzinne Radziwiłłów, z taką troskliwością, że n. p. z okazyi ślubu jednej z krewnych Barbary troszczy się w listach o prowianty na wesele. Wie o wszystkich procesach ich; stara się zapewnić egzystencyę odpowiednią Kasztelanowej wil., której majątek zbytnimi wydatkami trochę był nadwyrężony; usiłuje nieszkodliwymi uczynić wszystkich nieprzyjaciół Radziwiłłów na Litwie. Z radością pospiesza rodzinie donieść, że Barbarze już zapewnił „oprawę na majątkach królewskich." Zajmuje się nawet pogrzebem p. Gasztołdowej, matki pierwszego męża Barbary, i jej majątkiem i pozostałemi córkami. Największe zaś zaufanie okazuje król Podczaszemu. Jemu zwierza się w listach ze wszystkich swych zamysłów; nie wyjmując urzędowych, opowiada swe troski n. p. pod względem zepsutych stosunków z poddanymi i dygnitarzami Korony. A z jaką delikatnością przyjmuje wymówki pani wil. i tłomaczy się jej iż syna pominął przy nadaniu jakiegoś urzędu. Żeby to nagrodzić, gdy wkrótce nastąpił napad Tatarów zdaje pospolite ruszenie na Litwie „pod przełożeństwo" Podczaszego (październik 1549) i jeszcze w następnym liście pospiesza wytłomaczyć się ze zbyt suchej, urzędowej formy jakiej przy tem użyto bez jego rozkazu w kancelaryi królewskiej. Już to w ogóle Podczaszemu niczego nie odmawia, w niczem się nie sprzeciwia, raczej ze swojej woli ustępstwa robi. Wielkim go smutkiem napełnia choroba Pani wil. w styczniu 1550 r. obiecuje doktorowi za jej wyleczenie *jus patronatus* na jakiejś kanonii. Że jednak przy tem wszystkiem tylko o Barbarę mu chodziło, świadczy list przestrzegający, aby zatajono przed nią, gdyby Pani wil. umarła — a jeszcze bardziej obojętność, jaką okazał, gdy rzeczywiście kilka miesięcy później przyszła wiadomość o jej śmierci.

Prawda, że przybył mu tymczasem nowy frasunek. Barbara zasłabła, wrzód powstał „na żywocie" i przybiera taką postać, że go lekarze chcą operować, choć nawet w tym razie nie ręczą za skutek. W swej niespokojności nie gardzi król i takiemi środkami, jak sprowadzeniem do chorej jakiejś baby „*in arte incantamentorum bene versatae et peritae*" i posuwa chęć oszczędzenia żonie wszelkich wzruszeń aż do napominania w listach, aby n. p. Podczaszy w obawie o zdrowie siostry nie chciał przypadkiem do niej przyjechać.

Na chwilę uśmierzać się zdaje choroba; listy króla zajmują się różnemi innemi sprawami. Zygmunt, który tyle dobrego wyświadczył Radziwiłłom, Podczaszego świeżo mianował wojewodą trockim, a Marszałka powołał do siebie dla powierzenia mu godności i spraw największej wagi, w nagrodę musi teraz patrzeć na ich zatargi familijne, i co gorzej znosić od nich przykrości. Krajczy Radziwiłł, stryjeczny Barbary, który wytoczył niesprawiedliwy proces bratu, Marszałkowi, wyrokiem królewskim potępiony, nie zaniedbuje żadnej sposobności, by Barbarze i Zygmuntowi niechęć okazywać i nawet publiczne awanije im robić. Skarży się król na niego najbardziej obrażony, że Krajczy z Kmitą coraz silniej się zaprzyjaźnia. Z Włochami też ma jakieś podejrzane stosunki, a i do Bony ciągle jeździ; za to wszystko karze go król odebraniem mu dochodów ze starostwa tykocińskiego.

Zwołanego z końcem wiosny 1550 r. sejmu do Piotrkowa, jednym z nienajmniej ważnych celów było przeprowadzenie koronacyi Barbary. W sekretnej cedule dodanej do listu z czerwca t. r., oznajmia król Podczaszemu stanowcze postanowienie koronowania jej w terminie nawet oznaczonym: na św. Katarzynę; co jednak ma zostać tajemnicą dla niebudzenia niechętnych. Zwłaszcza też Bona, której ceduła nie oszczędza wcale, intryguje teraz otwarcie i niepożałuje ani mienia ani „zdrowia, by rozsypać ten akt,“ nad który śmiercby swą przeniosła. Osiadła ona na czas sejmu w sąsiednim Gomolinie, gdzie przywiozła ze sobą „Wielkiego Ogoża“ czarownicę, którą jej atoli odebrano i teraz „w klatce śpiewa dosyć nie mało rzeczy, owa jest się czemu podziwać, co jednak potem z czasem wszystko wiedzieć będziecie.“ Mimo intryg Bony sejm przeszedł nadspodziewanie szczęśliwie. Z niezmierną radością opowiada król Podczaszemu odmianę w usposobieniu dawniejszych głównych przeciwników: Dzierzgowskiego, Kmity, Tęczyńskiego, Górki. Obok prymasa szczególnie Kmita ubiegał się w oddawaniu czci królestwu, wsiadającym na koń strzemię publicznie trzymał „z upokorzeniem;“ w Krakowie bawił u dworu i do Wiśnicza w gościnę zaprosił. Marszałkowi też jako najbliższemu Barbary krewnemu wszyscy nadskakują, jak donosi list ze sierpnia 1550 r. Tymczasem Podczaszy z rozkazu królewskiego siedząc w Wilnie, pominięty w odbieraniu

tych „poczciwości“ i do rady o losach siostry nie wezwany, obraził się snać o to, gdyż następuje list Barbary (wprawdzie bez bliższej daty), w którym bratu tonem nader serdecznym przekłada, że mając tyle dowodów życzliwości króla (przed rokiem też mianowany został hetmanem w oczekiwaniu napadu Tatarów na pograniczne starostwa), nie może się uważać za pokrzywdzonego; że zresztą w jej sprawie niczyja rada nie znaczy nic, gdy wszystko od łaski królewskiej zależy.

Pomimo tego listu własną ręką pisanego i zapewnień króla o polepszeniu, łudzono się tylko co do zdrowia Barbary. Owszem i wrzód się nie goi, i nogi puchną i febra bywa. W łóżku też musiała już przyjmować poselstwo zgody od Bony. Już przed tem było jedno, lecz August zrażony całkiem do matki z niczem je był odesłał. Przysłanie teraz Włocha spowiednika starszej królowej i jego jako kierownika sumienia zapewnienie o szczerej jej życzliwości i żalu za dawne niesnaski zmiękczyły opór, nie wlały wszakże całkowitej wiary w te oświadczenia. Choroba Barbary szła szybkim krokiem naprzód. W kwietniu okazuje się już groźną, w początku maja 1551 r. królowa umiera. W liście, w którym August o tem bratu donosi, widać głęboką żałość, lecz obok niej i pewną wyższą idealną miłość, która daje rezygnacyę i pociesza tem, że przynajmniej dusza ukochanej jest teraz szczęśliwą, odbierając nagrodę za przykładne życie i śmierć. W późniejszych listach przepisuje August bardzo drobiazgowo żałobne ceromonie i szczegóły przewiezienia ciała do Wilna, czemu sam będzie towarzyszyć. Tam też kazał Barbarę pochować obok pierwszej żony Elżbiety, zarówno dla pogodzenia jej własnym życzeniom jak i z pewnej niechęci, którą powziął do kraju, gdzie Barbara tyle doznała przykrości. Nie odwiodły go od tego nawet licznie odzywające się w Krakowie objawy sympatyi dla zmarłej.

Ciekawe jest zachowanie się Bony w obec śmierci synowej. Choć nie spotykamy wyraźnej wzmianki o otruciu lub usiłowaniu, jednak już samo wyrażenie króla przy opisie poselstwa owego Włocha: „wszelako acz to już tak smaczne poselstwo królowa Jej Mość do małżonki naszej wskazała, wszakże wolemy, iż się przez listy raczej nawiedzać będą, niżby się miały często pospołu widać, owa ku wieczerze trzeba będzie przyglądać,“ już to wyrażenie wskazuje, że musiały być po-

dejrzenia przeciw niej. Te zapewne szerzej się rozeszły i przybrały groźną postać, kiedy aż spowodowały Bonę do napisania listu do swego sekretarza Montego, w którym się zastrzega przeciw pogłoskom, iż to ona pierwsza wiedziała o śmierci „królowej.“ Zapewnia, że Tęczyński i inni „chodzili jakby z procesyą“ z tą nowiną do niej. Widocznie boi się, aby w skutek takiej pogłoski nie posądzono jej o przyczynienie się do śmierci Barbary. Charakterystyczne jest też spotkanie króla z Boną, opisane w ostatnim jego liście do Marszałka [1]). Z tej rozmowy przebija najwyższe naprężenie stosunków między matką a synem. Gdy między innemi wspomniała o zamiarze zapewnienia sobie u cesarza praw do należącego się jej Baru, zamiast odpowiedzi doręczył jej August „cedułę,“ którą z Włoch otrzymał i w której skreślone są jej knowania różne we Włoszech, obok zarzutu, że ona to przyspieszyła śmierć Elżbiety Austryaczki, zkąd wynika, że cesarz zapewne nie będzie skłonny za to ją wynagradzać. Z dziwną nieszczerością król oponuje się jej żądaniom przyzwolenia na wyjazd do Włoch i zbywa skargi na niesumienność Kmity, Tęczyńskiego i Montego, skargi które nie mogły jak tylko Augustowi być przyjemne. O Barbarze nie było mowy. Nie mniej znaczącą jest odpowiedź, jaką Bonie niezadowolonej snać z powyższej rozmowy dał August gdy nie mogąc przy ponownem spotkaniu doprowadzić do żadnego ważnego dyskursu, przez posła „z noclegu wskazała,“ aby zapytać czy prawda, że król ma się żenić z królewną francuzką. Z nieukrytem złośliwem zadowoleniem opisuje on w liście swą cierpką odpowiedź, że nie myśli wcale gotować trzeciej żonie losu, jaki spotkał dwie pierwsze. Wszystko to, zapewnia, nie było szczere z jej strony, „tylko propter formam“ i z interesu.

Równocześnie ze zbiorem Niemcewicza lub wkrótce potem przybyło kilka drobnych dodatków do literatury o Radziwiłłównej. Ossoliński w 3cim tomie swych *Wiadomości*

---

[1]) Data jego styczeń 1550 regni nostri XX jest oczywistą myłką. Z Pamiętników Lachowicza, o których niżej, dowiadujemy się, że na oryginale jest data 20 stycznia 1552 regni nostri XXII.

wyd. r. 1822, w monografii o Orzechowskim zatrzymuje się też nad paszkwilami przezeń przeciw Barbarze rozsiewanymi. Po *Fidelis Subditus*, o którym wspominaliśmy, napisał on drugi, który atoli nie był nigdy drukowanym. Ma on mieć tytuł: *De obscuro regis matrimonio*, czyli *De secundo connubio Serenissimi etc. ad Equites polonos Oratio*. Utrzymuje Ossoliński, że sama uczciwość zabrania przytaczać „gorszącego opisania w niem obyczajów tej pani, którą wtenczas brano na języki, najwięcej z zazdrości jej szczęścia“ i z chęci zniweczenia go. Orzechowski nawet jej wdziękom nie przypisuje dość siły do usiedlenia króla bez użycia miłosnych trunków, których pomocy używanie Barbarze zarzuca. Brata jej stryjecznego Mikołaja Czarnego mieni nie wspólnikiem lecz wynalazcą wszystkich fortelów, nawet rzuca na niego podejrzenie nieuczciwych stosunków z Barbarą. Paszkwil ten wydaje się być wielką rzadkością.

W roku 1830 został wydany z manuskryptu inny paszkwil łaciński, rozrzucony w Piotrkowie 1548 r. Jest on głównie skierowany przeciw Zygmuntowi Angustowi, choć i Barbarze nie oszczędza epitetów — i zawiera jakoby głosy, które miały udział w tej sprawie lub styczność z nią, niemniej zdania włożone w usta różnych personifikacyi. Nie można odmówić pewnego epigramatycznego dowcipu tym sentencyom będącym po większej częścl trawestycyą różnych miejsc z Pisma świętego, choć nie mniej stosownego jak forma, której użyto.

Powiada n. p. Fama od meretrices: Annuntio vobis gaudium magnum, quia datus est nobis hodie rex, qui est Sigism. Augustus.

Kasztelan krak.: Melius est nubere quam uri.

Kasztelan pozn.: Nisi hanc dimittes, non es amicus Caesaris.

Inni panowie: Noli sanctum dare canibus.

Germania: Ave rex Poloniae, et dabant illi alapas.

Kobiety uczciwe: Amen dico vobis, scorta et meretrices praecedeut nos in regno Poloniae.

Z taką to śmiałością niesłychaną występowano w obec tronu już w owych czasach!

W tym samym *Pamiętniku sandomirskim* tom 2gi, w którym wydany został ten paszkwil, znajdują się też dwa frag-

menty *z Dyaryusza sejmu 1548 r.* Jest mianowicie, prócz rzeczy, które już znamy, podana mowa „Jędrzeja grabie z Górki“ 22 listopada w senacie, gdzie w imieniu rad i posłów wszystkich dowodzi Augustowi, iż królowie polscy bez woli stanów nic nigdy nie przedsiębrali, i po prostu twierdzi, że król wolnie przez naród wolny obrany nic bez rad swych uczynić ani stanowić nie może i z tą „regułą“ na tron wstąpił. Powiada, że panowie, „rada WKM. proszą i śmiele radzą, aby WKM. to małżeństwo sobie nierówne na stronę odłożył, a mają tę zupełną nadzieję“ etc. Przypomina, co panowie powiedzieli Kazimierzowi Jagielle, gdy się wzbraniał pojąć żonę mu przeznaczoną: „królu nie będzie to“ i na postrach także sejm w Brześciu kujawskim, na którym rada zasiekła szablami układ zrobiony z Władysławem. Natrąca o tem, jak Kazimierz Jagiełło (według Długosza) przed radą swą zmuszony był klęknąć i kończy tem, że teraz rada klęknąć gotowa, by tylko króla od uporu odwieść. Pomijając mowę dość też zuchwałą od posłów ziemskich, wielkiem rozdraźnieniem tchnie jeszcze żegnanie króla przez marszałka Sierakowskiego, w którem wszystkie niezałatwione sprawy i wszystkie urazy stanów do króla (a zatem i o małżeństwo) są wypomniane.

Taki był inwentarz źródeł do historyi Barbary, oczywiście niedostateczny do wydania sądu o jej charakterze, gdy w r. 1837 ukazało się dzieło na zupełnie nowych źródłach oparte. Kilka lat przed tem przeniesiono za rozkazem rządowym familijne archiwum Radziwiłłów z Nieświeża do Wilna. Tam zyskał przystęp do niego Michał Baliński i znalazłszy bardzo cenny zbiór oryginalnych listów pochodzących i od samej Barbary i od Zygmunta Augusta, dwóch Radziwiłłów i innych osób w związku z nimi będących również wiele innych aktów, rachunków, wykazów, inwentarzy, notatek do czasów i sprawy naszej bohaterki się odnoszących, skorzystał z nich by napisać monografią tej królowej, której losy a zwłaszcza charakter dopiero on pierwszy miał sposobność dokładnie rozświecić. Tak powstała książka p. t. *Pamiętniki o królowej Barbarze*, a dzieło to z wielką gruntownością i sumiennością, a sympatyą dla Barbary napisane, taki obudziło interes do tej postaci, że nietylko posypały się utwory poetyczne o niej, lecz zaczęły i historyczne prace szybko przybywać.

Materyały historyczne pomnożył naprzód Lachowicz umieszczając roku 1842 w swych *Pamiętnikach do dziejów Polski* wydanych z rękopismów biblioteki cesarskiej petersburskiej zbiór listów Zygmunta Augusta do marszałka Radziwiłła, pomiędzy któremi znajdujemy kilka, lecz niezbyt ważnych, — z epoki nas obchodzącej; następnie dwa listy do Podczaszego, z których pierwszy z 4go sierpnia 1548, zawiera rozporządzenia co do podróży Barbary z Litwy do Korony; wreszcie dwie odpowiedzi królewskie na sejmie 1548 r. wydane z antografu i mało różne od podanych w dyaryuszu tegoż sejmu, o którem niżej będzie mowa. Dopełnił tę korespondencyę zbiór nieznanych jeszcze listów Barbary samej i jej otoczenia, wraz z opracowaniem ogłoszony przez Al. Przeździeckiego w 1szym tomie *Jagiellonek polskich* r. 1868. Wreszcie roku 1872 staraniem prof. Szujskiego z kilkoma innymi dyaryuszami, także bardzo dokładny dyaryusz sejmu piotrkowskiego 1548 r. w 1ym tomie *Pisarzów dziejów polskich* wydawnictwa komisyi historycznej Tow. nauk. krakowskiego.

Wprawdzie wszystkie bez mała poemata o Barbarze poprzedziły te dwie ostatnie publikacye, jednakże gdy one co do charakteru Barbary prawie nic, a do historyi jej o ile nas obchodzić będzie mało co ważnego przyczyniły, przeto zamiast traktować każdą z osobna, zbiorę je raczej wraz z dziełem Balińskiego w jednę grupę, aby na takiej podstawie naszkicować charakter a w grubszych rysach i historyę życia Barbary, tak jak się nam w rezultacie wszystkich badań przedstawiają.

W obec różnych wersyi poetycznych co do młodości Radziwiłłównej, jej stosunków z ludźmi i objawów charakteru gdy jeszcze była panną lub co do jej pożycia z pierwszym mężem Gasztołdem, wojewodą trockim, ciekawą byłoby rzeczą, módz sprawdzić, jak się rzeczy miały w istocie; niestety co do tego punktu nie mamy najmniejszych wskazówek. To tylko można powiedzieć, że zarówno przypuszczenie iż wychowała się na dworze Zygmunta I, jak i to, że nieszczęśliwą była w stadle z Gasztołdem, za którego poszła za mąż tylko przymuszona — są czystą fikcyą. Ale co więcej, trzeba razem

z Al. Tyszyńskim [1]) przyznać, że i cała historya poznania się Augusta z Barbarą, twierdzenie, że ono nastąpiło jeszcze za życia królowej Elżbiety, że następnie po śmierci Gasztołda († 1542 r.) bywała Barbara na dworze książęcym w Wilnie, wszystko to jest wymysłem Balińskiego, pozbawionym wszelkich dowodów. A wielka szkoda, że w tej materyi nie ma żadnych wiadomości, zwłaszcza o ówczesnem życiu Augusta w Wilnie i panów polskich z jego otoczenia, które musiało być bardzo wesołe i lekkie kiedy aż w przysłowie weszły *amores lituanici*, i które odbijało od sztywnej etykiety, jaką się odznaczał dwór krakowski w owej epoce. Pozostaje tylko jako niezbite to, co już w poprzednich źródłach wiemy o początkach miłości owdowiałego króla (Elżbieta † 1543 r.) do młodej wdowy po wojewodzie trockim, która się chowała u matki „surowego i dojrzałego rozsądku niewiasty“ jak ją zwie cytowany u Balińskiego rękopism Rysińskiego; o schadzkach wieczornych i fortelu, jakim familia Barbary przyspieszyła jej ślub z dostojnym kochankiem we wrześniu 1547 r.

Pewniejsze wiadomości zaczynają się od czasu, kiedy Barbara w krótce po ślubie osadzoną dla bezpieczeństwa została w Dubinkach pod strażą brata, Mikołaja Rudego i Dowojny, starosty mereckiego. Do Balińskiego przybywają nam odtąd badania Przezdzieckiego; zresztą każde twierdzenie oparte jest na dowodach. Dla uwidocznienia, zkąd czerpane są te dowody użyjemy gdzie będzie potrzeba początkowych liter nazwisk Balińskiego lub Przeździeckiego.

W Dubinkach spędzając czas w tęsknocie i samotności napisała Barbara szereg listów do bawiącego w Koronie męża, które dają nam nietylko obraz szczegółów jej pobytu znanych nam już zresztą, lecz co ważniejsza na nią samą i jej stosunek do Augusta mocne światło rzucają. Niepodejrzane te dokumenta wraz z listami późniejszymi, wykrywają też wiele pięknych stron jej charakteru, lubo wcale nie okazują jej jako kobiety niezwykłych przymiotów ducha.

Przedewszystkiem oczywiście wieje z nich głębokie przywiązanie, miłość namiętna do Augusta, która nie musiała być

[1]) Recenzya Pamiętników o królowej Barbarze w 2gim tomie Rozbiorów i Krytyk 1854 r.

udaną, gdy i Dowojna nie może się nad nią dość nadziwić, jak widać, między innemi z listu jego do króla z Dubinek 26 listopada 1547 (B.): „Piszę pod mem sumieniem zem nie widział którąby małżonka miała małżonka swego tak miłować bardzo, albowiem widziałem sam i doświadczyłem.“ Tkliwość ta przechodzi czasem w wyrafinowaną, przesadną sentymentalność, szczególniej w listach towarzyszących upominkom, wysyłanym nader często, bo przez 5 miesięcy pobytu w Dubinkach wiemy aż o siedmiu. Przy takim jednym n. p. pisze ona: „Posełam „WKM. pierścieńczynę, snać figurę zegarową, aby WKM. ra- „czył się według słońca sprawować, a na wschód do Litwy „daj Panie Boże WKMci prędki pośpiech! pokornie proszę, „aby WKMść patrząc na te dwanaście godzin, chociaż jednę „sobie obrać raczył, w którejbych ja najmniejsza sługa WKMci „mogła być w pamięci WKMci zachowaną.“ Kilka razy pisze też, że przyjechania króla oczekuje „jako dusznego zbawienia po śmierci.“ Mimo to pewna uległość każe jej o sobie zapominać, gdy chodzi o dobro króla, i we wszystkiem na jego wolę się zdawać, jak to szczególniej maluje się z listu pisanego w r. 1548 do króla, który już od pewnego czasu w Wilnie bawił, a nie chciał jej tam sprowadzić. „A iż sama na ono „(szczęście) tak długo nie patrzę, acz mi jest nie pomału tęskno, wszakże nie moja ale WKMci wola, niech się we wszem ze mną dzieje“ (B.) — Ale prócz tej pokory, którą zresztą rozmaicie można tłomaczyć, i nie jedna zaleta wychodzi na jaw z tej korespondencyi n. p. wielka dbałość o dobro sług i poddanych, których często królowi poleca.

Pełen rezygnacyi list powyżej cytowany, pisany do króla przebywającego o kilka tylko mil, potrzebuje komentarza. Zygmunt August choć po skończeniu sejmu powrócił w lutym 1548 r. z Korony do Wilna, jednak nie mógł Barbary tęsknocie zadość uczynić, albowiem małżeństwo pozostać musiało i nadal tajemnicą, przekonał się, że ani stary król ani stany nie byłyby się na nie zgodziły; stosunki familijne, nawet przyszłość jego jako monarchy mogła być zachwianą. Prosta więc przezorność nakazywała nie sprowadzać Barbary do Wilna, gdzie w końcu mimo wszystkich ostrożności rzecz nie byłaby się może dała dłużej zataić.

Śmierć Zygmunta I wybawiła go z tego przykrego położenia. Przez sam fakt zejścia ojca stawał się August prawowitym królem, nie było jedynego człowieka, który w swej niechęci mógł był zwolnić szlachtę od zobowiązania danego w r. 1537. Matka nie miała takiego znaczenia i w familijnych nawet stosunkach o jej przychylność lub nieprzyjaźń dbać już nie musiał tak bardzo, bo już oziębły były, jak się zdaje rodzinne uczucia. To też w pół miesiąca po śmierci starego króla, to jest zaraz po odebraniu o niej wiadomości, w połowie kwietnia zjezdża Barbara do Wilna i uroczyście na zamek zostaje wprowadzoną. Król wszakże musiał ją wkrótce znowu opuścić. Pogrzeb ojca powołał go do Polski. A gdy pobyt się tam przedłużał, umyślił powoli przygotować opinią na przyjęcie nowej królowej, i w tym celu wezwana do Korony Barbara, zamieszkała w Radomiu, a potem, aby być bliżej męża i rozstrzygającego jej los sejmu w Korczynie.

Źródło tak pomocne do ocenienia nietylko ogólnego znaczenia rozpraw na sejmie 1548 r. lecz i wielu osób tam występujących — jak Dyaryusz ogłoszony w Pisarzach dziejów polskich, było nadzwyczaj pożądanem. Sejm ten bowiem należy do punktów aż do najnowszych czasów najmniej wyświeconych w dziejach naszych. Wprawdzie najwięcej mówiono na nim o małżeństwie i Barbarze — i dla tego się nim szczegółowo zajmujemy — wszakże w istocie sprawa ta była poboczną. Sejm roku 1548 jest tylko jednem ogniwem walki politycznej, która cechuje całą prawie historyę naszą: walki reprezentantów narodu z rządem. Jako walka konstytucyjna byłaby ona i nie jedyną w historyi i łatwą do zrozumienia; lecz co właśnie stanowi trudność, to pytanie od kogo wyszedł ów ruch antimonarchiczny w XVI wieku, który zatruł panowania obu ostatnich Jagiellonów, a smutnie uwieńczony został słynnemi prawami kardynalnemi, mianowicie komu się należy „zaszczyt" przewodnictwa w opozycyi 1548 r.

Otóż według jednych historyków, zwłaszcza dawniejszych, cały ruch ten opozycyjny wyszedł od możnych którzy chcieli zawładnąć rządem. Cytują tu zawsze kilku senatorów, którzy mieli podobno zamiary zajęcia nawet miejsca na tronie. Że szlachta całem sercem do tych robót się przyłączyła, jest prawdą, mówią, lecz stało się to wskutek znanej polskiej skłon-

ności do dworowania możniejszym od siebie, i zaślepienia, z jakiem biedniejszy ogół popierał zamiary kilku umiejących go pozyskać panów.

Takie było długi czas ogólne mniemanie. Wnowszych zaś czasach powstał znów zarówno pomiędzy historykami jak i badaczami prawa polskiego, cały zastęp zwolenników zrodzonej przez Lelewela teoryi o demokratyczno-republikanckiej, „gmino władczej" misyi polskiego narodu, i ci przerzuciwszy się w drugie przeciwieństwo, dowodzą, że cały ruch opozycyjny za obu Zygmuntów — a więc i zajścia r. 1548 — wyszedł od niższych warsfw narodu, od szlachty, która nie miała wprawdzie planu działania, ale z nieugiętą wytrwałością i z świadomością celu dążyła do zreformowania ustroju państwowego. Panowie brali też udział w tym ruchu, lecz wcale nie w zamiarach jakichś wyraźnych przeobrażeń formy rządu, tylko dlatego, że wielu z magnatów uważało zamięszania krajowe za dobrą sposobność „łowienia ryb w mętnej wodzie" jak powiada jeden z głównych reprezentantów tego kierunku, Koronowicz *w Słowie dziejów Polski* (1858). Zgodne z tem zapatrywanie objawia prof. Zakrzewski w krytyce Igo tomu Pisarzów rzeczy polskich, umieszczonej w *Niwie* z maja i czerwca 1873 roku. Sam fakt iż senat długo nie śmiał sprawy Barbary poruszyć i dopiero go posłowie do tego zniewolili, oraz to, że opozycya senatorska przeciw małżeństwu tak rychło stopniała, ma już dostatecznie świadczyć, iż „jakkolwiek zawiść panów ważną odgrywała rolę, to jednak główny opór przeciw małżeństwu wychodził od stanu rycerskiego."

Pomiędzy tymi dwoma skrajnymi kierunkami w tłomaczeniu ruchu antimonarchicznego w owym czasie pośrednią drogę wybrał sam wydawca Pisarzów dziejów polskich. We wstępnych uwagach do tomu Igo nie zaprzecza on wprawdzie, że cały ruch polityczny u nas w XVI wieku był republikancko demokratyczny, wyszedł od szlachty, która pierwsza urodziła ową słynną egzekucyę, w szlachcie znalazł przeważnie swój żywioł i według jej życzeń się zakończył, niestety w sposób dla narodu najzgubniejszy, bo doprowadził do zupełnej zatraty pojęcia rządu. Jednak w chwili o którą nam właśnie chodzi, przy wstąpieniu na tron Zygmunta Augusta opozycya najmniej gmino-władczy miała charakter. Możni to mglistym dążeniom

szlacheckiego ogółu swym współudziałem nadali stanowczy wyraz i cechę programu pewnego. Oni to nie umiejącym działać ślepym masom, dali kieruuek, pochwyciwszy ster w swoje ręce. Wiadomo, że tak w Wielkopolsce jak i w Małopolsce senatorowie stali podówczas na czele opozycyi: tam Górka, tu Kmita. Że później kierownictwo ruchu przeszło do szlachty, lub nawet i do możnych, którzy atoli w duchu czysto demokratycznym je ujęli, to rzecz inna.

To zapatrywanie wydaje się najtrafniejszem ze wszystkich. Wszak Kmita i Górka wcale nie myśleli o gminowładztwie szlachty, tylko o swem własnem możnowładztwie; wszak otwarcie mówiono o jednego z nich kandydaturze na tron, jak z drugiej strony też Tarnowskiego podejrzywano o podobne zamiary. Dodajmy Tęczyńskiego, Leszczyńskiego i innych, a biskupów z wyjątkiem jednego tylko. Senat zatem nie był obcy ruchowi, owszem przewodniczył mu. Że zaś dwaj czy trzej stanowili wyjątek, nie wynika wcale, żeby z zasady byli opozycyi nieprzyjaciołmi. Kto wie, czy tu w rachubę nie wchodziły osobiste chwilowe powody; dla czegóż n. p. Tarnowski nie wahał się trochę później przystąpić sam do tej samej opozycyi?

Tak więc mamy wszelkie prawo sądzić, że ruch w 1548 r. był kierowany z góry, przez senatorów, po za którymi stała jeszcze Bona, obrażona w swej dumie małżeństwem syna, a prócz tego mająca w niesnaskach krajowych swe osobiste widoki. Szlachta, lubo miała pewne przeczucie gmino-władztwa późniejszego, lecz pozbawiona jeszcze jasności pojęć i świadomości wspólnych celów i dróg, szła ślepo za przewodem możnych i popierała ich interes a nie swój własny. „Polewki,“ jak to z samych rozpraw sejmowych możemy się dowiedzieć, byli uważani za narzędzia tylko w ręku możnych. Ustawicznie jest tam mowa o skrzywdzeniu przez króla powagi senatu oratorowie izby poselskiej, ciągle stają w obronie praw senatu, i jemu samemu nawet przypominają własne jego znaczenie.

Że panowie rada czekają na te przypomnienia, że się długo do wystąpienia zebrać nie mogą, to jeszcze nie dowodzi żeby władzę całkiem z rąk wypuścili i ulegli królowi. Łatwo pojąć że senatorom, jako będącym w bliskich z dworem stosunkach, a społecznie i majątkowo od niego bardzo zawisłym trudno przyszło jawnie przeciw królowi wystąpić: prywatnie

nurtował niejeden, każdy z nich prawie, lecz w żywe oczy, in corpore wydać mu wojnę, nie była to rzecz ani łatwa, ani korzystna. Daleko wygodniej było czekać aż posłowie tę wojnę wydadzą, a potem od nich być tylko zmuszonym do współdziałania, niby niechętnie i tylko przez wzgląd na dobro ogółu ważyć się na krok tak stanowczy. Również i to, że opozycya senatorska okazała się następnie tak łatwą do zwalczenia, nie dowodzi, iżby nie była rzeczywistą i szczerą, a tylko sztuczną i wymuszoną; ale dowodzi raczej jedynie, że kiedy szlachta uniesiona prądem raz rzuconego hasła, szła naprzód z bezwzględną, lecz niepraktyczną stanowczością, — możni działali z rozwagą i przebiegłością, a widząc niemożebność dalszego sporu, spostrzegłszy się odosobnionymi z góry i z dołu, zmienili politykę i starali się wyzyskać przynajmniej to wszystko, na co trudne położenie pozwalało. W tym też duchu mówi prof. Szujski w przytoczonym ustępie: „Opozycya.... użyła żądania bezzwłocznego egzekucyi praw z przysięgi 1537 roku.... jako najskuteczniejszej broni do pozyskania stanu rycerskiego... a nigdy podobno posłowie nie byli takiem igrzyskiem daleko, bo aż do zmiany panującege sięgającej polityki kilku dumnych możnowładzców, jak wówczas."

Już wiemy co pierwszych dni sejmu w senacie rozprawiano o „żałośliwem małżeństwie królewskiem" i znamy odpowiedź króla. Była ona dana deputacyi senackiej, a powtórzona w obec posłów przez Maciejowskiego w imieniu króla. Mimo uleglych niby próśb, aby panowie rady „to przejrzeć raczyli" połączonych z przyrzeczeniem, że „nic na potem oprócz woli a rady ich nie uczyni" zakończył ją August stanowczem oświadczeniem, że „do ciała swego, do majętności wszystkiej, do koszuli przestać żony nie chce." Posłowie tem wcale się nie uspokoili. Przez usta Boratyńskiego, który obok Podlodowskiego głównym jest ich mówcą, występuje przeciw senatowi z rozmaitymi wymówkami i zarzutami i domagają się wprost od króla usłyszeć odpowiedź, niemniej jak być też świadkami wotów pp. senatorów, aby się przekonać, jak ci w przytomności monarchy obstawać będą przy swych prawach podeptanych. Senatorowie powoli do ich życzenia się skłaniają, schodzi kilka dni, aż dopiero 13 listopada August, który już nie mając ochoty powtarzać swego tłumaczenia, zapraszają-

cym go na obrady rzekł niecierpliwie: „i długoż mam być na tej dyscyplinie, lecz jedynie, żeby kto nie rozumiał, bym się czego bał“ zniewolony przychodzi do senatu i w obecności posłów wygłasza ową słynną mowę zakończoną wyrażeniem, że „co się stało, odstać się nie może“ przeto wszelkiej dyskusyi o tem małżeństwie już raz trzeba zaprzestać. To stanowcze słowo musiało wywrzeć wrażenie, gdyż nastało „silentium“. Po chwili dopiero odważył się przerwać je Kmita ponawiając żądania, aby po kolei senatorowie wotowali każdy z osobna. Król jeszcze raz powtarza, że o czem innem, dobrze, lecz o małżeństwie rozprawy wymawia sobie. Wtedy jeden po grugim wstają senatorowie, aby oświadczyć, że jeśli nie o małżeństwie, tedy o niczem innem mówić nie będą. Nawet Maciejowskiemu chcącemu się wytłumaczyć, że choć teraz jest za przeoczeniem kroku królewskiego, lecz nigdy go nie doradzał, jak jest posądzany przez niektórych, nawet jemu król widzi się zmuszonym głos odebrać, co biskupa pobudza do wykrzyknienia z oburzeniem: „A także mamy być w tych kleszczach!“ Nie pomogły Tarnowskiego przedstawienia, że o tem co już minęło, próżno mówić“, wstaje po nim Kmita i przypomina po raz drugi żądanie posłów, a gdy król mu przerwał napomnieniem, że nie o tem ma być mówiono, on zuchwale odpiera: „Jeno końca W. K. M. słuchaj, bo nie darmoć odtąd poczynam, przyjdę ku propozycyi swej.“ Naturalnie iż tego już zanadto było Augustowi, zirytowany zawołał: „i cóż, na tążem dyscyplinę przyszedł tu... Pójdę lepiej precz!“

Teraz zawrzała burza. Kmita rozzuchwalony woła: „Wzdyć in libera republica libere mogę i mam mówić,“ a po jego gwałtownych wykrzykach, zrywa się Rafał Leszczyński, wyrzuca królowi zamach na wolność obrad: „Nowy to Mości królu obyczaj,, a chwalić go nie masz przecz w radzie królewskiej: to mów, a to nie mów“: zwraca uwagę, że panujący co do związków małżeńskich wcale się za niezależnego uważać nie ma, „boś nam przełożonym panem, ale wolność nasza W. K. Mości jest prawem opisana. Bez nas, rad swych nic czynić ani stanowić nie zechcesz i nie możesz....“ Gdy i inni senatorowie to samo powtarzali i nie zaspokoiła ich protestacya królewska: „Nie rozumię co za nieszczęście, że mnie zrozumieć nie chcecie, gdyż wam powtarzam wielekroć że ja

WM. Panom mówić nie zabraniam, jedno... powiadam, że próżno się tem bawić, a czas tracić co się odstać nie może“ wtedy już August rozgniewany wstał i zawoławszy: „O już ja wiem co czynię!“ wyszedł z Izby.

Według tradycyi na tej scenie zakończyć się miał sejm. Tymczasem wcale tak nie było, owszem główny ustęp walki o Barbarę dopiero po niej nastąpił. Rozprawy bowiem pomimo powyższego zajścia trwały dalej następnych dni zarówno w Izbie poselskiej jak w senacie, w którym jeszcze Latalski, woj. poznański odzywał się za królem. I kilku natarczywemi mowami, mianowicie przemówieniem Hieronima Ossolińskiego o wolnem wotowaniu senatorskiem, przywiedziono króla w końcu do tego, że pozwolił zabierać głos w drażliwej sprawie małżeństwa.

Dali tedy wolność językom panowie i trzeba Augustowi przyznać wielką cierpliwość, iż słuchał, gdy n. p. Dzierżgowski o owem zajściu w senacie wyraził się: „jeśliż to W. K. Mści z niewiadomości jeszcze, jeśliż z młodości swej uczynił, znośniejszaby rżecz była, ale jeśli z jakiego innego przywidzenia... proszę aby W. K. Mści etc.“ W podobny sposób wszyscy prawie zaczynają od strofowania króla za krok jego nieparlamentarny, przechodząc potem do ganienia małżeństwa, prymas zaś zakończył śmiałym wywodem, w którym okazuje, że nie masz skrupułów sumienia naprawić to, co się przeciw sumieniowi uczyniło, a przysięga małżeńska jako tajemna i niegodziwa przestaje obowiązywać. Jednak nie znajdujemy w tym dyaryuszu wyrażenia jemu przypisywanego o gotowości rozłożenia grzechu z rozwodu królewskiego na głowy całego narodu. — W podobnym duchu jak pierwej broni Maciejowski ważność sakramentu, ganiąc otwarcie niestosowność związku; tak samo i Tarnowski, który nawet zapewnia, że, gdyby go mógł rozerwać, ukląkłby na kolana, lecz kiedy nie ma już rady, zaklina, by o tem przestano myśleć. Tu dopiero, gdy tak wszyscy senatorowie „paucissimis exceptis“ na króla nalegają [1]), wy-

---

[1]) Głównymi ich mówcami byli jeszcze Tęczyński, Dziaduski biskup, Kmita i Górka, którzy zgadzają się w tem, że małżeństwo rozerwanem być winno, a w przeciwnym razie królowi grożą utratą przychylności narodu. Pierwszy przema-

znaczają i posłowie, będąc w Izbie obecni, z pośród siebie Boratyńskiego, by w ich imieniu ostatni atak przypnścił. Ten gdy w długiej nader mowie popartej przykładami z historyi starożytnej i polskiej wyczerpnął wszystkie środki oratorskie, w końcu z całą Izbą poselską rzuca się przed królem na kolana. Nie chybił wrażenia, bo nie tylko król wzruszony zawołał: „Wejże ich! wejże! trzebaż tego?“ ale wielu z przytomnych łez powstrzymać nie mogło.

I na tym epizodzie dramatycznym, który król zrozumiał tak, jak gdyby tylko błagano o niekoronowanie Barbary, i już na chwilę gotów był tego zamiaru odstąpić (list do Radziwiłła Czarnego z 18 listopada 1548 r.) i na tem nie zakończyły się jeszcze rozprawy. Sierakowski marszałek Izby rycerskiej przemawiając na jednej z następnych sesyi od posłów do senatu, nie wahał się oświadczyć że gdy wielu z panów sprzeciwia się małżeństwu królewskiemu z powodu jedynie, iż nie spodziewają się po niem potomstwa (Barbara bowiem w 1szem stadle go nie miała), tymczasem naród zupełnie nie żąda ani Rzplta potrzebuje, aby było potomstwo, które z tego związku nikomuby „wdzięcznem być nie mogło. I tak rozjątrzano się coraz więcej, powtarzając zarzuty i twierdząc, że jeśli ta jedna samowola będzie królowi przepuszczona, zapragnie drugiej i trzeciej, aż w końcu całkiem się bez senatu obejdzie; aż gdy na wyczerpującą a śmiałą mowę Andrzeja z Górki król po raz trzeci odmowną dał odpowiedź i napomniał, aby już raz o innych sprawach zaczęto mówić, niechęć przybrała wyraźne kształty. Parę dni zeszło na deliberacyach, czy senat został obrażony przez króla czy nie, wreszcie posłowie zrobili krok pierwszy oświadczając senatowi, że nie czują się upraw-

---

wia tu w słowach wcale umiarkowanych i zgodniejszych z relacyą dyaryusza Niemcewiczowego niż z podaniami historyków o alluzyi do brody (barba) Solimana; ostatni zaś przypomina przykłady przodków, a zwłaszcza ojca Zygmunta Augusta, co mając chęć pojąć za żonę ostatnią z Piastów mazowieckich, uległ jednak woli senatu i odstąpił od swego zamiaru. Twierdzenie o tyl naciągnięte, że jak Tomicyanów tom 3ci przekonywa, księżna to mazowiecka jedynie zabiegi czyniła, nie Zygmunt około małżeństwa. Gdy spełzły na niczem jej ambitne plany, poszła za Odrowąża.

nieni dalej obradować, z pominięciem sprawy, która na sam początek im została przez mandantów poleconą. Poczem i senat wziąwszy do serca jako obelgę to, iż król pewnego dnia na naradę wezwał samego tylko Tarnowskiego do siebie, przychylił się do żądania posłów i oświadczono królowi przez deputacyą, że wzgardzeni przez niego panowie rada, dłużej z nim radzić nie myślą. Daremnie król usiłował sejm utrzymać; 12 grudnia nastąpiło żegnanie przez Sierakowskiego, znane nam już, po którem król jedynie by się nie uznać za zwyciężonego zasiadł do sądów z „małym pocztem senatorów... na koniec ze dwiema tylko.“ Wydany po tym sejmie reces królewski, wielkim żalem do reprezentantów narodu tchnący, pierwszy raz też przy dyaryuszu, z którego to wszystko czerpiemy, wydrukowany został.

Tak więc, lubo o egzekucyą właściwie chodziło, o wywalczenie reprezentacyi narodu większej władzy i o zrobienie króla „malowanym,“ związek królewski jest głównym przedmiotem rozpraw. Zaraz z początku chwycono się tej myśli, może przez Bonę poddanej, około niej obraca się sejm cały i o to się rozrywa, jak gdyby Barbara była ową solą w oku szlachty, nie pozorem tylko, punktem zaczepienia. I trzeba przyznać, że plan zręcznie był ukartowany, że jeśli chciano króla zaatakować z najdotkliwszej strony, to trafiono w nią. Że zaś ostateczny wynik walki nie był pomyślny opozycyi, zasługa to jedynie stanowczości i wyjątkowej energii Augusta, który odrazu się oparł natarczywościom, do końca wytrwał w oporze i tak zawładnął sytuacyą, szkoda że do czasu tylko.

Lecz z drugiej strony choć w praktyce energia jego okazała się zbawienną, zaprzeczyć się nie da, iż fakt sam małżeństwa był w najwyższym stopniu samowolnym i niedozwolonym. I to jeszcze — a obie te uwagi pochodzą z przytaczanej już recenzyi prof. Zakrzewskiego — że, jeśli pod względem politycznym opozycya wcale nie potrzebowała się powodować samą chęcią dokuczania królowi (wszak nawet obrońcy nie śmieli pochwalać niestósownego postępku królewskiego), to i ze względu na religię nie była niegodziwą, albowiem jeszcze w owej chwili sobór trydencki nie zniweczył był swem orzeczeniem dawnego i powszechnego mniemania, że małżeństwo tajemnie zawarte zupełnie jest nieważnem.

Po smutnem zakończeniu sejmu, w najtrudniejszem położeniu znaleźli się możni. Stanąwszy otwarcie przeciw monarsze, i jako firma opozycyi ściągnęli naturalnie całą jego niełaskę na siebie, zaczem szły upokorzenia, straty posad i dochodów. Od narodu też nie czekało ich nic dobrego, bo chwiejnością swą dali byli sami powód do podejrzeń o nieszczerość i do niechęci ogółu. Niepozostawało nic, jak starać się o powrót do łaski pańskiej.

Rzeczywiście widzimy zaraz po sejmie, jak ci sami panowie rady, zapomniawszy o co dopiero walczyli, i zerwawszy solidarność z „młodszą bracią" zwracają nagle swą politykę i po nieudanym zamachu na króla usiłują pozyskać względy jego. Opawiada z wielkiem oburzeniem autor dyaryusza, jak Kmita i Górka „opuściwszy stateczne wota swe, poczęli królowi pochlebować, a u królowej Barbary łaski szukać," a nie oni jedni byli.

Ten zwrot tak się prędko stał, że już zaraz po sądach mógł król wraz z przedniejszymi panami do Korczyna zjechać, aby żonę jako królowę powitać. Z jaką dobrodusznością przyjęła Barbara oświadczenia tych nawracających się ku niej, przekonywują nas jej własne listy. Przytoczymy jeden do brata; przed którym z pewnością nie byłaby udawała dobroci i łatwości usposobienia, gdyby ich nie miała. „JM. panowie koronni, duchowni i świeccy miejsc przedniejszych, którzy nas tu przy JKM. i przy wszem zebranem rycerstwie, którego około JKM. było, wdzięcznie przyjęli, życzliwie i poczciwie wszego dobra nam winszując, życzliwości i powolności swe i swych domów ofiarowali i na ten czas ile to być mogło okazowali, z czegośmy etc..... A z tego P. Bogu jeszcze więcej dziękujemy iż i tych, którzy pierwej przeciw temu byli, aby nas byli nigdy znać albo jaką poczciwość czynić mieli, ku tej drodze przywrócić raczył." Tak prawie naiwnie pisze jeszcze z Korczyna 1549 r., a podobna łatwość i skłonność do darowania uraz występuje i przy innej sposobności, o pogodzenie dwóch powaśnionych braci, rodzonego Podczaszego ze stryjecznym Marszałkiem. Zapominając doznanych od tego ostatniego przykrości, wdaje się Barbara między nich i swem pośrodnictwem ich godzi. „Nie chciałam tego zaniechać, pisze ona do brata w lutym 1549 r., abych nie miała dać znać WM. o naszem zjecha-

niu z panem marszałkiem... Owa nakoniec mnie prosił, abych mu była dobrze, przypominając gniew swój, który WM. z sobą macie.... i prosił mnie o to, abych to WM. dała znać, iż on WM. chce być dobrze. Ja to od niego słysząc byłam tego wdzięczna, nie dla niego, bo wiem co on WM. czynił, ale dla ludzi i dla tego że WM. sobie i mnie bracia... Nie dla niego to czynię, bo WM. sam wie co on mnic ezynił. Pan Bóg niechaj mu to płaci. A jak ja WM. proszę, aby to raczył dla mnie uczynić, abyś mu tak być raczył, jakoż WM. po nim znać będzie."

W tym samym mniej więcej czasie 13 lutego nastąpił wjazd królestwa do Krakowa, który odbył się nader pomyślnie, zważywszy niedawne niechęci. Po nurzących ceremoniach i przyjęciach dworskich, potrzebowała piękna królowa trochę wypoczynku, tem bardziej, że już dały się czuć pewne początki następnej ciężkiej choroby. Ostatnich dni lutego wyjechali też oboje królestwo na parę tygodni do Niepołomic.

W czasie ich tam pobytu spotykamy pierwsze ślady tego, co dało powód do zarzucania Barbarze ambicyi, dumy. Oto zaczęły się kroki dla przypomnienia królowi, który jakoś od sejmu ostygł był w swych dawnych zamiarach, że Barbarze należy się koronacya. Żeby od niej samej propozycya teraz była uczyniona, nie masz dowodu, posiadamy tylko list jej do brata Podczaszego, w którym upomina się o to, więc o natarczywych zabiegach jego wiedziała, nawet go do nich pobudzała, tylko że list ten taką tchnie prostotą i argumenta tak są słuszne, że z nich najmniejszego cienia zarzutu wyciągnąć nie można. Bo i w końcu cóż tak dziwnego, że pragnęła tego co jej się należało, i co jej dopiero jakieś stanowisko zapewnić mogło, a wyprowadzić z upokarzającego położenia dotychczasowego?

To już wyraźniejszą ambicyą upatrzeć by można z okazyi uładanego z końcem wiosny projektu objazdu uroczystego Wielkopolski, dla wprowadzenia Barbary niejako w posiadanie tej najstarszej i zawsze pewnem uszanowaniem otoczonej dzielnicy Polski. Otóż bawiący wciąż w koronie przy królowej brat jej stryjeczny pisze z tego powodu do Podczasego: „Perswadowałbym królowej aby tam się nie kwapiła, ale rozmyślam się by mojej życzliwej rady w co innego nie obracano;... nic nie dokaże ani około Poznania, ani około czeko innego, jeżeli się

ona naprze, a tak dla P. Boga racz WM. o tem myśleć, jakoby jej to z głowy wybić“ (u B.). W każdym razie jedyne to świadectwo, nie dowodzi żeby jej się zachciało tryumfalnej podróży, tylko że się tego obawiano.

Jako jeden z powodów niejechania, przytacza Marszałek w tym liście przykrości jakie tam Barbarę czekają, „liczne paskwiluse,“ które może od samej kolebki oddzierać będzie trzeba. W tydzień później donosi, że już wykryto autora tych pism, szkoda że nazwiska jego nie podaje. Że wiele od różnych paszkwilantów ucierpiała Barbara, wiemy już ze wzmianki Stryjkowskiego i z własnego przeświadczenia, a powstawał też na nich i Maciejowski i Tarnowski na sejmie 1548 r. Baliński traktuje paszkwile w osobnym dość obszernym przypisie, z którego się dowiadujemy o jednem jeszcze niedrukowanem, a treścią do paszkwilu Orzechowskiego podobnem pismie bezimiennem, w rękopismie znajdującym się w bibliotece dzikowskiej p. t. *Mowa do Senatorów i rycerstwa w Polsce o małżeństwie Zygmunta Augusta* roku 1548. Ma ono zachęcać Wielkopolan do powstania przeciw małżeństwu króla z Barbarą, który prócz wielu śmiesznych zarzutów i ten także czyni, że nawet nie jest córką Radziwiłła lecz Zygmunta I. Baliński podejrzywa, że autorem tej mowy był Tęczyński, o którego potwarczym jakiemś piśmidle kilka wzmianek w historyi spotykamy.

Więc nie bez przyczyny obawiał się tak bardzo Marszałek podróży do Wielkopolski. Przyszedł mu w pomoc pożar zamku krakowskiego w końcu lipca, a w jesieni tegoż r. 1549 napad Tatarów na Ruś, podróż musiała być odłożoną, potem zaniechaną całkiem. Zresztą niemożna też tak bardzo za złe brać Barbarze, jeśli „napierała“ się tego uznania publicznego, do którego jako żona królewska miała niezaprzeczone prawo.

W tym samym jednak czasie zaczynają się gromadzić coraz liczniejsze zarzuty oskarżające Barbarę o rozmaite ujemne strony i wady charakteru. Najprzód że zrobiła się kapryśną, szorstką i przykrą. W przytoczonym powyżej liście z 4 jeszcze lipca pisze dalej Marszałek do Podczaszego: „już około cnotliwego chowania za łaską bożą mało szczypią, jedno przypisują gniew o leniwe ubieranie, musi król czasem czekać godzinę nim się wyburda. Racz WM. wiedzieć że przyjechał

Skotnicki i chce swą córkę wziąć, snać prze jakieś częste fuki, które jej się dzieją od królowej.“ W jakiś czas później i ochmistrz królowej St. Maciejowski zaklina Podczaszego (w liście z 14 sierpnia), ażeby radą czuwał nad siostrą, która nietylko sobie lecz i królowi zraża poddanych. Ażeby temu w jej własnym i całej rodziny interesie kłaść ile możności tamę, poleca zaniepokojony Podczaszy sekretarzowi Barbary, Koszuckiemu donosić sobie o wszystkiem coby potrzebowało skarcenia. Z pisanych na to wezwanie relacyj dowiadujemy się o wielu nagannych jej sprawach; jako streszczenie zarzutów można uważać list jego z 14go sierpnia. „Ta jest, pisze on, przyczyna, którą się vulgus bardzo obraża, iż się pani naszą bardzo jakoś intolenter co dalej to więcej ku górze albo podnosi, albo więcej w niebaczność przychodzi. Jedno to WM. wiedz, że to, a zwłaszcza ista tempestate, in malam partem interpretantur, a bardzo się z tego poczynają nią brzydzić usque ad domesticos et intimos eius. Kiedy się na pokoju zawsze, dzień albo kilkanaście już jej nie widzieć, ani tam sługa wchodzi żaden, nakoniec i pana Lubelskiego (Ochmistrza) nie puszczą. Zakołatawszy musi ze wstydem przez wpuszczenia odejść, co go wżdy jako Radę pańską i pierwszego urzędnika bardzo obraża... Nadto też to ludzi bardzo obraża do Pani naszej... iż jej król bardzo często czekać musi, gdy do kościoła, albo gdzie społu iść mają. Panowie na sieni stoją z królem, a królowa JM. się dopiero ubiera... Szemrzą ludzie... iż króla przy sobie wciąż więzi i bardzo się boją, ne negligentem cum reipublicae reddat.“ Wreszcie donosi, że oburzają się, „iż miasto pomocy miała psuwać“ ludziom interesa u króla, jednak zaraz dodaje „za co jabych przysiągł iż tego nie masz.... Coś tam sam znam iż się frigide przyczynia, ale wiem że to nie złością czyni, jedno solutione quadam animi a niedbałością, z czegoby ją bardzo potrzeba przestrzegać, niż ludzie więcej na zęby wezmą.“

Ciężkie zarzuty! szczególniej ostatnie o nieużytości i umyślnem szkodzeniu tym, którzy o protekcyą proszą. Tylko, że już sam Koszucki podaje główne z nich w wątpliwość, inne przypisuje jedynie pewnemu złamaniu ducha. Bliższe rozpatrzenie się w tej rzeczy przywiedzie nas nietylko do pobłażliwości dla Barbary, ale nawet do przekonania o wielkiej przesadzie z jaką Koszucki w zbytniej gorliwości wady swej pani

opisywał. Mamy przecież współczesne listy Barbary, mamy i inne z tego czasu listy samegoż Koszuckiego, które w innem świetle te stosunki nam przedstawiają. Przezdziecki podaje 5 listów Barbary do Podczaszego z r. 1549 tyczących się ofiarowanego mu wówczas przez króla województwa trockiego, jeden z lutego t. r. w którym bardzo gorąco wstawia się u brata za swoim odźwiernym, list z lipca w najpokorniejszych słowach upominający matkę, aby nie przyjmowała u siebie Hreora Chodkiewicza, królowi nieprzyjaznego, i z września 1549 r. z Krakowa, w którym Barbara opowiada bratu swe zabiegi, podobno daremne, około pojednania Marszałka z Krajczym. Co więcej, 4 lipca, a zatem równocześnie z owemi skargami Marszałka pisze Koszucki do podczasego: „.... iż mi WM. rozkazał dać sobie znać jeśliby Jej KM. z kim poprzek nie była, to racz WM. wiedzieć za istotną prawdę, iż za łaską Bożą wszystkim Jej M. jednaką twarz ukazować raczy, acz jakom WM. przedtem pisał były niejakie simultates między Jej KM. a między ową panią duszką, panią Lubelską dla jejże pychu, który Jej KM. kilkakroć ukazała, bo mi to sama JKM. opowiadała, iż kilkakroć na słowo Jej KM. niechciała prawie w oczy odpowiedzieć i dla tego był król zapowiedział, aby była JKM. z nią nigdy nie mówiła. Wszakoż na pisanie, a na rozważenie WM., Jej KM. tego już nie baczy i owszem z nią mawia i żartuje jako z którą inną.“ W liście znów 5 sierpnia, więc na tydzień zaledwie przed owem szerokiem oskarżeniem pisanym, donosi Podczaszemu: „Co się Jej KM. dotyczy, tegoć inaczej powiedzieć nie mogę, jedno żećby WM. bardzo rada, boć iście WM. miłuje, tak jako siostrze przystoi. Bóg zna żeć Jej królestwo nic nie zawadziło, ni kęsać nie zhardziała, już mi WM. wierz. Zatem przez 8 dni takby nagle była zhardziała, jak to ten sam Koszucki opowiada w liście przytoczonym wyżej?

Doprawdy, osoba, która tyle czasu i fatygi łoży, gdy idzie o interesa brata i zawiadomienie go o nich, tak ulegle i oględnie robi matce uwagi co do stosunków z jednym z głównych jej nieprzyjaciół, z jej wiedzą spiskującym przeciw niej z Boną, osoba co tak szlachetnie była skora do zapomnienia nietylko zwykłych uraz lecz publicznie wyrządzonych obelg, i będąc królową, i do tego w drażliwem położeniu wyniesio-

nej na tron z niższego stanu, pierwsza żonie urzędnika dworskiego rękę do zgody podała; która z takiem zaparciem się siebie pośredniczy w sprawie pojednania dwóch tak bliskich krewnych, co jej wyrządzili byli tyle zmartwienia, nawet upokorzenia jak wiemy, osoba, która z tronu tak serdeczny z poddanym swym bratem zachowuje związek, jak gdyby żadna odmiana w ich wzajemnym stosunku społecznym nie była zaszła i pisze do niego n. p. „iż się WM. między innymi rzeczami na braterstwo swe ku nam w potrzebach swych odwoływasz, za to i dziękujemy i prosimy byś WM. to o nas rozumieć raczył, co brat o siostrze rozumieć się godzi, nie inaczej, jakobyśmy też z domu WM. nie wyszli," i która wreszcie tak troskliwa jest o dobro swych sług, dawniejszych nawet, osoba ta nie mogła być ani obojętną, ani nieużytą, ani pogardliwą, wyniosłą i szorstką. Że i tak nieprzystępną i opryskliwą nie była, jak pod chwilowem zapewne wrażeniem oskarżał ją i sekretarz i brat stryjeczny, ale owszem musiała być bardzo łatwą i nawet upomnienia i uwagi nader chętnie przyjmowała, widać z listu tego samego Koszuckiego, niewiele późniejszego, bo z 26 października, w którym tenże zasięgając zdania Podczaszego, czyby mu godziło się przestrzegać królowę w jej uchybieniach, zarazem oświadcza, że gdyby ktoś znakomitszy nawet stanowiskiem od niego do tej delikatnej sprawy był przeznaczonym, zawsze wypadałoby jemu być obecnym przy tem powiedzeniu prawdy Barbarze, która w nim swoje zaufanie położyła. Choć się tedy nieco obawiał występować w tak trudnej roli, czuł jednak, że królowa przyjęłaby bez urazy uwagę nawet w obecności sługi, a może i od niego.

Pokazuje się więc, ile tych zarzutów było niesłusznych, jak owszem Barbara w dość wysokim stopniu posiadała zalety przeciwne wadom, o które ją obwiniano; z jednego jej tylko zwolnić nie możemy, mianowicie, że była kapryśną. Tylko pamiętajmy że to jest wada tak mała, tak częsta nie u kobiet samych, a potem że właśnie u Barbary tyle mogła mieć powodów.

Ileż to przykrości znosić musiała, przybywszy do Korony! Starano się ją koniecznie rozwieść z ukochanym Augustem rzucono na nią najnieoględniejsze obelgi w mowie i w piśmie, dygnitarze, nawet krewni, nawet urzędników pałacowych żony

robiły jej publiczne awanije, odwracały się od niej. Przytem targnięto się na jej dobrą sławę, obrzucono błotem jej urodzenie. Gdy i to nie odwróciło od niej serca Augusta, a cnota jej odniosła tryumf nad potwarzą, zaczęto przez złość upatrywać w niej różne wady charakteru, podchwytywać drobne usterki, potęgując je do rozmiarów brudnych skłonności, zdradliwości, mściwości. Ale czyż sama ta niechęć, ze wszystkich stron ja ściskająca, to podglądanie każdego czynu, ciągła obmowa i zawiść ludzka, nie musiała w niej obudzić pewnej niechęci i braku zaufania do dworzan nawet; drażliwość, zamykanie się lekceważenie senatorów, jeśli były istotne, czy nie miały właśnie źródła w ciągłym oporze, dotykaniu miłości własnej, w obmowach i intrygach, któremi w kraju i na królewskim dworze została przyjętą? Zapewne każda najświętsza kobieta w tej sytuacyi stałaby się zgryźliwą i nieprzystępną, i nie dziw też, że Barbara unikała wszystkich obcych, a „więziła“ jedynego człowieka, w którym liczyć mogła na szczere i przychylne serce. Łatwo także pojąć, że jeśli istotnie nie dość gorąco przyczyniała się za poddanymi, główną tego przyczyną było delikatne jej położenie wobec męża, któremu wszystko zawdzięczała, i któremu zbyt się stawać natrętną bronił jej prosty zwykły takt.

Te wszystkie łagodzące okoliczności atoli bledną naprzeciw jednej, a tą była choroba. Cierpienie, które na początku 1549 r. się było objawiło, przybierało z czasem coraz groźniejszą postać; w rok potem niebyło już wątpliwości, że to jest rak, pokazał się „guz na żywocie.“ Choroba tak niszcząca a przytem dolegliwa, musiała wpłynąć na usposobienie królowej, dla której zachowanie dawnej pogody duszy stało się fizycznie nie możebnem; można nawet przypuścić, że wiele z tych niedokładności wspomnianych, było wypływem jedynie choroby, bo z nią razem się pojawiły a w stanie zwyczajnym wcale nie były właściwe jej usposobieniu.

Do przykrości i cierpień, przybył w kwietniu 1550 r. jeszcze smutek śmierci matki, starej kasztelanowej wileńskiej. Baliński żywemi barwami maluje żal i zmartwienie Barbary na wiadomość o tej stracie; potwierdza to i Koszucki w liście do podczaszego z 26 kwietnia t. r.: „Mam za to, iżby (królowa) to była W. M. teraz pisać kazała, ale w tym kłopocie

już późno pomyśleć, bo wszystko dla śmierci pani wileńskiej tak się frasuje, aż prawie omdlewa.“ Co jednak dziwna, to że z dwóch zachowanych listów samej Barbary, wcale nie możemy takiego wniosku wyciągnąć. W pierwszym zaraz po śmierci matki pisanym w długich nad miarę wyrazach rozpisuje się naprzód o rozmaitych interesach, upomina brata przed zażyłością z Chodkiewiczem, doradza, jaką drogą Krajczy może naprót wejść w łaskę królewską, cieszy się ze zgody między marszałkiem a podczaszym, a dopiero na samym końcu w słowach doprawdy zbyt skąpych i spokojnych donosi, iż otrzymała wiadomość o śmierci matki. I drugi list po pogrzebie tejże przez Barbarę pisany nie zdradza gwałtownego smutku. Wogóle zdaje się, że stosunek Barbary z matką nie musiał być bardzo serdeczny; choćby wnosić tylko ztąd, że gdy do brata tak liczna korespondencya jej się przechowała, do matki jeden list posiadamy. Jednakowoż, lubo może nie tyle, ile opisuje Koszucki, ale zawsze boleć musiała Barbara, bo to była jej matka, i matka, której wiele była winna, która wśród niemałych trudności i niebezpieczeństw z dziwną umiejętnością przez młodość ją przeprowadzić umiała, jak słusznie uważa Baliński.

Tymczasem stan zdrowia Barbary coraz bardziej stawał się niepokojący. Przy wzmagającej się obawie nawet o jej życie, gorliwiej zaczął król myśleć o koronacyi, i w tym między innymi celu zwołał sejm do Piotrkowa na początku maja 1550 r. Barbara została w Krakowie, list jej do króla, bez daty, lecz wedle treści przed samym końcem sejmu pisany, jest wymownym dowodem przeciw zarzutom ambicyi wielostronnie jej czynionym, gdyż pełen wyrazów tęsknoty za mężem, ani wzmianki o koronacyi nie zawiera, a przecież ta sprawa właśnie wtedy się roztrzygała. Rzeczy bowiem tak pomyślnie poszły, że chodziło już tylko o naznaczenie dnia ceremonii.

Wszakże nie odrazu się okoliczności tak ułożyły. Nie mamy wprawdzie dyaryusza tego sejmu, lecz wiemy, że z początku były jeszcze niejakie trudności, w których niemałą rolę grały knowania Bony. Po nie zupełnie wedle jej myśli wypadłym sejmie r. 1548, usunęła się matka ostatniego Jagiellona do swych posiadłości na Mazowsze, nie przestawała jednak i z tego oddalenia spiskować przeciw znienawidzonej synowej, jak dowodzą jej listy do H. Chodkiewicza, i wzmianki o tych

znoszeniach się z nieprzyjaciołmi króla, które spotykamy nie w jednem miejscu w korespondencyi z tego czasu. Teraz, w ostatniej chwili postanowiła jeszcze próbować przeszkodzić koronacyi, i w tym celu chcąc być bliżej teatru walki, osiadła na czas sejmu w Gomolinie pod Piotrkowem. Że jej zamiarów świadom był August, świadczy list jego do podczaszego właśnie z czerwca 1550 r. gdzie skarży się na matkę o intrygowanie przeciw Radziwiłłównej, pieniądzmi, czarami, wszelkiemi środkami.

Jej nurtowania okazały się bezsilne; już minęło może uprzedzenie ogółu Barbarze, zresztą wiemy jakich sposobów się teraz August chwycił. Oto sam wziął inicyatywę tyle upragnionej egzekucyi, ale zaczął ją od dochodzenia niesłusznych przywilejów, odbierania incompatibiliów i t. p. Naturalnie że taka egzekucya stała się najskuteczniejszą bronią przeciw senatowi, którego członkowie przejrzawszy „iż o nie szło, a więcej o ich posesye, pierwsi dopomogli królowi do uciszenia dawnej opozycyi poselskiej. Zdaje się że i wprost środki pieniężne były użyte, na które w dopisku woła: Auri sacra fames! autor dyaryusza 1548 r., twierdząc przytem mylnie, że tylko „jeden Tęczyński w swym oporze dotrwał do śmierci, iż królowej Barbary ani witał, ani urzędu marszałczego praesente ea nie wypełniał. — Lecz prymas Dzierżgowski, mówi dalej, który dawniej zarzekał się: „bodaj mi ręka uschła, będęli Barbarę koronował! nietylko żeby się nie miał kłaniać, ale do samej ziemi dudkując, koronował.“ — Dość, że czy włoską polityką króla, czy wskutek poznanych zalet Barbary, opozycya zupełnie została uspokojoną, a najzaciętsi nieprzyjaciele przejednani. Nietylko że tacy, jak Górka, Dzierżgowski, Tęczyński otwarcie teraz pochlebiali się królowej i Radziwiłłom, lecz Kmitę zaprasza nawet królestwo oboje do swego zamku Wiśnicza, i u niego wśród wspaniałego przyjęcia ku końcowi sierpnia ułożono termin koronacyi.

Że tejże życzyła sobie Barbara wiemy już, i nie możemy jej brać za złe; przecież twierdzenie Orzechowskiego, iż „niczego więcej sobie nie życzyła jak by choć dzień jeden po koronacyi przeżyć“, wydaje się przesadzone, gdy nietylko nie ma najmniejszego śladu, aby u króla o to się była kiedy dopominała, lecz i jedyna wzmianka o koronacyi, jaką w listach

Barbary z tego czasu napotykamy, zrobiona jest w wyrazach, które dowodzą, że nie pysząc się wcale swem wyniesieniem, owszem nie zapomniała wszystkiego przypisywać z wdzięcznością Bogu i królowi. Pisze ona do brata we wrześniu 1550 r.: „Ktemu już przychodzi, iż J. K. M. to z łaski swojej tak sposobić raczył, że to już na tym kroku, co W. M. i naszemu dostojeństwu krolewskiemu zobopólnie wielce należy, w tych czasach dojść i skutecznie dokonać się ma; tedy już w tem nie wątpimy, że W. M. żtąd wielką pociechę masz i mieć zawsze będziesz. Za co Panu Bogu a królowi J. Mości tak wielkiej łaski i dobrodziejstwa wiecznem zasługiwaniem dziękować jesteśmy powinni."

Ale mamy jeszcze dobitniejsze nadto świadectwo, że ambicya nie była głównym rysem charakteru Barbary, jeśli prawdą jest co Baliński podaje ze spółczesnych, bliżej nieoznaczonych źródeł. Oto po koronacyi, która połączona z odbieraniem przez Augusta hołdu od książąt lennych, odbyła się dla jakichś przeszkód nie 25go listopada 1550 r. lecz 9go, czy jak dowodzi Przezdziecki 7go grudnia, miała Barbara domownikom winszującym jej korony odrzec w dziwnem przeczuciu śmierci: „Do innej mię korony Pan niebieski powołał. Proście Go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mego w żalu po mnie utulił."

Widocznie te cierpienia na smutne myśli ją naprowadzały, na początku bowiem r. 1551 choroba już tak się wzmogła, że bliska śmierć stała się rzeczą niewątpliwą. W kilka też miesięcy, 8 maja umarła w Krakowie z całą przytomnością i przygotowaniem, doczekawszy upragnionego faktu, że brat jej podczaszy, został wojewodą trockim.

Głos publiczny przypisał śmierć jej otruciu przez Bonę. Nie można się temu dziwić, zważywszy ciągłą jej niechęć ku Barbarzę, niesnaski ze synem, i styczność z ich głównymi nieprzyjaciołmi. Na stosunek do Augusta smutne rzuca światło, obok owego listu króla do podczaszego, także i list jego do Karola V jeszcze z kwietnia 1549 r. przytoczony w przypisach do dyaryusza sejmu 1548 r., gdzie poleca cesarzowi legata Bony, jednak ostrzega, by tylko o tyle go protegowano, o ile nie przekroczy zakresu pewnych wymienionych spraw, albowiem zachodzi obawa, że pod pozorem układów o dobra swe

i księztwa, Bona za jego pośrednictwem chce kartować plany szkodliwe własnemu synowi i Polsce.

Długo Bona objawiała otwarcie swą niechęć ku Barbarze, a unikając nawet z nią spotkania przez kilka lat mieszkała ciągle wraz z 3ma niezamężnemi córkami na Mazowszu. Jak mocne ściągnęła na siebie podejrzenia, pokazuje ta okoliczność, że nawet wtedy, gdy widząc się zwyciężoną, zaczęła robić kroki około pojednania z synową, i nie było już żadnego powodu wątpić o szczerości jej propozycyi zgody, gdyż po dopełnionej koronacyi Barbary już przez nieprzyjaźń nie miała nic do zyskania, owszem potrzebowała pomocy syna w zamiarach swych opuszczenia Polski — jeszcze i wtedy król z takiem niedowierzaniem przyjął Włocha spowiednika i opisał poselstwo wojewodzie trockiemu. Z listu znów marszałka do wojewdy dowiadujemy się, że w tym samym czasie aresztowano z nakazu Augusta, i długi czas pod ścisłą strażą trzymano w Brześciu „sługę“ Bony, która jako znana czarownica była posądzoną o zamiar otrucia Barbary, przynajmniej sama to na torturach wyznać miała. Nietylko król tak obawiał się dla Barbary niechęci ludzkiej, ale przebija ta obawa i w listach innych osób.

Marszałek n. p. donosi wojewodzie: „Królowa ku zdrowiu przychodzi, nie opuści nas Pan Bóg, jak tego zazdrośni nieprzyjaciele życzą.“ Jakim zaś strachem przejmowały króla knowania matki jeszcze i po śmierci Barbary, widać z listu pisanego do marszałka już z drogi na pogrzeb, gdzie skarży się na Bonę i „babę“ ową z Brześcia po drodze leżącego gdzieindziej przewieść rozkazuje, aby miasta podczas przejazdu jego nie podpaliła. W innym zaś liście do Radomia pisanym do wojewody wileńskiego (to jest dawniejszego marszałka) już po prostu na matkę składa winę śmierci Barbary i nie szczędzi gorzkich wyrazów skargi na nią.

Mimo to wszystko, nie mamy prawa oskarżać Bonę o otrucie w braku pewniejszych dowodów, tem bardziej, że zkądinnąd znamy rodzaj i przebieg choroby, która Barbarę zabiła, a tą był rak w żołądku.

Streściwszy przebieg życia Barbary i naznaczywszy w głównych rysach prawdziwy jej charakter, zobaczmy jeszcze, jak tę postać pojęli nowsi historycy, o których nie było dotąd mowy. Naturalnie, wyczerpujące badania Balińskiego stały się podstawą wszystkich późniejszych przedstawień Barbary, jednakże różnią się one znacznie między sobą według rozmaitych uprzedzeń, i więcej lub mniej poetycznego usposobienia autorów.

Najbardziej poetycznym zapałem uniósł się Kraszewski, który w swej *Historyi Wilna* r. 1838—40 w tomie I i II poświęca jej kilka tkliwych ustępów. Zewnętrzną jej postąć tak opisuje ze spółczesnego portretu: „Była piękną, a bardziej jeszcze miłą i wdzięczną Barbara, jasne miała włosy, łagodne spojrzenie, kibić wysmukłą i kształtną, choć drobną... W twarzy jej upatrzećby można niejako pokrewieństwo rysów z Maryą Stuart, bo i dzieje tych dwóch kobiet coś wspólnego w charakterze mają, jeśli nie w wypadkach.“ Mniej szczęśliwe są historyczne jego zapatrywania. Za główny np. powód opozycyi stanów przeciw małżeństwu podaje obawę panów, aby Litwa nie otrzymała w rządzie przewagi nad Polską, a Litwini nie pozajmowali wszystkich zaszczytnych i korzystnych posad. Jak gdyby niewiadome były istotne źródła owego oporu, jak gdyby nie było oczywistem to co stwierdza Lelewel w *Dziejach Litwy i Rusi aż do unii z Polską* (V tom Polski, dziejów i rzeczy jej, str. 203), że małżeństwo Augusta z Barbarą „dlatego że ona była Litewką..... nie miało jednak żadnych skutków na stosunki dwu krajów.“ Wszakże Barbara nie była litewską księżną panującą, a zresztą Polacy wówczas tak sobie owszem życzyli pozyskać Litwę. Z większą słusznością nazywa Kraszewski stałość Augusta w tej sprawie „egoizmem niepożytym.“ Całkiem zaś zabawnemi, i, jak w historycznem dziele, przekonywującemi argumentami dowodzi, że Radziwiłłówna otrutą nie była. „Wszyscy prawie, mówi on, oskarżają Bonę o zadanie trucizny młodej królowej; lecz zdaje się z samego opisu, iż tak być nie mogło; poetyczne jej przeznaczenie wymagało tego zgonu w młodości, ażeby młoda i urocza jej postać przeszła do potomności.“ Nam się właśnie wydaje, że śmierć przez otrucie byłaby daleko poetyczniejsza, niż na-

turalna z choroby; z samego zaś opisu nie wynika wcale, iżby „tak być nie mogło,“ tylko że podobno nie było. — Wreszcie zasługuje na uwagę i to, że według Kraszewskiego, Tarnowski hetman na sejmie 1548 r. oświadczył się w obronie małżeństwa z Barbarą „nie z uczucia sprawiedliwości,“ lecz „jak piszą, z gniewu na króla i królowę“ (starszych oczywiście), że nie dostąpił kasztelanii krakowskiej, której pragnął;“ twierdzenie usiłujące zmniejszyć dobre imię człowieka zasłużonego ojczyznie, a powtórzone na ślepo za Żywotem Piotra Kmity, z tą niedokładnością, że *capitaneatus* przetłumaczono na kasztelanię. O nią nie mógł się gniewać hetman, gdyż posiadał ją już wtedy od 22 lat.

Nie tak pochlebnie jak Kraszewski, zapatruje się na Barbarę Szajnocha, który jej poświęcił jeden ze *Szkiców* w tomie I r. 1854. Oparł on się jedynie na pracy Balińskiego, której owoce chciał szerszej publiczności przystępnemi uczynić i w popularnem opowiadaniu, w sukience niejako powieściowej, przedstawił dzieje Barbary pod efektowemi tytułami rozdziałów: Schadzki, Dubinki, Na zamku niższym, Droga do korony, Na zamku krakowskim, Koronacya, Śmierć. I dokonał tego w sposób bardzo zajmujący; szkoda tylko, że, jak gdyby przez jakąś dziwną ironię chciał dać próbkę, jak to z tych samych premis różne a zręczne rozumy ludzkie zdołają do przeciwnych dojść rezultatów, ponaciągał wszystko do tego, aby na charakter Barbary pewien cień rzucić. Chęć odjęcia bohaterce opowiadania uroku, jakim ją otoczył Baliński, znajduje streszczenie w zdaniu: „Kochała Barbara w końcu naprawdę całą duszą, ale o ileż bezinteresowniejszą, idealniejszą była miłość Augusta! Dla Barbary miał ten związek same roskosze i tryumfy, dla Augusta aż po jego zgon same cierpienia. Wprawdzie listy Barbary i cała jej historya nie stawiają jej na piedestale godnym osób niezwykłych, istót wyższych, o wielkich zaletach i idealnych porywach serca — lecz nakazują uznać w niej wiele przymiotów i pięknych stron duszy, a wad wybitnych nie zdradza żadnych. To też czuł się Baliński w obowiązku ująć za Radziwiłłówną, zniżoną w ten sposób do rzędu zwykłej intrygantki, która dumą jedynie i ambicyą się powodowała, uważając koronę za cel życia, i która tylko „w końcu kochała“, bo widziała w tem oczywistą korzyść. Polemika cała

wydrukowana jest w drugiem wydaniu Szkiców, i pomimo że Szajnocha wcale się nie uważa za zwyciężonego odpowiedzią Balińskiego, podobny każdy nieuprzedzony nie jemu przyzna słuszność. Wszak znosiła i Barbara wiele i wielkich przykrości z powodu tego związku, a roskoszy i tryumfów nie miała prawie żadnych. Co zaś do korony, to przekonaliśmy się, że choć miała prawo jej żądać, przecież nie ona lecz August o koronowanie głównie nastawał. Sama korespondencya dostarcza nam na to dowodów, żeby tylko przytoczyć słowa wspomnionego listu z czasu sejmu 1550 r.: „radabym była, aby się to na długi czas odłożyło, co się jeszcze (na sejmie) ma zrobić, jeśli to ma przedłużyć WKM. oddalenie odemnie.“

Pominąwszy Moraczewskiego, ksóry w swych *Dziejach* zajmuje się sprawą Barbary jedynie ze strony politycznej i to dość powierzchownie, jeszcze odeń obojętniejszego Morawskiego i kilku innych mniej ważnych historyków, zatrzymać się wypada na zakończenie nad *Dziejami Polski* Szujskiego, w których tomie II (1862 r) podany bardzo szczegółowy sąd o głównych aktorach tej sprawy, tem jest cenniejszy, że jakkolwiek nie całkiem bezstronny, zawiera najsumienniejsze dotychczas zreasumowanie wszystkiego, co historya w tej kwestyi wyświeciła.

Jakże pięknie i trafnie ocenia Barbarę, mówiąc, że „nie była ani bohaterską kobietą, jakie u nas w Polsce bywały, ani królową oswojoną ze swojem wysokiem stanowiskiem, ale umiała obudzić szlachetną miłość w Auguście, umiała go kochać i uszczęśliwić... Bierna, zamknięta w swojem małżeńskiem szczęściu i cierpieniach, nie wystąpiła krokiem poza próg domowego życia, tyle ponętna dla Augusta owem zamknięciem się w miłości i pieszczocie.“ Broni też autor jej pragnienia korony, którą nazywa „symbolem uprawnienia jej małżeństwa, zadośćuczynieniem jej cześci niewieściej.“

Na Bonę nie rzuca szan. profesor potępienia, wszelako podnosi przekonanie Zygmunta Augusta, że ona przyczyniła się do śmierci Barbary. Opisuje zatargi króla z matką o wyjazd jej do Włoch, który wraz z wywiezieniem klejnotów ze skarbca krakowskiego po długich trudnościach nastąpił wreszcie r. 1556 w lutym. „W rok potem umarła niecna królowa

otruta przez faworyta Papagodę, który na konającej wymęczył testament zapisujący mu cały jej majątek.

Krótką lecz wymowną daje charakterystykę Maciejowskiego: „Wysoko wykształcony, umiarkowany, mecenas nauk, tronu się wiernie trzymający, jest on jedną z najświetniejszych postaci czasu Zygmuntów.“ Wylicza szczegółowo jego zasługi około oświaty w Polsce i bardzo wynosi piękny jego charakter.

O wojewodzie i staroście krak., marszałku w. k. Kmicie, który umarł w r. 1553, tak się wyraża: „Historya smutne mu stawia świadectwo. Stronnik Bony, burzyciel na sejmie 1537 r. i na wojnie kokoszej, wywróciciel korektury praw z r. 1534, naczelnik opozycyi r. 1548, ciemięzca żydów, mieszczan, ludu wiejskiego, zacięty nieprzyjaciel Tarnowskiego, jest on niejako prototypem tych możnowładzców, którzy w dziejach Polski tak smutną i szkodliwą odegrali rolę, przenosząc interes prywatny nad publiczny, a w kole swojej władzy królując z despotyzmem feodalnych panów niemieckich. Zmienność nie zasad, ale z osobistej polityki jest cechą Kmity... Licznych jego win nie zmaże opiekowanie się nauką, opieka nad klientami, jak Bielski, Janicki, Orzechowski.“

Pod rokiem śmierci Tarnowskiego († 1560), pierwszego dożywotniego hetmana w. kor., a który tyle szczęśliwych wojen prowadził i z Kmitą miał gwałtowne zatargi o starostwo krak. i o dobra szczebrzeszyńskie, podnosi autor wpływ tego dygnitarza, co podczas wojny kokoszej i na sejmie 1548 r. był podporą tronu, utrzymywał starą powagę senatu, powściągał burzliwość szlachecką;“ i tak o nim mówi dalej: „Od r. 1553 żyje w niezgodzie z Zygmuntem Augustem, staje na czele opozycyi na kilku sejmach, wreszcie zamyka się w prywatnem życiu... Senator i wojownik starej daty, arystokrata i oligarch z pojęciami przodków swoich w XIV wieku, mąż bystrego umysłu, głębokiej religijności i niewzruszonej niczem energii... Wykształcony wysoko, lubił ludzi uczonych, pisał sam w przedmiotach wojskowości, prawa (?) historyi... Dla poddanych był ludzkim panem, dla szlachty hojnym patronem... Z drugiej żony urodzony syn jego Jan Krzysztof, później kasztelan wojnicki, ożeniony był z Odrowążanką, córką Anny Mazowieckiej i Stanisława ze Sprowy... Tarnowski należy niezaprzeczenie

do najznakomitszych typów naszej historyi, jako senator oligarch, zasadzający szczęście kraju na zgodzie króla z starożytnemi domami i na współdziałaniu ich przeciw burzliwemu pierwiastkowi szlacheckiemu, jako hetman..., jako gospodarz wreszcie. Dodajmy do tego obrazu szlachetną hojność Tarnowskiego dla Rzpltej.... a nie odmówimy mu zapewne imienia wielkiego w ojczyznie człowieka. Uznała to Polska, uczciwszy zgon jego powszechną żałobą."

Już tu uderza nas trochę stronność Szujskiego w zamilczeniu wad hetmana, w pominięciu trzema słowy zwrotu, który jego patryotyzm pod koniec życia w dziwnem stawia świetle. Dużo dalej atoli posunął szan. profesor tę stronność przy ocenieniu Zygmunta Augusta. Że mu przyznaje „szlachetną naturę, umiarkowanie, ludzkość, roztropność," przeciw temu nie można nic powiedzieć; lecz kiedy podnosi jego „sprężystość, stałość niewzruszoną, która pozwoliła mu nie odchodzić nigdy od raz wytkniętego celu, nieuleganie cudzym wpływom, samodzielność, trzeźwość, konsekwentność;" kiedy poczytuje mu za wielką zasługę, iż związek z Barbarą „obudził w nim piękne cnoty statecznego małżonka" dodajmy: na lat 4; kiedy wysławia „stanowczość, przez którą z burzy, jaką zastał w kraju obejmując rządy, wyniósł powagę monarchicznej władzy" — wtedy doprawdy trudno się zgodzić z historykiem, i widzi się tylko autora dramatów poza tym poetyckim zapałem w bezwzględnem uwielbianiu postaci, dla których powziął interes.

Dostrzegł to snać sam szan. profesor, gdyż zmodyfikował z czasem swą zbyt przychylną scenę ostatniego Jagiellona, jak przekonywa nas prelekcya p. t. *Charakterystyka Zygmunta Augusta,* drukowana w *Przeglądzie Polskim* (wrzesień 1872 r.). Nie wynika ztąd, aby zarazem potrzebował zmniejszyć swą sympatyę dla postaci rzeczonej. Owszem wydaje się nietylko naturalnem, ale koniecznem prawie, że poetyczna wyobraźnia autora Halszki zachowała całe przywiązanie do jednej z tragiczniejszych figur naszych dziejów, która, jak tam słusznie podniesiono, ma coś dziwnie wspólnego z Hamletem, a więc dla psychologa coś niezmiernie pociągającego. Jednak pomimo całego przywiązania nie zakrywa już autor ujemnych stron tego charakteru, których nie wyklucza wcale dramatyczność

jego. Znakomite jest wcale określenie zgubnego wpływu Bony na wychowanie, po którem pozostała Augustowi na całe życie „miękkość fizycznej organizacyi i skłonność do wygód i roskoszy, brak muszkularności męzkiej, którą zdrowe i twarde daje wychowanie, podejrzliwość... i dyssymulacya będąca naturalnem podejrzliwości następstwem;“ dalej piękny ustęp o stosunku Augusta z Radziwiłłem czarnym, „człowiekiem szerokiego umysłu i wielkiej zręczności dyplomatycznej,“ i Tarnowskim, mężem starej daty, żyjącym w tradycyach minionych czasów, który (jak teraz już Szujski czuje się w obowiązku wytłumaczyć) jedynie z tego przywiązania do świata i porządku starego, w końcu życia poróżnił się z królem. Na zakończenie przytoczmy piękne słowa, odnoszące się specyalnie do naszej sprawy:

„Ze szkoły Bony wyszedł młodzian przedwcześnie oswojony a może i przesycony użyciem, przedwcześnie napojony żółcią złości ludzkich, a pierwszym jego czynem wyzwolenia jest małżeństwo wtóre bez wiedzy ojca i matki, będące jakby wyzwaniem rzuconem zbyt długiej opiece.... Małżeństwo to urasta do wielkiej politycznej sprawy; obrona jego do stanowczego przewrotu w charakterze Augusta. Stanął przeciw niemu świat stworzony przez Bonę, stanął za nim świat pozostały po dobrych czasach Zygmunta.... Spierano się u nas w ocenieniu charakteru Barbary, a chęć odarcia nas z historycznych illuzyj zadaleko nas tu zaprowadziła. Pozbierano starannie wszystkie jej grzeszki i kaprysy, nieprzystępność i wymagania. Zbyteczna srogość dla pięknej kobiety, która tak krótko szczęścia użyła, a tak srodze okropną odpokutowała je chorobą... Miarą wartości Barbary jest jej mąż, gdy ją posiadał. Miłość do niej dawała mu hart, spokój i energię, dawała mu siłę do przetrwania burzy politycznej, która podważała tron... Z. August był szczęśliwym, Barbara dawała mu siłę szczęścia, to dosyć. Główny zarzut, jaki ją spotyka, nieprzystępność, tłumaczyć prawie można na jej korzyść, na korzyść dobrego ich pożycia domowego. Miałaż, dufna w koronę, narażać się na spojrzenia nienawistne, lub w nieszczerych hołdach smakować? O ile kochała Zygmunta, o tyle musiała nieznosić Polski... Stosunek z Barbarą pozostał nie bez wpływu na Z. Augusta i po jej

śmierci. Serdeczne stosunki z matką zerwały się na zawsze... Siostry chowały się na dworze matki, dobre i szlachetne natury, powzięły uprzedzenie do brata, brat płacił im chłodem i obowiązkową zimną opieką... August nie miał po śmierci ojca rodziny, rodzinę tę cień Barbary odgrodził od niego na zawsze."

(Dalszy ciąg nastąpi).

S. Tomkowicz.

Z WYSTAWY OBRAZÓW.

(Dzwon Zygmuntowski Matejki. — P. T. Prylińskiego plan restauracyi Sukiennic).

Odkąd wystawa sztuk pięknych zamieniła się na stałą, zyskała niezawodnie publiczność, zyskali może artyści i sztuki, ale byli przecież tacy co na tem wyszli bardzo źle, to jest pisma peryodyczne i ich sprawozdawcy. Dawniej, kiedy sale Towarzystwa otwierały się raz do roku na kilka tygodni, kiedy publiczność, i sam nieszczęsny sprawozdawca, poznawali naraz kilkadziesiąt obrazów, łatwo było o wystawie mówić i pisać. W tej liczbie znalazło się zawsze kilka rzeczy ładnych, czasem coś bardzo ładnego, a wszystko co było, było nowością, fenomenem, który znikał żeby się aż po roku powtórzyć, wszystko zatem żywsze budziło zajęcie, wszystko było przedmiotem ciekawości; do mówienia było materyi aż nadto, mówiąc można było czytelnika zająć, a jeżeli się go i nudziło to wybaczał łaskawie, bezpieczny i pewien, że w ten sposób przynajmniej drugi raz nie prędko będzie nudzonym.

Ale „upłynął wiek złoty!“ Dziś inaczej: dziś „stała Wystawa w pałacu biskupim“, a stała nie pod względem czasu tylko, stojąca nie tylko stała, stojąca jak stojące wody: na powierzchni coś się tam czasem zmieni i poruszy, na dnie ta sama majestatyczna i niezmienna tożsamość. Nie mówiąc już o galeryi Dąmbskich, która w niewzruszonym spokoju i powadze

nudzi się w swoich salach od lat może dwudziestu czekając na widzów zadumana głęboko nad swoją racyą bytu, której dojść nie może, nie mówiąc o tem stałem granitowem łożysku czy fundamencie wystawy, do którego zmiany i burze z powierzchni nigdy nie dochodzą, w samym tym żywym i z natury zmiennym inwentarzu wystawy, w dziełach artystów żyjących i coraz nowe rzeczy tworzących, fluktuacya jest bardzo nieznaczna. Odbywa się ona ciągle, i kto po roku niebytności wszedłby na wystawę, znalazłby sale prawie zupełnie zmienione, ale odbywa się niepostrzeżenie, jak wzrost lub starzenie się w człowieku i w drzewie: zobacz go po latach, zupełnie co innego, patrz nań co dnia, nie domyślisz się że zaszła choćby najmniejsza zmiana. Na wystawie nowe obrazy przychodzą na miejsce dawnych, ale stopniowo, po kolei, po mału. Jednego miesiąca przybędzie coś ładnego, wartoby o tem pomówić, donieść: cóż kiedy to dwa, trzy obrazy, jakże tu o tem pisać: nawet kiedy takie pyszne jak portrety Rodakowskiego na dłuższe sprawozdanie nie wystarczą, a resztą już opatrzona, opisana, znana całemu światu, przynajmniej całemu Krakowowi i jego okolicom. Na drugi miesiąc powtarza się to samo znowu z innemi obrazami, i na trzeci tak samo, i na każdy: po roku wystawa zmieniła się prawie zupełnie, ale w każdym z osobna miesiącu zmieniała się tak mało, że ani rusz zapełnić sprawozdania, a sprawozdawca, nie mogąc mówić o niej regularnie co miesiąc, nie odważając się mówić w rzadszych odstępach czasu o rzeczach, które dawno już przestały być nowością, dawał w końcu za wygraną i spokojny w swojem sumieniu chodził na wystawę bezinteresownie, egoistycznie, dla własnej przyjemności tylko.

Ale kiedy na stałej czy stojącej wystawie zjawi się fenomen jaki rzadki, taki że na najpotężniejszych oceanach jeszczeby był dziwem, kiedy ten widok wstrząśnie wystawą, publicznością, światem artystycznym i krytyką, wtedy i najskromniejszy z widzów wyjdzie ze swego wygodnego torporu, i choć rozpamiętuje ze skruchą znaną historyę Apellesa i szewca, odkłada na bok kopyto, miesza się do tego co do niego nie należy, i porywa się na nowe *sprawozdanie z wystawy obrazów.*

Najnowszy obraz p. Matejki, *Dzwon Zygmuntowski*, wyszedł nareszcie z pracowni i ukazał się światu, oto ten feno-

men który dowodzi na nowo, że pod spokojną powierzchnią naszych wód kryją się skarby i zaczarowane gmachy fantazyi i piękności, jak w najładniejszych epizodycznych powieściach Don Kiszota lub w najzuchwalszych fanfaronadach pana Juliusza de Verne.

Wyznajemy że szliśmy do obrazu po raz pierwszy nie bez emocyi. Kiedy on się ukazał mówiły „głuche wieści z mętnych źródeł,“ że natłok figur i zamieszanie między niemi takie, iż jednej od drugiej trudno rozróżnić, że wszystkie przygniata i dusi zamek widziany w perspektywie źle utrafionej, że jest wielkie nadużycie i wielka dysharmonia kolorów, że wszystko żółte, że królowa Bona nie dobra, że są nogi za długie, ręce za krótkie, i nie wiedzieć co jeszcze: słowem, pomimo że wyliczano obok tego wiele piękności, wady wytknięte mogły wystarczyć aż nadto, żeby obraz zupełnie się nie podobał. A zobaczywszy go, uczuć że pomimo wszystkich piękności w szczegółach całość jest niesympatyczna, nie módz się szczerze do niego ucieszyć i zapalić, coby to była za przykrość.

Na szczęście, nasze wrażenie — do sądu prawa nie mamy — ale wrażenie było zupełnie inne. Czy są te lub inne wady rysunku, czy naprzykład chłopczyk głaszczący psa na pierwszym planie ma nogę za długą lub nie, nie wiemy, tak dalece na rysunku się nie znamy: ale całość wydała nam się jedną z najbardziej harmonijnych, najszczęśliwiej udanych, najmilszych do widzienia kompozycyi Matejki.

Naprzód jest to wielka nowość, zwrot w jego rodzaju tworzenia. Znaliśmy dotąd te obrazy ogromnych rozmiarów, na których figury naturalnej lub większej nieco wielkości odgrywały sceny bardzo znaczące, dramatyczne lub uroczyste, ale zawsze ważne. Dziś stoimy przed obrazem prawie małym, o wielkiej liczbie figur zupełnie małych, a tak wykończonych jak na miniaturach lub na flamandzkich obrazkach. Zwrot to nie zupełnie nowy i niespodziewany: rok temu przeszło jak go zapowiadał ten Borkowicz zstępujący do lochu, obrazek maleńki a wykonany z najmisterniejszą doskonałością, ale od tego *Borkowicza* do dzisiejszego *Dzwonu* daleko. Tamten był zadziwiający wykonaniem, ale obojętny treścią, choć treść ta jest tragiczna i straszna. Potrzebował objaśnień, opowiedzenia sceny nie znaej, sam siebie dostatecznie nie tłomaczył, nie

mógł nawet wytłomaczyć zupełnie, dać naprzykład jasno do zrozumienia, że człowiek schodzący do lochu idzie tam na zamorzenie głodem, a nie na więzienie. Potrzeba komentarza zaś zawsze widza mrozi trochę, zawsze obrazowi szkodzi. Tu zaś każdy zrozumie odrazu o co chodzi; musi zrozumieć; cudzoziemiec który o Polsce i jej historyi nie wie nic prawie, pozna się, (jak słusznie tę zaletę zauważał p. Siemieński w felietonie *Czasu)*, że to świeżo odlany dzwon dobywa się z formy: a dla nas którzy znamy i króla Zygmunta i Bonę i ich wiek, i sam dzwon, jedną z rzadkich pamiątek które pozostały żywe i do nas mówi tym samym głosem którego oni słuchali, dla nas to coś więcej. Na pozór tylko uroczysta ceremonialna scena, sprzyjająca artyście do popisania się ze wszystkiemi jego zaletami, wielkiej dworskiej i kościelnej pompy po jednej stronie, bardzo energicznego ruchu po drugiej; ale i kiedy się człowiekowi zdaje że się tylko w obraz wpatruje, on sam nie wie, że się zamyślił nad czemś innem; więc to tak bywało? więc prości ludzie jak my wszyscy widzieli na prawdę co my widzimy malowane? Więc na naszych ulicach i rynkach pod takiemi baldachinami siadały na prawdę takie królowe w złotych sukniach i królowie w koronach, a taka moc ludu patrzała na nich z okien, z ganków, z gzymsów, z dachów — i z tego wszystkiego nam została tylko jedna rzecz niezmieniona, głos tego dzwonu „wołający na żywych, płaczący za umarłymi.“

Spróbujmy opowiedzieć jak obraz wygląda:

Niech sobie łaskawy czytelnik wyobrazi że stoi gdzieś w tem miejscu mniej więcej gdzie ulica Wiślna wychodzi na platancye. Tych nie ma naturalnie, tylko wzdłuż biskupiego pałacu, franciszkańskiego klasztoru, i t. d. aż do zamku ciągnie się mur miejski przerwany kilkoma basztami i bramami. Zamyka horyzont, jak dziś, Zamek, a na prost patrzącego wznosi się wieża czekająca na swego przysłego mieszkańca. Po lewej ręce widza będzie wtedy dwór, biskup ze swoją asystencyą i cały tłum spektatorów, po prawej dzwon i zatrudnieni koło niego robotnicy. Środek próżny, tylko w głębi ciągnie się długo procesya, która zapewne ma zaprowadzić „*Zygmunta*“ na Zamek.

Może się mylimy, ale zdaje nam się że żaden dotąd z obrazów p. Matejki nie był tak pięknie ugrupowanym, żaden tak łatwym do przejrzenia i wyrozumienia od razu, żaden z takim ładem, z taką harmonią ułożonym. Mówią że ludzi wielkie mnóstwo, że tłum, że ścisk? Ale czy ich za wiele? czy mogło być mało? przecież to uroczystość, procesya, a ludność miejska wyległa za mury, wydrapała się na mury nawet, żeby się ceremonii i pochodowi przypatrzeć: czyż mógł artysta nie zrobić tłumu? Obraz jego byłby w takim razie wyglądał tak jak wielkie bitwy w małych teatrach, gdzie kilku figurantów reprezentuje niezliczone szeregi, a publiczność im nie wierzy. Tłum być musiał, i to wszędzie, na ziemi, na dachach, na gzymsach: ale czy jest ściśnięty, natłoczony, czy ma za mało miejsca stosunkowo do mnogości ludzi, czy w tym tłumie trudno rozpoznać figury grające główne role, czy jedni drugim szkodzą, czy jest zamieszanie i chaos: Nie: tego żadną miarą dopatrzeć się nie możemy: trybuna jest napchana ciekawymi, i inaczej być nie mogło, droga ku zamkowi jest zapchana ludem, znowu inaczej być nie mogło, ale w tem wszystkiem jest ład, jest zręczność grupowania i malowania, żadna figura (z jednym może wyjątkiem), żadna grupa i sama nie ginie, i drugim nie wadzi, każda się oddziela i odróżnia, z każdej widać i poznać odrazu co ona robi, gdzie stoi bliżej czy dalej, gdzie się zaczyna a gdzie kończy. Być może że ta lub owa figura nie była konieczną, o to się spierać nie będziemy, ale żeby nie było dość czy powietrza, czy perspektywy, czy wreszcie porządku w ułożeniu grup i figur, to nam się nie zdaje.

Zacznijmy od tej strony lewej, która uchodzi powszechnie za słabszą.

Pod miejskim murem więc stoi wielka trybuna dla dworu, przykrywa ją szkarłatny baldachim: z tą połączona, bliżej widza druga trybuna odkryta dla mniejszych już, ale zawsze uprzywilejowanych figur:

W środku, na wielkiem krześle siedzi Bona. Krytykowano ją wiele, prawie najwięcej ze znaczących figur obrazu, krytykowano wszystko, układ, głowę, nawet ubranie. Istotnie, byłoby może ładniej, gdyby zamiast wspierać łokieć na poręczy krzesła a twarz na ręku, była tę rękę swobodnie opuściła: ale prócz

tego? można zapewne wyobrazić sobie Bonę inaczej, ale nie widzimy dla czegoby się nie zgodzić na taką, jaką sobie wyobraził artysta. Jest to ta sławna blondynka z czarnemi oczyma, którą opisują współcześni, płeć bardzo biała i jeden lok jasnych włosów wymykający się z pod czepka i spadający na ramię, odbijają pięknie od czarnych brwi i źrenic, zatem, to tradycyjna Bona, w którą uwierzyć może nawet archeolog zakochany w wiernej dokładności szczegółów. Że na znanym współczesnym drzeworycie Bona ma rysy cieńsze, szlachetniejsze, piękniejsze, to prawda, tutaj jest ona już dość potężna: każda Włoszka blondynka jest skłonna do otyłości i rychło bardzo zaczyna nabierać tuszy. Bona nie ma jej za wiele, jest to potężna zapewne, ale przy swoim wzroście kształtna postać; jednak już owal twarzy wypełnił się cokolwiek zanadto, już nos stracił pierwotną cieńkość i delikatność. Wyraz tej głowy zato doskonały: jest to Bona spokojna, kontenta, na jej twarzy nie widać ani okrzyczanej złości, ani szyderstwa, ani dumy, ani namiętności: jednak kto się jej lepiej przypatrzy powie jak Marya Stuart o Elżbiecie: „aus diesen Zügen spricht kein Herz.“ Żadnego fałszywego majestatu, żadnych melodramatycznych ściągnień warg czy oczów, żadnego teatralnego popisywania się swoją osobą i narzucania się widzowi z przypomnieniem „patrzajże na mnie, ja jestem Bona, ta co otruła Bar„barę, wywiozła skarby, intrygowała, rządziła i t. d.“: królowa na uroczystym obchodzie, która reprezentuje poważnie (choć nie bardzo majestatycznie), a wie że pierwszym warunkiem powagi jest spokój. Nie ma też w tej chwili na jej twarzy nic prócz spokoju i nieco zajęcia tem co widzi, a co w jej duszy, co ona myśli, chce, co kiedyś zrobi, to teraz tak dalekie i głęboko ukryte, że ona sama o tem nie wie i nie pamięta.

Jej ubiór (to on ma być tą plamą, tem nadużyciem żółtego koloru w obrazie), jej ubiór jest bajeczny. Suknia złota, ale złoto jakiegoś łagodnego słomianego koloru, na którym różne wzory wyrobione w tym samym cieniu: z pod wszystkiego przebija gdzieniegdzie, bardzo mało, fioletowe tło tej materyi. Przy królowej, oparta o jej kolana, nie wiem już która mała królewna, bardzo do matki podobna, i także w złotej sukience. Blask tego wszystkiego prawda jest niesłychany, kto nie widział nie może mieć wyobrażenia: zdaje się że malarz wydo-

był już wszystkie bogactwa swego kolorytu i że świetniejszego nic nawet on zrobić nie potrafi. Ale jeżeli to nie piękne, to nie wiem doprawdy co już w tym rodzaju pięknem będzie. Ile w tem złocie odblasków, jak światło po nim miga, jak zdaje się z niego wychodzić. Słyszeliśmy jednego artystę który zaręczał że tego nikt nie potrafi skopijować: są tam takie subtelności wykonania na które patrząc nie chce się oczom wierzyć, naprzykład drobny i najpodrzędniejszy szczegół, łańcuch spadający na suknią Bony, także złoty, bardzo lekko misternie jakoś wyrobiony, można objąć każde jego ogniwko, dojrzeć każdego zagięcia, widzieć jak on od sukni odstaje, jak się trzęsie. Już to pod względem świetności kolorów, w tym obrazie przeszedł Matejko sam siebie, wszystko blednieje ,wszystko gaśnie, Unija która stoi naprzeciwko wydaje się blada! Artysta zda się chciał tu raz puścić wodze zupełnie tej swojej zdolności, chciał spróbować do jakiego też stopnia on świetnym być może. Co zrobił? nie wiem, ale piękność kolorów nigdy się nam żywiej uczuć nie dała, patrząc na jego obraz pojmuje się poezyę materyi i kolorów, możnaby się zakochać w czerwonym aksamicie, podziwiać złotą lamę jak dzieło sztuki i marzyć sentymentalnie o nieporównanych efektach światła na wytartym skórzanym fartuchu majstra dzwonnika. Jest tam w rogu (zawsze po lewej stronie), dwóch starych brodatych panów, jeden ma jakąś deliję szafirową, drugi jakiś kaftan brunatny któremu światło w niektórych miejscach daje ton jaśniejszy i ten niepewny a głaszczący oko połysk aksamitu; jest znowu Bonar w zielonem: jest staruszka w płaszczyku już prawie czarnym a przecie granatowym, wszystko takie, jak żeby było malowane nie farbami lecz przejrzystemi drogiemi kamieniami, jak żeby w atłasach i aksamitach było gdzieś na dnie ukryte to światełko, które rubinom i szafirom zdaje się nadawać blask z wewnątrz.

Król Zygmunt, energiczna głowa o czarnych oczach smagławej cerze, z włosami równo uciętemi nad czołem, bez wąsów i brody, wymalowana z najwyższą perfekcyą, nie jest bardzo sympatyczna. Jest to ta znana bardzo z medalów twarz Zygmunta Starego, tylko naturalnie odmłodzona. Jako figura w obrazie jest nadzwyczajny, ale jako Zygmunt nie dość sympatyczny, chciałoby się piękniejszego, poetyczniejszego. Gdyby

był Ludwikiem XII, cesarzem Maksymilianem, Ferdynandem I, admirowalibyśmy go bez ogródki, ale Zygmunta, nawet malowanego, chciałoby się kochać, a ten trochę do siebie zraża tą twarzą trochę pospolitą i tem jakiemś podobieństwem nieokreślonem do niemieckich cesarzów, które mógł mieć zapewne, ale z którem nasza wyobraźnia nigdy go sobie wystawić nie potrafi. On, nie tak spokojny i dbały o decorum jak Bona, stojący, z wielkiem zajęciem, z wzrokiem natężonym, z głową podniesioną, śledzi każdego ruchu podnoszącego się nad ziemię dzwonu. A pomiędzy nim a królową, najśliczniejszy chłopaczek w czerwonej sukience, dzieciak w którego oczach czyta się wyraźnie, że będzie kiedyś i królem w każdym celu i bohaterem romansów, Zygmunt August, (któremu artysta dodał parę lat żeby go na tę ceremonią wyprowadzić, bo w roku 1521 on się jeszcze tak ładnie nie ubierał i nie stał na własnych nogach). Dwoje innych dzieci (te znowu niebieskie) zakończa tę grupę i stanowi jak żeby przejście do dalszej.

Poniżej króla, rozwalony na stopniach tronu, Stańczyk jedna figura w obrazie której wolelibyśmy nie widzieć. Naprzód, jego żółta suknia z pomarańczowym kołnierzem i czapką, na tle w złote kwiaty także sukni króla i pomarańczowego dywanu, zdaje się zrazu jak żeby dalszym ciągiem tamtych, i przypatrzywszy się dopiero się tę figurę odkrywa; powtóre, wyznajemy, że ani wyrazu twarzy ani gestu Stańczyka zrozumieć nie możemy. Mniejsza oto, choć konieczności nie widzimy, że ma nogi gołe jak żeby był ubrany po szkocku, ale co znaczy to podniesienie ręki jak żeby się chciał brać za głowę, co wyraz wydrzeźniający, z czego on się wydrzeźnia? Mówią nam że to podziwienie i urąganie z tego pana w czerwonem ubraniu, który choć strojny, bogaty, i ciężki, porwał za jeden ze sznurów i całą siłą pomaga ciągnąć dzwon w górę. Jeżeli tak, to nie ma się z czego wyśmiewać, a w każdym razie już to nie dobrze że trzeba objaśnień i komentarzy. A potem co znaczy ten wielki ludzki piszczel w ręku Stańczyka? czy to jaki symbol, alegorya? nie rozumimy zgoła całej figury.

Jak on u stóp króla, tak po przeciwnej stronie tronu poniżej królowej, jest ksiądz, kanonik jakiś w rokiecie z popielic, (jakim to trzeba widzieć), i klęczy: ukląkł oczywiście dla tego bo zobaczył że w tej chwili właśnie biskup opodal dzwon

błogosławi, więc jemu, księdzu, bardziej przystało zmówić pacierz niż ciekawie patrzeć. Jeszcze bliżej widza, zupełnie na przodzie, siedzi na ziemi chłopaczek w dziesięciu lub dwunastu leciech i dwa psy. Ten to chłopiec jak mówią ma nogę za długą i za grubą. Być może, ale ma główkę śliczną, i śliczną niby to wiejską krakowską sukmankę, ale bardzo elegancką i wykwintną, a jego towarzysze, psy, paradne. Biały pudel siedzi na tylnych łapach i patrzy na dzwon z urzędową miną, spokojny poważny, pewien siebie, jak żeby się czuł najważniejszą w tem zebraniu osobą: drugi, rodzaj doga z krótką, gładką, lśniącą siercią, pies któremu się dobrze dzieje, opasły, nie młody, leży obojętnie z wyciągniętemi łapami, z głową na nich opartą, i zapewne chciałby spać ale mu zanadto przeszkadzają. Co za pies! co za flegma i obojętność w tym potężnym łbie, w tych oczach tak przeźroczystych i głębokich że okulista mógły na nich wykładać lekcyę, lub robić operacyę, jak się tłuste ciało ugięło pod palcem chłopaka, jakby go można pociągnąć za uszy lub podnieść wierzchnią wargę żeby zobaczyć zęby; oprócz konia który w Batorym gra rolę podrzędną, pierwsze to o ile wiemy zwierzęta malowane przez Matejkę, który widać ma przywilej robienia wszystkiego co zechce, bo i w tym rodzaju odrębnym, a dla siebie nowym, od pierwszego razu pokazał się mistrzem.

Wspomnieliśmy o Bonarze który stoi obok tronu po stronie królowej, i o tych dwóch starych co siedzą pod boczną trybuną. W tej na pierwszym miejscu wygodnie rozparta staruszka w złotym czepcu, w jupce obszytej prześlicznem futrem, z różańcem obwiniętym koło ręki, patrzy ciekawie na to co się dzieje. Jak malowana! każdy Holender czy Flamand, każdy Gerard-Dow, Teniers, Ostade, mógłby pozazdrościć tak nadzwyczajnego wykończenia i takiego prawdziwego życia. A jak przytem charakterystyczna. Czyta się w jej twarzy że jest jakąś znaczną osobą, która się na swojej godności zna; dobre miejsce należy się jej z wieku i z urzędu, ale rada jest przecie że dostała dobre miejsce i tak blisko dworu. Poczciwa przytem, dobroduszna, ale lepiej jej nie zaczepiać, bo swoją powagę nosi wysoko, a w potrzebie musi być bardzo wymowna, i ktoby jej teraz naprzykład zasłonił widok, na który cieszyła się oddawna i z zajęciem pa-

trzy, ten mógłby usłyszeć co nieprzyjemnego. Za nią młoda dziewczyna, córka? prędzej wnuczka, bardzo ładna w swojej niebieskiej, gwiazdami naszytej sukni i z rozpuszczonemi włosami, patrzy nie zupełnie obojętnie, a widocznie w tajemnicy przed babunią na młodego rycerza w zbroi, który tylko co powiedział jej coś ładnego. Za nią, na wyższych ławkach czy stopniach jakaś piękna brodata głowa, i druga jakaś postać młodociana, która ma za szerokie może i za sute wyloty u swoich rękawów.

W trybunie królewskiej, za Boną, kilka pań, między któremi odznacza się jedna ślicznemi rysami i może jeszcze ładniejszym strojem. Siedzi, więc widać ją tylko do pasa; ale na kapeluszu ma pióra, a na sobie suknię jasnego liliowego koloru, tak miłego, tak delikatnego, tak pieszczącego oko, że irysy hyacenty i heliotropy mogłyby więdnąć z zazdrości.

Oto cały przód lewej strony. Na dalszym planie bardziej ku zamkowi stoi biskup otoczony duchowieństwem; (wszyscy w złotych kapach, albo w komżach z koronkami, ma się rozumieć), wszyscy razem stanowią śliczną grupę. Biskup nie stary jeszcze, o pięknych rysach i szlachetnej postawie, podnosi palce do przeżegnania dzwonu i czyta modlitwy z mszału opartego o głowę asystenta. To nie biskup tylko, to i dyplomata i arystokrata, tak przynajmniej mówią jego rysy i jego spokojna powaga, pod którą co siedzi, tego bez jego woli nikt nie zobaczy. Zanim jeden stary kanonik o kwadratowej dość pospolitej twarzy, w której jest i energia i dobry apetyt i nie wielka inteligencya i zmysł praktyczny i stentorowy głos, prałat przed którym drżeć muszą proboszcze i wikarowie; drugi, bliżej biskupa, młody nieco wychudły, z włosami przy samej skórze obciętemi, śliczna głowa z głębokim wyrazem, przez którą przeszło już dużo myśli, czy ascetycznych czy ambitnych nie wiedzieć, ale to ksiądz który wyjdzie wysoko, może będzie świętym w niebie, może kardynałem w Rzymie, może w Polsce kanclerzem lub prymasem.

A za nimi dalej już tłum, już głów nie rozróżnić, już wszystko się bardziej zlewa, zaciera, niknie; czasem mignie czerwony kołnierz od chłopskiej sukmany, czasem jaka głowa odznaczy się cokolwiek na tle innych, ale tu już szczegółów nie znać, to już tylko masa ludzi.

A strona druga, ważniejsza, czynna, ta która się rusza i pracują kiedy tamta tylko patrzy? O tej przecie nie zdarzyło nam się słyszeć zdań różnych, doskonałość, perfekcya, arcydzieło, to mówią znawcy, bo się znają, i nie znawcy, bo muszą poznać, że widzą tu żywcem to samo co widzieli sto razy w naturze, ludzi, ruchy, wyrazy, niebo, cienie, światło, wszystko. U góry wielkiego silnego rusztowania, którego końca nie widać, musi gdzieś być blok, na którym się dzwon do góry winduje. Wierzch jego wyszedł już z formy nad ziemię. Do potężnego ucha przywiązane jest mnóstwo lin, powrozów, sznurów, za które ciągną żylaste muskularne ręce kilkunastu ludzi (jest ich naturalnie więcej jak kilkunastu, ale nie wszystkich widać) — jedni ciągną własnemi rękami, drudzy za pomocą korb. Chwila musi być jakaś krytyczna, bo znać najwyższe wytężenie w ciągnących, znać pewien niepokój nawet w patrzących (w królu naprzykład): musi być potrzeba największych sił razem, kiedy nawet ów pięknie ubrany jegomość chwycił za sznur i ciągnie tak że się aż prawie kładzie na ziemi, a mistrz który stoi na wyniesieniu w pół rusztowania, jest widocznie bardzo wzruszony i niespokojny, jeżeli nie przerażony. Jak ciągną, jak znać ostatnie wytężenie sił na twarzach, na rękach, a pod ubraniami nawet na grzbietach, co za ruch, co za takt i zgodność w tym ruchu, i co za miara szczęśliwa, żeby w całem tem natężeniu nie było nigdzie przesady, nigdzie nic nieestetycznego, ani w twarzach, ani w muskułach: na taki realizm zgoda! najwyższa najwierniejsza prawda, ale granica piękności nigdzie nie przekroczona. A głowy tych robotników, co za rozmaitość i co za charakterystyczna wierność ludowych typów: a co za postawy, co za szalone trudności rysunku! w zupełności ocenić je może tylko kto sam rysunek zna, ale domyśli się, choć trochę pozna się, każdy. Jest tam między innymi góral jeden, którego się widzi zupełnie *en face:* dwoma rękami ciągnie sznur ku sobie, ciągnie z całej siły, tak, że aż przysiadł do ziemi oparłszy się o nią silnie zgiętemi w kolanach nogami; poza może nie jest bardzo estetyczna, ale można dużo świata zjechać nim się drugie takie *raccourci* zobaczy.

O tych sznurach i o tem rusztowaniu opowiadano nam szczegół ciekawy: to, że artysta kazał sobie w pracowni przez

cieślów składać belki i wiązać sznury, żeby mu nawet cieśla nie mógł zarzucić najmniejszej niedokładności. Gdyby Appelles był brał rzeczy tak sumiennie i przezornie, nie byłby miał nieprzyjemności z szewcem, a świat byłby uboższy, wypisy łacińskie mniejsze o jedną do znudzenia powtarzaną anegdotę.

Ale robotnicy nie są sami: ktoś oczywiście musi nimi dowodzić. Jest też oprócz nich trzy jeszcze figury po prawej stronie obrazu. Jeden czarno ubrany, ze zwojem papierów (planów zapewne) w ręku, ciekawie i także nie bez obawy nachylony ku dzwonowi, to oczywiście Włoch inżynier, śliczny. Obok niego stoi młodzieniec w fioletowym włoskim stroju z gitarą w ręku. Co on tu robi, i jeszcze z tym instrumentem? zaraz; i to się pokaże. Jest to Bekwark lutnista królewski, Bekwark wspominany w współczesnych dziełach z takiem prawie rozczuleniem i zapałem, z jakim dzisiejsi dylettanci unoszą się nad panią Patti lub wzdychają za straconym głosem niezrównanego Mario. Otóż Bekwark, kiedy się dzwon odlewał, zerwał struny ze swojej lutni i rzucił je w mieszaninę metalów, żeby mu dać i dźwięk tej lutni i jakby duszę muzyczną. A po takim pomyśle naturalnie że go dzwon obchodzi, że się nań patrzy zbliska, bo przecież ma do niego prawo, pobratał się, związał się z nim niejako temi swojemi strunami. Jaki śliczny chłopiec! wysmukły, brunet, smagławy, artysta poetyczny, artysta do zakochania, z trochę tęsknym i rozmarzonym wyrazem twarzy, a patrzy na dzwon tak mądrze, z takiem zamyśleniem głębokiem a blizkiem natchnienia, z jakiem byłby patrzał na taką robotę Schiller, w którego głowie powstałaby wtedy pierwsza myśl „*pieśni o dzwonie.*“

Ale ten piękny śpiewak (płeć piękna nigdy się na to nie zgodzi), prawie traci na porównaniu z prostym, a z twarzy wcale nie nadobnym majstrem. W kaftanie tylko, opasany skórzanym fartuchem, stoi w pół rusztowania nad wszystkimi robotnikami, ręce obie podniósł do góry, za chwilę je opuści, on w ten sposób daje im takt, żeby razem, równo na komendę, wszystkie siły działały, i razem ustawały. I to on dopiero jest bohaterem obrazu, on jest arcydziełem w tem arcydziele. Ani królowa błyszcząca jak monstrancya, ani paradny biskup, ani po mistrzowsku wymalowany król, ani piękne damy, ani poetyczny lutnista, ale on tu jest pierwszym. Nie dla tego że

dzwon odlał, ani dla tego że dowodzi trudną operacyą windowania, ani nawet, że swoim giestem, swoją twarzą namiętną, nerwową, bardzo wzruszoną; jedyny między wszystkimi dramatyczny, najwięcej daje życia tej spokojnej moralnie choć fizycznie trudniej i naglącej akcyi, ale dla tego, że jako wykonanie chyba wszystko i wszystkich przeszedł.

Na nim też skończymy i nasze bardzo może liche, ale bardzo szczere sprawozdanie o obrazie, który w życiu swego autora wiele sądzimy będzie znaczył, w którym, jeżeli się nie mylimy, zajaśniał on swemi dawnemi zaletami może świetniej niż kiedykolwiek, w którym pokazał, że nabył nowych, a który nam przynajmniej zrobił to wrażenie, że jak jego przedmiot, *Dzwon,* tak i on mógłby o sobie powiedzieć *„vivos voco, mor-„tuos plango.“*

Nowy plan, jeszcze jeden, restauracyi Sukiennic, i ten powinienby może zwrócić na siebie uwagę tych co mają prawo rozstrzygać o tej sprawie, zawiłej, trudnej, i wlokącej się długo jak niegdyś kwestya Szlezwiku i Holsztynu. Mówiono tyle o tych biednych Sukiennicach! Zrobić z nich coś praktycznego i pożytecznego, zrobić z nich coś pięknego, wreszcie zburzyć ten brzydki stary grat, a na jego miejscu zrobić regularny nowomodny *square,* z dużym trawnikiem i małym wodotryskiem po środku, czegoż nie mówiono, jakich nie robiono projektów! od hr. Platera który zrobił z nich coś bardzo pięknego, ale zupełnie różnego od tego co jest, aż do tych energicznych krakowskich Hausmannów, którzyby chcieli zrównać z ziemią barbarzyński przybytek krup, kasz, mąki, śledzi i przekupek, wszyscy coś chcieli, wszyscy coś radzili, wszyscy mieli jakieś myśli, tylko dobrej jakoś nikt dotąd nie miał.

Zburzyć Sukiennice — to łatwo. Tylko wtedy rynek krakowski stanie się (może piękniejszym, nie wiemy), ale podobniusieńkiem do tego placu w Wrocławiu na którym stoi hotel Gallischa, do tego placu w Berlinie na którym stoi nowy *Siegesmonument*, do każdego placu w Bernie, Presburgu, Gratzu, Linzu lub Cieszynie. Czy tego chcemy? jeżeli tak, walmy sukiennice od razu.

Zrobić z nich coś pięknego, naprawdę pięknego i to trudno, to po prostu niepodobna. Nie pozwoli na to sam kształt i proporcyci długiego wązkiego budynku, który sam nie wie jak i dla czego stał się budynkiem, kiedy pierwotnie miał być tylko dwoma rzędami kramów, którym o architektonicznej i artystycznej całości nigdy się nie śniło. Coś praktycznego i pożytecznego wreszcie? i to nie łatwo zważywszy dane warunki i proporcye tego co jest. A więc? a więc nie chcąc burzyć, nie mogąc zrobić z Sukiennic nic artystycznie doskonałego, jeden jest tylko sposób rozwiązania tego problemu i wyjścia z trudności: odnowić je, ocalić od ruiny, a zachować je jak można najbardziej takiemi jak są. Nie będzie to nigdy piękne jak Parthenon lub katedra kolońska, ale będzie takie, jak zrobiły wieki: za brzydkość Sukiennic niech one odpowiadają, a niech zostanie to piętno jakie one na budynku wybiły. Co zaś do pożytku i praktyczności, wzgląd ten także w zupełności zwyciężyć nie może. Najgenijalniejszy architekt nie zdoła zrobić z nich ani dobrego teatru, ani wygodnego bazaru, ani w ogóle nic wygodnego. Trzeba się podddać: wzgląd praktyczny niech zostanie podrzędnym, a historyczny i archeologiczny głównym, niech się zaś godzą między sobą, jeżeli i o ile mogą.

Otóż, plan restauracyi pana Prylińskiego godzi zdaniem naszem wcale szczęśliwie oba te względy z sobą, a nawet z względem estetycznym. Znawcy i biegli zarzucają mu podobno jakieś trudności, czy zgoła niemożliwości konstrukcyjne, ale w szczegółach tylko: co do tego, niech nam wolno będzie powiedzieć, że taki błąd każdy budowniczy łatwo naprawi jeżeli mu się go zawczasu na planie wskaże: nie ma więc o czem mówić. A co do ogółu, to plan p. Prylińskiego wydaje nam się szczęśliwym. Użytek praktyczny zapewniony zupełnie, skoro na dole mieszczą się sklepy, na górze wystawa obrazów w jednej połowie, w drugiej wielka sala balowa i koncertowa (której brak w naszem mieście uznają wszyscy), ze wszystkiemi mniejszemi pokojami jakie mogą być potrzebne, z restauracyą, kawiarnią, a prócz tego jest jeszcze jedna sala osobna na odczyty, posiedzenia i t. p. Architekt tak pamiętał o wygodzie i praktyczności, że do sali koncertowej naprzykład ma wejście osobne dla chórów i orkiestry, osobne dla solistów. Jeżeli

Sukiennice mogą i mają się przydać, być do użytku, to w ten sposób przydałyby się bardzo i pełniłyby służbę doskonale.

Co się zaś tyczy strony artystycznej i archeologicznej, plan ma wielkie zalety. Dwa fronty, od ulicy św. Jana, i Bracкiej, ślicznie artysta myśli odnowić, wiernie bardzo zachowuje ich dzisiejszy charakter, a to co dodaje, to tak ładne, tak zgodne z tem co jest, że można tylko najszczerzej pragnąć iżby Sukiennice kiedyś tak wyglądały. Bardzo ładne także podcienia które artysta dodaje wzdłuż dwóch długich boków budynku, których wszystkie motywa, łuki, filary etc. wzięte są z dawnych miejscowych pomników. I to pomysł szczęśliwy, żeby przez zrzucenie wysokich dachów na wystających budynkach i budyneczkach odsłonić okna, które istotnie są, wpuścić do sukiennic światło, i murom tak oswobodzonym dać kształt wynioślejszy, szlachetniejszy. Aż dotąd jesteśmy w najzupełniejszej zgodzie z autorem projektu, i gotowi gorąco, uparcie za jego planem obstawać.

Mniej za tem co chce dorabiać. Twierdzi autor planu, że bez przybudowań obejść się nie może, że jeżeli mają być sale na piętrze, to do nich prowadzić muszą schody naprzykład, a gdzież te schody umieścić? że nasze nowoczenne pojęcia o wygodzie wymagają podjazdu dla powozów: że dla wygody górnych sal potrzeba więcej miejsca, i dla tego, w połowie dwóch długich boków tam gdzie dziś jest przejście poprzeczne przez Sukiennice, proponuje przystawić duże części nowe. występujące naprzód, z których jedna byłaby przeznaczona na podjazd i schody, druga na salę odczytów lub posiedzeń, a w pół piętrze na mieszkania dla służby, na lokale kawiarniane i t. p. Dodaje prócz tego, że takie wystąpienie, takie przerwanie długiej jednostajnej linii Sukiennic jest potrzebne i tylko na dobre wyjść im może.

Temu wierzymy, a przyznajemy zupełnie, że jeżeli bez osobnej sali odczytowej obejść się można, to bez podjazdu obejść się trudniej, a bez schodów niepodobna. Przecież na te dodatki pisać się tak śmiało nie możemy. Jeżeli całej restauracyi przewodniczyć ma wzgląd estetyczny lub użytkowy, to w takim razie nie mamy nic do powiedzenia. Ale jeżeli, jak nam się zdaje wzgląd archeologiczny, jest dla Sukiennic głównym, to w takim razie pytamy, czy on nie będzie po-

gwałconym, jeżeli się doda do budynku coś, czego dziś nie ma? w takim razie, jeżeli się już powierzchowność Sukiennic zmienia, to nie bardzo pojmujemy jaka jest różnica pomiędzy dobudowaniem dwóch części, a przebudowaniem zupełnem, przerobieniem na coś innego i prawdziwie pięknego? czemu wtedy nie wykonać planu pana Platera? Zasada jest pogwałcona przez jedno jak przez drugie, a o trochę mniej lub trochę więcej nie chodzi. Że podjazd byłby pożądany, a schody konieczne to pewna: ale wolelibyśmy obejść się bez jednego, a drugie mieć skromne, niż dla okazałych schodów poświęcać oryginalną fizyognomią budynku. Wszak w tem miejscu gdzie miałyby stanąć projektowane przez p. Prylińskiego dodatki, są już jakieś przybudowania, które występują z budynku, i łamią jednostajną długość linii. Czy z tych nie dałoby się skorzystać i użyć ich na umieszczenie schodów, przestając na podjeździe bardzo skromnym, któryby widocznie był dodatkiem a nie organiczną częścią całości. Schody tam umieszczone byłyby brzydsze od tych, które są na planie, skromne, może ciasne, nie malownicze wcale: przecież za to mielibyśmy tę pociechę i tę spokojność sumienia, żeśmy w niczem starego zabytku nie zmienili. Jeżeli zaś dla schodów trzeba koniecznie rozszerzyć tę część wystającą która jest dziś, tedy radzilibyśmy powiększać ją jak można najmniej, nie folgować naturalnej i pięknej, ale w tym razie zdaniem naszem niebezpiecznej chęci stworzenia czegoś własnego i znaczącego.

Dostawki p. Prylińskiego zaś byłyby bardzo ładne jako osobne całości; z Sukiennicami nie wiem czy byłyby w harmonii. Naprzód są duże, tak duże, że przygniotłyby może rozmiarami to co jest, a zgasiłyby to swoją ozdobnością. Powtóre, styl tych dodatków możeby się z Sukiennicami nie zgodził. Że wszystkie pomysły wzięte są wiernie z budynków współczesnych Sukiennicom, i że przez to harmonija w stylu znaleźć się powinna, wierzymy, nie możemy przecież zaprzeczyć, że niektóre części, podjazd naprzykład (od ulicy Siennej) wydają nam się zbyt nowoczesne. Inne, jak *Loggia* (od ulicy Szewskiej) zbyt ozdobne, zbyt bogate, przy takim ganku czy balkonie Sukiennice wyglądałyby jak skromna przystawka do sutego przedsionka: dodatki stałyby się rzeczą główną, Sukiennice dodatkiem.

Otóż w czem zdaniem naszem jest pomyłka p. Pryliń-skiego i niebezpieczeństwo jego planu. Zajęty względami estetycznemi i koniecznościami użytku i wygody, spuścił z uwagi (nie w tem co odnawia ale w tem co dorabia) ten wzgląd żeby fizyognomii Sukiennic, nie bardzo powabnej zapewne, ale charakterystycznej i uświęconej czasem nie zmieniać. Wszelaka modyfikacya jego planu powinnaby być rzeczą możliwą i łatwą, i gdyby zgodzono się na podsienia, na odnowienie dwóch frontów, na urządzenie wewnętrzne, (co doradzalibyśmy bardzo, gdybyśmy mieli głos w tej sprawie), to on znowu mógłby zapewne od niektórych swoich pomysłów odstąpić. I tak, gdyby plan miał być wziętym pod rozwagę, stawialibyśmy na pierwszem miejscu żądanie, żeby tych dwóch nowych części nie stawiać wcale, i przytem upieralibyśmy się do ostatka.

Gdyby się pokazało, że to być nie może, że schody mianowicie inaczej poprowadzić się nie dadzą, wtedy obstawalibyśmy przynajmniej za tem, żeby dodatki były jak najmniejsze, jak najmniej widoczne, o to wprzekonaniu, że im więcej się Sukiennice zmieni, im więcej się do nich przystawi części nowych (choćby najładniejszych), tem bardziej zepsuje się ich cechę i harmoniją, nie doskonałą zapewne, ale przez czas przecie sprowadzoną.

Wreszcie, gdyby te części przez autora planu wymyślone miały być przyjęte, co podług nas równało by się niemal przerobieniu Sukiennic i szkodziłoby im bardzo, to wtedy przynajmniej niechby one były nie tak sute, w ornamentyce bardziej umiarkowane i do ornamentyki Sukiennic ściśle zastosowane.

Z tych trzech ewentualności ostatnia byłaby zdaniem naszem już złą; z dwóch pierwszych wolelibyśmy tę, która mniej zmienia i przystawia, ale i druga jeszcze byłaby zdaniem naszem dobrem wyjściem z tej trudnej kwestyi, której od kilku lat rozwiązać nie możemy. Pan Pryliński rozwiązał już wiele pytań: urządzenie wewnętrzne i restauracya sama są takie w jego planie, że radzibyśmy widzieć takiemi Sukiennice w rzeczywistości: rzeczy dodane zaś, jeżeli nie mają w nas równie gorliwego stronnika, to nie dla tego jakobyśmy wątpili o talencie i smaku autora, których owszem te jego po-

mysły bardzo wyraźnie dowodzą, ale że w ogóle, z zasady, przeciwni jesteśmy dodatkom przy restauracyi Sukiennic. Pragnęlibyśmy szczerze, żeby ten plan, który, jeżeli się nie mylimy ma wielkie zalety, stał się krokiem naprzód ku ukończeniu narad i wahań, a ku rozporządzeniu robót około Sukiennic.

St. Tarnowski.

WIERNY DO GROBU.

(Z pamiętnika Sybilli).

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz rano dobrze po dziesiątej, po podróżnemu ubrane, Chorążyna z przyjaciółką swoją wsiadały do karety na saniach, zaprzężonej czwórką złożoną z trzech siwków i czwartego bułanka; klacz bowiem dyszlowa zachorowała wczoraj, co sprawiło największą trudność w przyprowadzeniu do skutku tej kilkunasto milowej wyprawy do miasta, niedawno departamentowego, dziś wojewódzkiego. Chorąży w tym punkcie złożenia czwórki zdawał się być nieubłaganym; łatwiej nawet przeszło naruszenie sakiewki z dukatami, zwłaszcza że w wilią wyjazdu zjawił się był kupiec, który z góry zapłacił połowę ceny za dwieście korcy pszenicy. Przekonywająca wymowa Izabelki przemogła upor Chorążego; kapitulował i stało się jak sobie ułożyła.

Fedor drzwiczki zatrzasnął, panu schylił się do kolan, dzieciom obiecał przywieść gościńca, i nałożywszy kapelusz na świeżo upudrowaną łysinę, wskoczył na kozioł.

Gdy już po skrzypiącym śniegu kareta wysunęła się za bramę, Chorążyna objęła swoją towarzyszkę i pocałowała ją w rumiany policzek.

— Tobie to winnam, że się nam udały nasze projekta. Chciałabym się nauczyć od ciebie tej sztuki.

— Tylko miej swoją wolę — odrzekła Izabelka — nie zrażaj się ani pierwszą, ani drugą odmową, a zawsze wygrasz. Zdanie tego autora co powiedział:

Mimo płci męzkiej wyższość i zalety
My rządzim światem, a nami kobiety.

niech ci zawsze stoi w pamięci. Nie takich ja jak twój mąż umiałam obwinąć około palca, że potem na moje skinienie robili co chciałam. Najdzielniejsza nasza broń, to kokieterya, — można za nią schować się jak za tarczą, wypuszczać strzały, a samej nie być ranioną.

— Rozumiem cię, ale na to nie trzebaby mieć serca; dla tego znając twoje dobre serduszko, gotowam cię posądzić o fanfaronadę.

— Wierz mi — ja nie fanfaronuję. Serce niema nic wspólnego z kokieteryą. Nie użyłabym nigdy tej broni z mężczyzną, któryby mię zajął na seryo.

— Więc dotąd nie kochałaś prawdziwie? zagadła Chorążyna patrząc jej w oczy.

— Podobał mi się nie jeden, ale do zakochania się z mojej strony, daleko. Wreszcie trzeba wiedzieć z kim się ma do czynienia. Dzisiejsza młodzież, przyzwyczajona do tryumfów na polach bitew, znalazła łatwo powodzenie u płci naszej, którą nauczyła się pokonywać wstępnym bojem. Każdy z nich pewny zwycięztwa, ma dla nas tylko zdawkową monetę: zalotność; o sercu nie ma i mowy. Trzeba więc płacić im tą samą monetą. Jest to moja zasada, na której dobrze wychodzę — kokieterya na kokieteryą — pamiętaj sobie.

Zamyśliła się Chorążyna nad tem wyznaniem przyjaciółki; a materya ta często była traktowaną przez ładnego profesora w spódnicy, tak w ciągu drogi, jak na noclegu w obwodowem miasteczku, gdzie trafiły na wcale porządną oberżę, dzięki oficerom szwadronu ułanów, który tam stał kwaterą. Gospodarz oberży, niegdyś kucharzujący po możniejszych dworach, odrazu skokietowany przez Izabelkę, zastawił im dobrą kolacyę — słowem nocleg miały wyborny. Nazajutrz rano gdy wsiadać wypadło do krytych sań, stojących w sieni wjazdowej, a wojażerki obrachowawszy się z gospodarzem, wyszły z izby, uj-

rzały się otoczone gronem oficerów, które je powitało grzecznym ukłonem. Dwóch co bliższych wąsaczów posunęło się, żeby im ramieniem służyć do wsiadania. Fedor otwierał już drzwiczki, kiedy jeden z ułanów uprzedził go i czynność tę spełnił spuszczając stopień. Chorążyna zmięszała się, ale Izabelka z wdzięcznym uśmiechem przyjęła tę galanteryę, co dodało śmiałości uprzejmym kawalerom. Jeden z nich najstarszy wiekiem, a zapewne i stopniem, zbliżył się do spuszczonej szyby i rzekł:

— Ostrzegam Panie, że za miastem na grobli tak okropne są wyboje i zatoki, że o wywrót nie trudno.

— Nie obawiamy się niczego — odparła Izabelka — nasz Fedor ma dobre plecy i nie da się nam wywrócić.

— Zaufanie to można przypłacić nieszczęściem — pochwycił ów wojskowy. — Niedawno pani Starościna miała na tej samej grobli straszny przypadek: wywróciwszy się przygniotła sobą bonońskiego pieska i złamała mu nogę. . . . Nasz chirurg szwadronowy tracił głowę nie wiedząc kogo ratować, czy mdlejącą starościnę, czy skowyczącego faworyta. . . .

— Dziękujemy za troskliwość — rzekła ośmielona Chorążyna — ale w niebezpiecznem miejscu najłatwiej wysiąść i pójść piechotą.

— Żeby nóżki zamoczyć w śniegu — pochwycił oficer — o! na to nie mogę pozwolić; przebaczą panie — ale honor oficerski . . . attencya dla dam. . . .

Kiedy te ostatnie słowa dolatywały do uszu pięknych wojażerek, kareta ruszyła z miejsca i wytoczyła się z bramy wjazdowej na duży, pusty rynek.

— Grzeczny i przyjemny człowiek — rzekła Julia do przyjaciołki — nie zna nas, a tak się nami zajmuje.

— O, to jeszcze nie koniec! — odparła z uśmiechem Izabelka.

— Jakto nie koniec? przecież nie będą nas gonić? . . .

— Zobaczymy.

O małe ćwierć milki za miasteczkiem zaczynała się grobla; na wstępie ukazało się dwóch prostych ułanów, barczystych chłopów, którzy zbliżyli się do sań, aby je podpierać z jednej i z drugiej strony; droga bowiem poprzeżynana wybojami i głębokiemi kolejami coraz stawała się trudniejszą do

przebycia. Konie szły noga za nogą.... W tem z prawego i lewego boku mignęło dwóch jeźdźców otulonych w białe płaszcze.

— Oto ich masz — rzekła Izabela — powiedziałam ci, że nas tak łatwo nie opuszczą.

— Trzeba ich prosić, żeby się nie fatygowali — Izabelko! spuść szybę i podziękuj za tyle grzeczności....

— Dziecko z ciebie! Cóż to trudnego — i spuściwszy szybę rzekła do jadącego po swojej stronie: Zbytek grzeczności! Panowie się fatygujecie, chociaż niebezpieczeństwa niema żadnego.

— Powinność służenia damom, to tyle, co honor wojskowy — odparł młody oficer salutując z nachyleniem głowy aż do okna karety.

Chorążyna spuściła także szybę i wychylając się do jadącego obok starszego oficera, powitała go lekkiem skinieniem głowy, na co ten oddał ukłon i koniem przebijającym się przez wał śniegowy, dotarł do karety.

— Darujecie Panie naszej śmiałości, ale honor oficerski, samo uczucie ludzkości....

Niedokończywszy komplementu krzyknął na furmana, żeby się brał na lewo, a na żołnierzy, żeby saniom nie dali stoczyć się po ogromnej zatoce, która spadzisto biegła aż do stawu, gdzie na kupie śniegu mocno wydeptanego widać było słomę i siano, wymowne ślady wywrotów. Fedor także nie był bezczynnym, bo z przeciwnego boku uwiesił się u antaby i niedopuszczał saniom luzować się.

Po przebyciu niebezpiecznego kawałka, grobla kończyła się, a droga idąca pod górę lśniła się równą powierzchnią w mroźnem słońcu. Sanie zatrzymały się; furman zlazł z kozła i coś poprawiał około koni, a oficerowie zbliżywszy się do okien życzyli dobrej drogi, ubolewając, że obowiązek służby nie dopuszczał im korzystać z tak miłego towarzystwa, i odprowadzić aż do celu podróży.

— Niechże wiemy komu mamy zawdzięczać dowód tej kawalerskiej galanteryi? rzekła rumieniąc się Chorążyna...

— Rotmistrz Jaksa — odpowiedział oficer po jej stronie.

— Porucznik Grabski — odpowiedział drugi po stronie Izabelki...

— Cóż za szkoda, mówiła coraz więcej ośmielająca się Chorążyna, że panowie nie kwaterujecie bliżej nas, a z prawdziwą przyjemnością powitałabym ich w moim domu. Zapewne i tak mąż mój znajdzie sposobność wynurzenia wdzięczności za daną nam opiekę. .

— Dla mego siwka nie ma odległości — odparł Rotmistrz, klepiąc rumaka po szyi... pozwolenie pani, jest dla mnie rozkazem...

Zamieniwszy kilka jeszcze grzecznostek, oficerowie z widocznym żalem pożegnali się, przeklinając w duchu i służbę i rygorystę pułkownika, który bez meldowania się nie pozwalał opuszczać szwadronu.

Izabelka winszowała swojej przyjaciółce świeżej konkiety po tych zaprosinach będziesz go miała częstym gościem.

— Alez to nie zaprosiny, tylko grzeczny frazes, trzebaż mu było coś powiedzieć....

— Nie znasz ułańskiej natury — niech się raz przyczepi trzyma się jak pijawka. A ten pan Rotmistrz, który pożerał cię oczyma i wąsa podkręcał, wydaje mi się niebezpieczniejszym od innych. To nie żaden fryc, żeby go można na pasku prowadzić.

— Co ci się marzy moja Izabelko! mówiła Chorążyna śmiejąc się. — Wyprowadzasz jakieś horoskopy ze znajomości na bitym gościńcu, która nie może mieć żadnych konsekwencyi. Przyznam ci się, że więcej patrzałam na jego wierzchowca, który jest bardzo piękny, niż na samego jeźdźca.

Około wieczora wjeżdżały nasze wojażerki do stolicy województwa, wlokąc się długiem przedmieściem zawalonem furami ze zbożem. Furman paląc co chwila z bicza, ostrzegał przechodniów i czujnych faktorów oberżowych, że jakieś znaczne państwo zajeżdża. Niebawem zwolna sunącą się landarę na saniach, otoczyła zgraja natrętnych żydków zalecających różne oberże i stancye ogrzane; Fedor się z nimi ucierał, dopóki nie stanęli przed najporządniejszą oberżą krakowską, która z powierzchowności obiecywała nocleg porządny i wszystkie wygody, wówczas mniej wykwitne niż w dzisiejszych hotelach.

— Fedor! zawołała pani, wychylając się przez spuszczoną szybę — idź dowiedz się czy jest opalona stancya i zgódź się z gospodarzem.

Fedor poszedł i długo nie widać go było; musiał bowiem po różnych zakomorkach szukać za gospodarzem, zanim go znalazł w alkierzu zakrapiającego się miodem w gronie dobrych przyjaciół, od których nie tak łatwo dał się oderwać, aby pomyślić o przyjęciu gości.

— A to kłopot z tymi gośćmi! mruczał pod nosem — człowiek nie może spokojnie wypić szklanki miodku — Basiu Antek! Grzesiu! wołał wyszedłszy na korytarz — a gdy zawołani stawili się przed nim, wydał najwyższe rozporządzenia do umieszczenia gości i koni...

Panie wysiadły, kareta wtoczyła się do ogromnej sieni ze żłobami. Na pierwszym piętrze od frontu otwarto dwa pokoje, na szczęście ciepłe; za co podziękować miały gościowi, który je zajmował przed niemi, i cały nieład w podartych papierach i nieposłanych łóżkach zostawił po sobie. Służba uzbrojona w szczotki i ścierki z gorączkową czynnością rzuciła się do uprzątnienia stancyi, do której weszły już panie niosąc z sobą torby i torbeczki.

Nie wiem czy co bardziej usposabia do melanaholii jak ten pierwszy wstęp do tak zwanych domów gościnnych po miastach średniej wielkości, trzymanych po większej części przez wysłużonych kuchmistrzów lub kamerdynerów, którzy dorobiwszy się jakiego takiego grosza, mieli to przekonanie, że gość nie im, lecz oni gościowi wyrządzają łaskę, przyjmując ich pod swój dach. O uprzedzającej grzeczności zgadującej myśli i potrzeby podróżnego nie było mowy; o wszystko trzeba się było upominać, i taki, co krzyczał, łajał, a nawet wybił, najłepiej wychodził. Z delikatnem obchodzeniem się, można było zmarznąć, lub umrzeć z głodu, a przynajmniej dostać czarnej melancholii, śród tych smutnych ścian obdrapanych, mebli nie wygodnych, porwanych dzwonków, niezamykających się okien i drzwi, i pieca zawsze dymiącego. Wołaj sto razy na służbę, nikt cię nie słucha, a jeżeli się zjawi przed tobą aby odebrać polecenie, to wieki musisz czekać zanim je spełni. Słowem, czułeś się naraz tak oderwanym od wszelkich stosunków życia, jak ten, którego zamkną do więzienia.

Nasze piękne wojażerki doznały mniej więcej tych melancholicznych wrażeń, bo w najgorszym humorze niezdejmując podróżnych futer, rzuciły się na kulawą kanapę, oczekując na gościnne przyjęcie, którego nigdyby się niedoczekały, gdyby we drzwiach nie zjawiła się brodata postać żydka faktora, który nisko kłaniając się, zapytał: Czy Jaśnie Państwo czego nie potrzebują? Ja tu oberżowy faktor Moszko służę wszystkim panom co tu zajeżdżają....

Fedor lubo mógł być pośrednikiem między naszemi damami a osadą gospody, zajęty był przy saniach odwiązywaniem tłumoków, które trzeba było poznosić na górę: ów więc żydek spadł im jak z nieba, choć w duchu wątpiły czy jaki aż tam się zaplątał. Dość, że przybycie tej nowej figury wyleczyło je od razu ze złego humoru; uczuły się bowiem mniej opuszczone i wydziedziczone ze zwykłych stosunków towarzyskich. Wygadujemy na żydostwo *en masse* i bardzo sprawiedliwie; ale bez żyda szczególniej w mieście zwykły śmiertelnik rady sobie dać niepotrafi. Chcesz się zoryentować w obcym miejscu, żyda pytaj, bo od chrześcianina niczego się nie dowiesz. Chcesz wiedzieć gdzie kto mieszka? Żyd cię zaprowadzi. Chcesz co kupić lub sprzedać? przez żyda tylko to zrobisz. Szukasz protekcyi w jakiej sprawie? Żyd ci ją wyjedna. Zgoła czego tylko chcesz lub nie chcesz zawsze żyd, tylko żyd i nikt jak żyd. Mieszczanin katolik zazwyczaj leniwy, ociężały, a do tego gbur i podejrzliwie nieużyty, widzi w każdej obcej twarzy swego nieprzyjaciela przychodzącego podkopywać jego handelek jeżeli go ma, lub czyhać na jego mienie. Z takiemi przywarami, które dziś już cokolwiek się zacierają, choć się niezupełnie zatarły, mieszczanin polskiej krwi musiał ustąpić obrotnemu, usłużnemu aż do natrętstwa żydowi który stał się panem wszelkiego ruchu, podobny w tem do swego bożyszcza, jakim jest z rąk do rąk kursujący pieniądz. Wszędzie go masz, gdzie go nie posiejesz; wszędzie być musi, gdzie się jakikolwiek ruch odbywa; ruch a żyd, to prawie synonim.

Wygadany i sprytny faktor prędko umiał stać się niezbędnym doradzcą i przewodnikiem dla naszych pań, które przyzwyczajone do usłużności męczyzn same nie umiały sobie poradzić. Za jego to protekcyą zniesiono zaraz tłumoki, zapalono jarzące świece, podano herbatę i wcale nie złą kolacyę, słowem zna-

lazły się wszystkie wygody i dogodności, na jakich poprzestawał ówczesny gość oberżowy.

Panie dziękowały usłużnemu Moszkowi i dziwiły się dla czego zrazu były tak źle przyjęte i opuszczone?

— Bo ten stary lokaj nieumiał się obrócić — odrzekł Moszko — poszedł do gospodarza, a ten tu nic nie znaczy, on albo siedzi przy butelce, albo z oficerami gra w bilard.

— A do kogoż miał się udać?

— Do gospodyni która siedzi w kuchni i wszystkiem dysponuje. Jak ona czego nie rozkaże, to nikt nie zrobi.

Moszko okazał się jeszcze niewyczerpaną skarbnicą wiadomości, gdy panie mu przeczytały cały rejestr sprawunków po które przyjechały. Jeszcze tego samego wieczora nanieśli żydkowie stosy towarów ze sklepów bławatnych i zrobił się prawdziwy jarmark. Żydkowie coraz rozwijali nowe sztuki materyi, blondyn, koronek, wstążek. Panie odrzucały, lub wybierały, podane ceny przecinały na połowę krakowskim targiem, i nic nie było słychać prócz żydowskiego szwargotu ogłuszającego i odurzającego, że nareszcie zmęczone, tem ujadaniem się zatrzymawszy niektóre sztuki do jutrzejszejszej decyzyi, kazały Fedorowi natrętną zgraję powyrzucać za drzwi, co spełnił z przyzwoitą powagą: „Wynosić się, wynosić się! panie kupiec!“ a jeźli który ociągał się jeszcze i wznawiał targi, zabierał jego towar i wyrzucał na kurytarz, a za towarem wylatywał i sam właściciel.

Na zajutrz po rannej kawie i cichej mszy wysłuchanej w najbliższym kościele; rozpoczęła się długa pielgrzymka po sklepach w towarzystwie Moszka, który jak wielbłąd objuczony zakupionemi towarami po kilkakroć odnosił je do oberży i znowu wracał, niezmordowany w służbie. Zmęczone i wygłodzone panie chodzeniem po sklepach i targowaniem się do upadłego, postanowiły wstąpić do cukierni na ciasteczka, gdzie zastały kilku wojskowych i może byłyby się cofnęły, ale jeden z wojskowych, odwróciwszy się nagle zawołał na widok wchodzących: Ach to pani Izabela! oczom moim nie wierzę. I posunął się ku nim i oddając szarmancki ukłon Chorążynie, Izabelkę pocałował w rękę, która powitała go wdzięcznym uśmiechem i zapytała: Co pan tu robisz?

— Jestem adjutantem przy jenerale dywizyi... A cóż panią zaniosło w te strony? Warszawa musiała posmutnieć bez pani.

— Czy posmutniała, czy nie, to mię mało obchodzi.

— Tem lepiej, za to my zyskujemy cośmy skazani na to wygnanie.

— Tego nie wiem, jestem tylko przelotnym ptakiem... teraz przebywam na wsi... Tu zwróciła się do Chorążyny i rzekła: prezentuję ci kapitana Zdziarskiego. wielkiego bałamuta, ale bardzo przyjemnego towarzysza zabaw; — Chorążyna X. moja najlepsza przyjaciółka.

— Pięknie pani rekomendujesz swoich znajomych, mówił śmiejąc się adjutant, pani Chorążyna, Bóg wie co sobie o mnie gotowa pomyśleć.

— Nic więcej jak jest — odcięła Izabelka

— Czy panie przyjechały ożywić nasz karnawał? Rzekł Adjutant, zwracając rozmowę na inny przedmiot.

— Jesteśmy tu za sprawunkami — odrzekła Chorążyna.

Ależ tu nic nie dostanie, cukierki nawet sprowadzam od Lesla, mówił pogardliwie adjutant.

— Cukierki! dziękuje panu żeś mi przypomniał, pochwyciła Chorążyna i obracając się do cukiernika rzekła: proszę o dziesięć funtów cukierków.

— Ach prawda zapomniałyśmy o najważniejszym artykule, mówiła Izabelka, bal i cukierki to nieoddzielna para.

— Rozumiem, sprawunki na bal, bal na wsi, wiem z doświadczenia że nigdzie się tak nie bawią jak w wiejskiem towarzystwie, co za wesołość, jaka niezmordowana ochota!

— Jeżeli pan kapitan znajdujesz taką przyjemność w naszych parafialnych zabawach, rzekła chorążyna, to byłoby nam miło w naszym go domu powitać.

— Tak, tak, przyjedź pan, zabierz ze sobą kilku kolegów, dodała Izabelka, będziemy się wybornie bawić....

— Żeby nie ta przeklęta służba i nie ten mantyka Jenerał, który swoim adjutantem tak się nacieszyć nie może, że go co chwila potrzebuje.... gdyby nie te trudności, poleciałbym na skrzydłach....

— Lepiej przyjedź pan sankami, przerwała Izabelka, dla chcącego nie ma nic trudnego.

Rozmowa toczyła się w ten sposób, i prosto trafiła w to, co było skrytem życzeniem adjutanta, żeby odnowić stosunek z Izabelką i prowadzić dalej szturmy do jej serca, przypuszczane jeszcze w Warszawie. Zaproszenie na bal choć o mil kilkanaście, uważał za szczęśliwą sposobność dogodzenia skłonności, nie powiem serca, lecz zmysłowego kaprysu. Odtąd ładny adjutant czuł się w obowiązku oddania się podrozkazy naszych dam, z któremi zwiedził jeszcze kilka sklepów, i odprowadził do oberży, rzucając po drodze zwycięzkie spojrzenia spotykanym kolegom. Panie przez grzeczność dla usłużnego kawalera, zaprosiły go do stancyi, gdzie znowu rozmowa wszczęła się o balu, gdzie powtórzono w urzędowej formie zaproszenie, z dodatkiem który zrobiła Chorążyna: A może pan Kapitan namówisz jeszcze kilku kolegów, żeby nasz dom zaszczycili swoją obecnością.... poczem wpadając w inną materyą, utyskiwała na niegodziwą drogę, szczególniej pod powiatowym miasteczkiem, gdzie pewnie spotkałby je, jakiś okropny przypadek, gdyby nie nadzwyczajna grzeczność Rotmistrza Jaxy, który choć ich nigdy nie znał ani o nich słyszał, stał się prawdziwym wybawcą.

— Znam Jaxę — pochwycił Adjutant, wyborny kolega, jak to mówią i do szabli i do szklanki — a jaki umizgus.

— Nie brak i panu — wtrąciła Izabelka — dla kompletu namów go pan, żeby na bal przyjechał — zgadzasz się na to Julisiu? zapytała patrząc w nią przenikliwie.

— Przyjemnych i wesołych gości chciałbym jak najwięcej widzieć u siebie — odrzekła Chorążyna, udając obojętność.

Wtem stanął we drzwiach Fedor z przeciągniętą i zakłopotaną twarzą....

— Prosze pani, nie wiem jak wrócimy do domu?

— Tak, jakeśmy wyjechali — odrzekła Chorążyna — alboż co takiego?

— Nieszczęście! furmana poprowadzili policyanci na ratusz... i zamknęli do więzienia.

Dalszy wywód słowny z Fedorem lepiej wyjaśnił sprawę. Pokazało się, że furman poprowadziwszy konie do kucia, sam się skuł przy tej okazyi, i narobiwszy breweryi w szynkowni, dostał się do kozy.

Adjutant widząc zaambarasowane panie tym wypadkiem, uspokoił je skwapliwie i natychmiast zerwał się, oświadczając, że idzie wydobyć delikwenta ze szponów miejskiej sprawiedliwości, za co obsypano go komplementami. W parę godzin furman był już w stajni, dobrze wytrzeźwiony kilkoma kijami które otrzymał na pamiątkę, o czem jednak nie mówił, lubo mocno podbite oczy mówiły o walce stoczonej w szynkowni.

Epizod ten załatwiony pomyślnie, nie tyle dla woźnicy, ile dla naszych dam, nie przeszkodził im do pokazania się w teatrze, gdzie właśnie tego wieczora dawano komedyę Kocebuego *Dwaj Klingsbergowie*. Wesoła sztuka grana z pewną przesadą trywialnej komiki właściwej trupom koczujących aktorów, którzy mieli przynajmniej tę skromność, że się nie tytułowali artystami, zajęła im przyjemnie cały wieczór, tem więcej, gdy na zjawienie się w loży, nowych i wcale powabnych twarzyczek, zwróciły się ku nim spojrzenia mężczyzn i lornetki kobiet. Adjutant któremu służył przywilej szarmanta z urzędu, odwiedzał je między aktami, a nawet i przez całe akty nie odstępował bawiąc je rozmową, która niekiedy bywała tak głośną i połączoną z wesołym śmiechem, że aż dawało się słyszeć sykanie z parteru, nietyle z powodu utracenia jakiego konceptu komedyi, ile, że tę wesołość brano za lekceważenie majestatu publiki. Nie zważano jednak na te oznaki nieukontentowania, rozmawiano i śmiano się w najlepsze; a pan adjutant wybiegał co chwila po cukierki i pomarańcze, lub przyprowadzał ze sobą jakiego oficera, i prezentował go damom, które, jeżeli im się podobał z układu i miny, nie omieszkały natrącić coś o balu, i dorzucić grzeczne zaproszenie. Słowem doskonale przeszedł im wieczór, ubawiły się i naśmiały, ale nie z komedyi; gdyby wówczas wychodził był jaki prowincyonalny dziennik, niezawodnie czytanoby w nim nazajutrz, że najzabawniejsza komedya odgrywała się nie na scenie, lecz w loży parterowej pod Nr. takim a takim.

Całe grono nowopoznanych wojskowych wraz z adjutantem, odprowadziło panie do oberży; miały one wielką chęć zaprosić grono szarmantów na kolacyę i ponczyk — ale Fedor na propozycyę zrobioną mu *a parte* przez Chorążynę, oparł się temu, twierdząc, że to być nie może, bo o tej godzinie gospodyni już w łóżku, i nikt się do niej niedopuka. Trzeba

więc było poprzestać na suchem pożegnaniu i ocukrować je ponownem zaproszeniem na bal...

Hałaśliwe grono brzęcząc ostrogami i pałaszami oddaliło się i wpadło do pobliskiej cukierni, gdzie przy ponczyku do późna walczyły ze sobą dwa stronnictwa, jedno pod sztandarem Izabelki, drugie Chorążyny, i kwestya o złote jabłko pierwszeństwa została nierozstrzygniętą. Tylko jeden smukły podporucznik od ułanów, nie brał prawie udziału w tej walce, milczał, i często macał się po stronie serca, gdzie spoczywała wonna rękawiczka, którą upuściła Izabelka, on ją podniósł, lecz ona nie upomniała się o zgubę.... Młodzieńcza wyobraźnia budowała już cały świat szczęścia na tym drobnym zadatku.

Panie poszły późno spać i nie obudziły się prędko. Ranek zeszedł na pakowaniu, na bieganinie za niektóremi jeszcze sprawunkami, tak, że już było dobrze z południa, kiedy mogły wyjechać. Na wsiadaniu znalazł się adjutant i parę jego kolegów, którzy raz jeszcze przyszli z pożegnaniem i nagadawszy mnóstwo komplementów, dosiedli wierzchowców i eskortowali landarę zwolna wlekącą się dobry kawał za rogatki, gdzie nastąpiło ostateczne rozstanie się.

— Co to za miłe chłopcy! — mówiła Chorążyna — jacy grzeczni, jak dobrze wychowani!

— A widzisz? rzekła Izabelka — podziękuj mi, żem cię na świat wywlokła. Jeżeli tylko dotrzymają słowa i na bal przybędą, smutną przy nich odegrają rolę wasi parafialni eleganci. Założyłabym się, że z tego wyniknie parę pojedynków.

Z powodu rychłego mroku i ciemnej nocy, nie można już było dociągnąć do powiatowego miasteczka; wypadło więc stanąć na nocleg w dość porządnej murowanej karczmie, gdzie się nawet znalazła osobna stancya dla gości, mająca tylko tę niedogodność, że była zimna i przesiąkła wonią kapusty.

Przespawszy się, przejechano już naprawioną groblę bez żadnego przypadku; w miasteczku wytchnięto koniom, i na nieszczęście nie ujrzano żadnego ułana, któregoby można zapytać o rotmistrza Jaksę....

Już było dobrze ciemno, kiedy sanie zajechały przed ganek dworu.

Przez parę dni trwały ciągłe narady jak się wziąść do urządzeń balowych. Chorąży nie mięszał się do nich, tylko dość kwaśno powtarzał: „róbcie sobie co chcecie; ja tylko wino pościągam w butelki, bo to grunt w przyjęciu gości.“

— Mój Chorążuniu! mówiła Izabelka — chciałeś się niczem wykręcić, ale cię czeka inna jeszcze robota.

— Ma się rozumieć dorzuciła żona — my objdziemy sąsiadki z zaprosinami, ty zaprosisz kawalerów; bo przecież same nie będziemy tańczyć. — Szczególniej powinieneś oddać wizytę rotmistrzowi Jaksie, który nas wybawił z takiego niebezpieczeństwa....

— Tłuć się tyle mil! wołał Chorąży.... a to skaranie boskie ten bal.... Żadne protestacye nie pomogły; przygotowania szły swoim trybem. Sprowadzony z bliskiego miasteczka rymarz musiał podjąć się roli tapicera i białe ściany saloniku powlekać obiciem; stolarz także miał coś do strugania; a głównie żeby wywoskować posadzkę i pousuwać przepierzenia. Słowem ruinacya zaczęła się w całym domu; jedno wnoszono, drugie wynoszono, a ciągle przybijano.... Fedor chodził jak struty, wzruszał ramionami i często powtarzał: „po co to wszystko? przyjadą, najedzą, napiją, zawalają i jeszcze będą obmawiać... W pańskich pałacach co innego, tam wszystko gotowe, że o każdej godzinie bal można wyprawić....“ Na kilka dni przed balowym terminem, obie panie objeżdżały sąsiedztwo i zapraszały na wieczorek, a że to zapusty, będize muzyka, żeby się dzieci mogły wyskakać. Chorąży także rozpoczął swój objazd, atoli nie sądźmy, że wszystkich gości trzeba było zapraszać z osobna, wcale nie; wtedy bowiem nie znano tych ceregielów, i jeźli posłyszano, że gdzie będą tańczyć zjeżdżali się kawalerowie bez urzędowych zaprosin i zawsze ich dobrze przyjęto. Zresztą jeden dom zaproszony, zjeżdżał z całą czeredą swoich znajomych, krewniaków i gości.

W sam dzień owej fety, o której wiele gadano w okolicy przedtem i potem zjechało się jeszcze przed obiadem kilkanaście osób ściślejszej zażyłości z domem Chorąztwa — a po obiedzie ku wieczorowi rozlegał się dziedziniec nieustannym trzaskiem z biczów. Co chwila nowi przybywali goście witani przez Chorążego w ganku, a przez samą panią u drzwi salonu, przy odgłosie pocałowań i suwań nogami. Panny sia-

dały ordynkiem pod ścianą. Mamy zajmowały kanapy; kawalerowie kręcili się około panien; żonkosie gromadzili się na środku salonu i głośno rozprawiali o gospodarstwie lub podatkach.

Tymczasem zapalono pająk, podano kawę w maleńkich filiżankach z biszkoptami i sucharkami, unoszono się nad najmodniejszym krojem sukienki Chorążyny, nad tureckim szalem Izabelki, czepeczkim Podczaszyny sprowadzonym z Warszawy, nad girlandą z róż na Łowczance, a gruby pokład bielidła i różu na obliczu Sędziny, wyciskał powinszowania, że wygląda jak starsza siostra swojej córki. Dla zajęcia gości, żeby i zabawa nie miała formalnego charakteru balu, parę panienek i chłopczyków popisywało się tańcami solo, przy dźwięku fortepianu, na którym grała jedna z przekwitłych panien. Tańczono gawota, menueta, z szalem lub gierlandą w kusych sukienkach z krótkiemi rękawkami. Jeżeli nóżka była malutka ujęta w zgrabny trzewiczek, zachwycano się sztucznemi ewolucyami stopek muskających posadzkę i gracyą rozmaitych figur, w których białe ramiona zakreslały w powietrzu kółka i półkola....

Mamy nie posiadały się z radości, kiedy kawalerowie przychodzili składać im odebrane wrażenia, które dziś wydrukowane w gazecie nazwanoby „reklamą".

Jeszcze jakiś krępy chłopaczek popisywał się w kozaku przeplatając nogami i robiąc prysiudy do samej ziemi — kiedy na raz w sieni hukły trąby i zapiszczały klarnety — był to kościuszkowski polonez. Drzwi się otwarły, z brzękiem ostróg i szczękiem szabel Chorąży wprowadził grono oficerów, na których czele wszedł rotmistrz Jaksa w pełnym mundurze ułańskim z amarantowemi rabatami, zakręconym wąsem i wstążeczką legii honorowej, która wzbudziła powszechne uszanowanie. Chorążyna posunęła się ku niemu podając rączkę którę on pospieszył ucałować i zlekka uścisnąć; Izabelka zrobiła to samo z adjutantem, a obie powitały innych należących do grona poznanego w teatrze i nieomieszkały zaprezentować zebranym damom.

— Julisiu! mówił Chorąży głośno do żony — podziękuj tym panom za siurpryzę jaką nam zrobili — przecież to oni przywieźli ze sobą muzykę wojskową; mnie samemu na odgłos

trąby przypominają się dawne czasy, i serce jakoś żywiej uderza....

— Nasze żydki z miasteczka z basetlą i cymbałami sami się wynieśli.

— To pomysł rotmistrza — pochwycił adjutant — i pomysł gienialny.

I tłum gości otoczył Jaksę obsypując go podziękowaniami... On też zaraz podał rękę Chorążynie do poloneza w drugiej parze; pierwszą wiódł Chorąży z panią Podczaszyną jako najpoważniejszą matronę; za nimi ciągnęło par kilkanaście. Wówczas jeszcze umiano tańczyć poloneza, tradycya żywo się przechowywała, wiedziano więc kiedy trzeba w przeciwną zwracać stronę; kiedy odbijać, kiedy puszczać damę, kiedy wracać do swojej pary, a wszystko robić krokiem posuwistym z miną pełną atencyi dla damy i rycerską fantazyą. Rotmistrz sunący w parze z Chorążyną, pokręcał wąsa — i patrzał na nię z pod oka, jakby chciał się dowiedzieć, czy komplement jaki w myśli ułożył, będzie dobrze przyjęty lub nie? Dość, ze kiedy mu ją odbito, a on po długiem krążeniu, znowu do niej wrócił, rzekł półgłosem: Nie marzyłem nawet o takiem szczęściu, żeby znaleźć to, co się straciło.

— Zdaje mi się — odparła śmiejąc się Chorążyna — że takie szczęście spotyka każdego co wraca do swojej pary.

Chorążyna odmówiła następnego mazura, ale stanęła z Jaksą w anglezie, który ją mniej męczył, a lepiej odpowiadał gracyi jej ruchów.

W jednej figurze, gdy się puszczali ulicą stojących par, szepnął rotmistrz: „Tańcząc z panią, zdaje się, że mam skrzydła u nóg i ramion...

— Czy każesz się pan trzymać, żebyś nie uleciał? odpowiedziała figlarnie...

Nad rankiem winem zagrzana młodzież stanęła do Krakowiaka, rotmistrz z tęgą fantazyą, bo często dla ochłodzenia się zaglądał do sali jadalnej, gdzie bezustanku krążyły kielichy pod przewództwem Chorążego nie żałującego węgrzyna swoim gościom — podał rękę Chorążynie i stanął w pierwszej parze; ale że krakowiak nie jest zupełnym, kiedy mu nie towarzyszy śpiewka, a więc sypał krakowiaki jakie tylko spamiętał, a coraz więcej rozochocony, puszczał się na śmiałe aluzye:

Szeroki, wysoki listek na jaworze,
Kto nie kocha szczerze skarż go mocny Boże!

albo:

Na zielonym dębie ptaszki się gromadzą
Że ja kocham kogoś, o tem sobie radzą.

Bardzo wymowne spojrzenie posłane pod adresem tancerki, towarzyszyło tej zwrotce. W śmiech obróciła to Chorążyna i zaraz wymówiła się tancerzowi, zbytniem zmęczeniem, który widząc, że może za daleko się posunął, zaczął przepraszać okrywając pocałunkami jej ręce.

Był to najważniejszy epizod tej ochoczej zabawy; i gdyby nas Izabelka równie interesowała w tej historyi, byłoby co opowiadać jak o nią walczył ciągle adjutant, z owym smukłym podporucznikiem, który czuł się dumnym z posiadania jej rękawiczki; jak sobie docinali przy każdem spotkaniu, i jakich używali fortelów, żeby z nią tańczyć.

Cywilni kawalerowie we frakach i krzyczących kamizelkach z upomadowanemi czubami, wyparci przez ułanów z pierwszego szeregu, to jest, że żaden z nich nie mógł dostać się do najładniejszych tancerek, musieli palić ofiary bożyszczom drugiego rzędu, co ich oburzało niezmiernie, i byliby niechybnie skarcili tę arogancyą żołnierską, gdyby nie rozsądna uwaga że są bezbronni, a tamci mają pałasze; zresztą że ułany odjadą, a oni zostaną panami placu.

Nie obeszło się jednak, bez małej awanturki. Nadedniem, już na dobitek zabawy krzyknięto: Drabanta!— i muzyka zagrała tego tańca, który daje się przeciągnąć do nieskończoności. Szalano też na zabój, a ponieważ damy nie chciały ustąpić w ochocie kawalerom, więc mało już zważając na poprawność swych fryzur i fioków, z całym zapałem rzucały się w ten wir wykrętasów i w prawo i w lewo. Aż na raz dwaj kawalerowie nagle opuszczając swe damy na środku salonu, rzucili się jak dwa brytany na leżącą na posadzce błękitną wstążkę haftowaną srebrem, zachowującą jeszcze kształt przedmiotu który otaczała, choć fontaź się już rozwiązał. Adjutant i smukły podporucznik od ułanów wpadli na tę zdobycz. i każdy chciał ją pochwycić, z czego wywiązała się walka nierozstrzygnięta, bo jeden i drugi trzymając w garści wstążkę nie dał

jej sobie wydrzeć. Oba zatem wynieśli się za drzwi — ale opizod ten nie przerwał ochoczego tańca, który szedł dalej, jak to mówią do upadłego.

Na drugiej zaś stronie, gdzie Chorąży nalewał i dolewał kielichy, a grono poważnych posesyonatów wykrzykiwało: Wiwat kochajmy się! lub chórem śpiewało: „Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!“ — wpadł przerażony Fedor i rzekł do Chorążego: panie, oficerowie rąbią się w ogrodzie!

— W moim domu?!... Na to nie pozwolę.. Księże gwardyanie! tam się rąbią, chodźmy ich rozbroić...

I całe grono wypadło z gołemi głowami — Fedor ich prowadził.

Za kląbem bzów słychać było szczęk szabel...

— Stójcie! na Boga, wołał Gwardyan.

— Na ojczyznę! krzyczał Chorąży i inni za nim, otaczając bijących się...

— Moja pani prosi żeby panowie oddali jej zgubę, a nie bili się o takie głupstwo.... dał się słyszeć cienki głosik garderobiany.

— Jaka zguba? pytali obecni....

—Ej! to kawałek wstążki — tłumaczyła garderobianna — pani mówiła, że jeżeli panom o to chodzi, to możecie się podzielić...

Dwaj pałaszowi przeciwnicy parsknęli śmiechem.

— To się podzielmy...

— Przetnij!...

I podniósłszy leżącą między nimi na śniegu wstążkę, przecięli na pół pałaszem i każdy wziął swoję połowę.

— Wiwat! zgoda! krzyczał chór i pociągnął za sobą oficerów, aby wypróżniwszy kilka kielichów stwierdzić i ustalić sojusz....

Z brzaskiem dnia coraz więcej dogorywała ochota w tańczących — w salonie robiło się przestroniej — jedne gronka znikały po drugich. Nie jedna mama nierada pokazać swojej córeczki na białym dniu, wyciągała ją prawie gwałtem i owinąwszy w futra, pakowała do sanek.... Żony gwałtem wyprowadzały mężów nie mogących się trzymać na nogach, a wszystko to musiało przebijać się przez gościnne zatrzymywanie obojga

gospodarstwa, którzy do samego ostatka pełnili najskrupulatniej uciążliwą służbę.

Wojskowi wyjechali dopiero po rannem śniadaniu; Chorąży bowiem nie chciał ich wypuścić, dopóki im nie zaprezentował swojej stajni... i dopóki nie wypito strzemiennego.

Długi czas w sąsiedztwie nie było o niczem mowy tylko o balu u Chorąztwa. Jedni wynosili gościnność gospodarstwa, inni chwalili muzykę, inni ładne tancerki, inne dziarskich i grzecznych kawalerów, sęsaci i konesery nie mogli się odchwalić wytrawnego węgrzyna co trącił myszką; podawano sobie przytem różne spostrzeżenia i anegdoty jak między innemi o tej zgubionej wstążce, i wynikłym ztąd pojedynku. Jedna tylko pani sędzina matka szpetnej i niemłodej jedynaczki, którą tylko mały Tadzio z rozkazu Chorążyny szedł brać do tańca, krzywiła się na całą tę fetę, dodając złośliwie, „Zdaje mi się że najlepiej ubawiła się sama pani i ta Warszawianka jej przyjaciółka, sprowadziły sobie ułanów i tańczyły za wszystkich.“

W dworze Chorąztwa nieprędko wrócił dawny tryb codzienny. Fedor nie mógł sobie dać rady, bo co dnia ktoś był na obiedzie lub na noc zostawał; to znowu pan wyjeżdżał, to znowu pani oddawała wizyty... dopiero w połowie wielkiego postu uspokoiło się jakoś, tem więcej że pani Izabelka odjechała całkiem z tych stron, a Chorążyna popadła niby w czarną melancholię, czy to w skutek niezdrowia, czy jakiego zmartwienia, niewiadomo, dość że czego dawniej nie bywało, od rana do nocy, czytywała książki których jej rotmistrz dostarczał, albo w bardzo żałosnym tonie brzdąkała na fortepianie uskarżając się ciągle na nerwy i palpitacyę serca, szczególniej jeżeli mąż chodził po pokoju i skrzypiał butami.

Święta wielkanocne przeszły dość nie wesoło. Kiedy dawniej sama pani lubiła krzątać się około bab i mazurków, że te wzbudzały zazdrość gospodyń, teraz zdała to na klucznicę i kucharza i nie było się czem popisać przed sąsiedztwem, które słysząc o jej chorobliwym stanie, w niewielkiej tylko liczbie zjechało się w drugie święto.

Nadszedł maj, w tym roku wyjątkowo piękny. Kilka rzęsistych i ciepłych deszczów przyspieszyło wegetacyę. Sady okryły się śniegiem kwiecia; pola i trawniki ową żywą zielonością, którą sie nie poszczyci ani lato ani jesień; a bzy tu-

reckie taki wydawały zapach, że jakby poranna mgła rozpostarła się nad tem wiejskiem gniazdem, przeznaczonem na przybytek szczęścia rodzinnego i swobody.

Czarodziejska zmiana w naturze nie była bez wpływu na zdrowie czy humor Chorążyny.... Uroczy maj wywabił ją ze czterech ścian. Pewnego dnia, po południu, ktoś na koniu przeleciał przez dziedzieniec i zatrzymał się przed gankiem. Fedor widział przez okno, jak mu się jeździec mignął i zaraz wybiegł na jego przyjęcie.

— Czy są państwo w domu? zapytał wojskowy, w którym Fedor poznał znajomego Rotmistrza Jaksę.

— Pana nie ma; wyjechał dziś rano — odrzekł Fedor.

— A pani?....

— Pani jest. . ale cierpiąca... Nie wiem może wyszła na spacer.... może nie ubrana.... nie wiem...

— To się dowiedz mój przyjacielu — i oświadcz że chcę złożyć jej moje uszanowanie...

Fedor krzyknął na parobka ze stajni żeby konia gościowi potrzymał, a sam wszedł do pokojów pani.... Nie zastał jej, służące powiedziały mu że poszła do ogrodu.

Zawachawszy się chwilę — wrócił na ganek i rzekł do Rotmistrza:

— Pani nie ma; wyszła od godziny i nie wiemy w którą stronę się udała.

— Sama wyszła?

— Sama.

— Wejdę do ogrodu — rzekł Rotmistrz — może tam spotkam panią Chorążynę. — I powiedziawszy to puścił się między kwiatem okryte klomby.

Fedor został i patrzył za nim z widocznym nieukontentowaniem, a postawszy tak chwilę, rzekł sam do siebie: „Trzeba dzieci wyprawić do ogrodu, aby pani niebyła tak sama.“ I poszedł do izdebki guwernera gdzie Tadzio i Pelunia zwykle odbywali swoje lekcye.

— Możeby pan — mówił do pedagoga — uwolnił dzieci od książki, żeby sobie pobiegały po ogrodzie, a i sam także przeszedł się do grobli, którą naprawiają, bo pan odjeżdżając polecił żeby kto oglądnął robotę, jak się nie dopatrzy, to ryby pouciekają....

Pedagog wielki amator ryb, skwapliwie pochwycił tę propozycyę i dzieci zaraz wypuścił, a sam poszedł do stawu.

Fedor radził dzieciom biedz do sadu i szukać mamy, bo właśnie pan Rotmistrz przyjechał.....

Dzieci prędko znalazły matkę siedzącą na darniowej kanapce w kłąbie rozkwieconych bzów, — obok niej siedział Rotmistrz.

— Czy skończyłyście waszą lekcyę? zapytała matka.

— Jużeśmy ją wydali — odrzekł Tadzio — Fedor mówił żeby mamy poszukać....

— Dobrze, dobrze — możecie sobie biegać.

Fedor słyszał śmiechy i pustoty dziecinne od których sad się rozlegał i znowu pomyślał sobie, trzeba pójść do pani, czy każe podawać kawę?

I nie długo szukając znalazł ją na darniowej kanapce w żywej rozmowie z gościem.

— Proszę wielmożnej pani, gdzie nakryć do kawy?

Chorążyna zrazu obruszona, że śmiał ktoś przerywać, odpowiedziała: „Wiesz dobrze, gdzie zawsze pijemy.. A kiedy Fedor odchodził, zatrzymała go dodając: A może lepiej przynieś nam tu stolik i zastaw kawę,.. Nie prawdaż rotmistrzu, tutaj tak przyjemnie na świeżem powietrzu?

— Jak w raju! odrzekł rotmistrz.

W kilkanaście minut, Fedor wyprawił garderobiannę po klucze do pani — ona rozgniewana tem natręctwem cisnęła jej takowe.

Odtąd Fedor miał dobry pretekst zanosić po jednemu wszystkie przybory do kawy, co lubo zniecierpliwiło Chorążynę, jednakowoż nie zrobiło najmniejszego wrażenia na Fedorze spełnającym swoją czynność z najpoważniejszą flegmą.

Jak muchy do miodu, tak dzieci zbiegły się do biszkopcików i obwarzaneczków, i nie było sposobu odpędzić je od stolika. Przy tych natrętnych świadkach rozmowa toczyła się po francuzku. Już się robił wieczór — powrotu Chorążego spodziewano się co minuta — ale rotmistrz składał się niepodobieństwem czekania dłużej; miał bowiem dwie dobre mile przed sobą i to przez las, właśnie bawił on na urlopie u swego krewnego, zkąd wyrwał się na chwilę, aby złożyć czołobitność swoją w domu Chorąztwa.

Po odjeździe rotmistrza, rzekła Chorążyna do Fedora: Służysz tyle lat i jeszcze nie wiesz, że państwu nie trzeba przeszkadzać kiedy zajęte rozmową. — Stary Fedor zwyczajem swoim nic nie odpowiedział, tylko znacząco się uśmiechnął.

Inną razą dzień był gorący około Św. Jana i jakoś się zanosiło na burżę — a że właśnie przypadł zbiór siana, więc Chorąży, który bardzo pamiętał o dobrem sianku dla koni, sam pilnował zwózki, i sterty którą składano na łące. Od tej czynności trudno go było oderwać. Chorążyna siedziała w swoim ulubionym gabineciku i czytała książkę. Żaluzie były poprzymykane i tylko niektóremi szczelinami wpadało słońce tworząc świetlane smugi, w których myryady pyłków odbywały swój ruch napowietrzny, jakby to były żyjące istoty w nieustannej walce ze sobą. Gra ta oderwała uwagę jej od książki — zaczęła okiem gonić te pyłki, wybierała znaczniejsze, towarzyszyła im myślą w tym wirze ożywionym jakby namiętnością— widziała jak się wznoszą i jak potem w dół lecą ciągnione własnym ciężarem.

Nie wiem czy wyrowadziła z tych fenomenów światła i atomów jaką filozoficzną obserwacyą — ale dość, że ją to bardzo zajmowało, kiedy w pierwszym pokoju dał się słyszeć chód męzki i głos jakiś zapytał:

„Czy można?“

Chorążyna niedbale spoczywająca na sofce, ściągnęła pod szyję biały haftowany szlafroczek, który usunął się był z ramion, aby dać przystęp świeżemu przeciągowi powietrza.

— Proszę — odrzekła wyprostowując się na przyjęcie...

Rotmistrz wszedł i ręka jej była przy jego ustach dłużej niż tego wymaga zwyłe przwitanie.

W kilka minut ukazał się Fedor i stanąwszy w progu zapytał: Wielmożna pani mię potrzebuje?

— Przyjdziesz jak cię zawołam — dzieci mogą pójść z nauczycielem na spacer... a teraz zostaw nas samych.

Fedor odszedł, ale nie dał się zbić z terminu i prosto pobiegł do stajni, gdzie kazał parobkowi wsiąść na ogiera, i dać panu znać na sianożęci, że gość przyjechał zapewne w pilnym interesie.

Dodatek ten wziął na swoją odpowiedzialność.

Chorąży dowiedziawszy się z opisu parobka, kto mógł być tym gościem, był przekonany, że rotmistrz przyjechał kupować od niego gniadego wierzchowca, który mu wpadł był w oko — i zostawiwszy dyspozyę — tęgim kłusem powrócił do domu.

Niespodziewane przybycie gospodarza musiało zmienić całkiem przedmiot rozmowy, co nie w smak poszło przyjemnie rozmawiającym, zapewne nie o pyłkach tańczących w słońcu; odtąd była tylko mowa o koniach, a Chorąży poprostu zagrabił Rotmistrza i dopóty nie puścił, dopóki nie obszedł z nim wszystkich stajen i nie zaprezentował stadniny, od ogierów, matek, aż do źrebiąt.

Chorążyna wpadła w najgorszy humor, miała bicie serca i spazmy; Fedor uśmiechał się i zatarł ręce. Poczciwiec ten łudził się w prostocie ducha, że temi płotkami grodzonemi z wikliny zatrzyma powódź z każdym dniem wzrastającą.

Jeszcze parę razy podsadził kontrminę, ale w końcu prochu nie stało.

Rotmistrz korzystając z urlopu i pobytu u krewniaka mieszkającego tylko o parę mil, dosyć często przyjeżdżał z wizytą, i prawie zawsze tak trafiał, że gospodarza, do którego miał szczególny interes, nie zastawał w domu. Chorąży lubił jego towarzystwo i poważał, jak cały stan wojskowy, co się tłómaczyło tem, że sam niegdyś służył wojskowo; Rotmistrza zaś odszczególniał, bo ten niewyczerpany był w opowiadaniu odbytych kampanij i obozowych anegdot, a przytem wychwalał jego stadninę, dziwił się wzorowemu gospodarstwu, a nareszcie miał krzyż legii honorowej, co było wówczas patentem na wielkiego patryotę.

Oficer, patryota, grzeczny i przyjemny towarzysz — takim tytułom stały każde drzwi i serca otworem.

Jeden tylko Fedor w całym dworze nie miał nabożeństwa do Rotmistrza, być może dlatego, że wojskowych nie lubił, dla ich butów z ostrogami i żarcików z jego upudrowanej głowy. Nigdy jednak nawet półsłówkiem nie dał poznać tej swojej antypatyi. Należał on bowiem do sług starego etatu, którzy nie pozwalali sobie wydawać zdania o gościach bywających w domu, i tak im służyli jakby samemu państwu.

Pozornie nic się nie zmieniło w trybie życia i porządku domowym; lubo bystry dostrzegacz byłby może zauważał, że oko gospodyni mniej czuwało nad wewnętrznym ładem, niż to bywało dawniej. Chorąży często się skarżył na źle upraną bieliznę; kucharz zaniedbywał się; ekspens spiżarniana, choć nie było zbytniego napływu gości, podwoiła się w rejestrach ekonomicznych; Chorąży miał dowód czarne na białem, że klucznica kradła i wynosiła mąkę, krupy, słoninę — ujęła się za nią Chorążyna, z czego powstała mała sprzeczka małżeńska. Ogród tylko jeden prosperował; ścieżki wygracowane, kwiaty coraz inne w każdej porze, a i bardzo ładna, oszklona altanka, pełna drzew i kwiatów w doniczkach, przybyła w ustronnym zakątku przytykającym do lasu, gdzie pani lubiła nieraz przepędzać długie godziny, a nie lubiła, żeby ktokolwiek zakłócał jej samotność.

Pewnego dnia — rano, przed samą kawą, którą wtenczas na dłuższych dniach pijano o siódmej, a na krótszych o ósmej — Tadzio i Pelunia wbiegli do salonu, żeby rodzicom powiedzieć dobrydzień, i razem zjeść z nimi śniadanie, jak to było w zwyczaju. Fedor nakrywał stolik i zastawiał przyrząd kawiany; Tadzio wydłubywał rodzenki z pulchnej babki, lub zbierał cukier z sucharków, za co go Fedor odpędzał od stolika; Pelunia pomagała mu ustawiać filiżanki, za co Fedor pozwolił jej wziąść jeden sucharek, i dziewcze wzięło i podzieliło się z braciszkiem, który z dwóch połówek wybrał dla siebie większą. Wtem drzwi się otworzyły z trzaskiem, i wszedł przez nie Chorąży snać w wielkiej alteracyi, bo strasznie sapał, pobladł i rysy miał zmienione i przeciągnięte; w ręku zaś trzymał goły kordelas ostrzem zwrócony ku piersi.

— Wolę raz zginąć, niż tak żyć! — wołał chrapliwym głosem, zwracając się ku drzwiom, z których po małej chwili wyszła Chorążyna, bledsza niż zwykle.

— Nie moja wina, że żyć nie umiesz — odrzekła z wyrazem srogiej ironii i tonem imponującym obrażonej Junony — a mojeż jakie życie?...

— Robisz, co ci się podoba; czegoż więcej chcesz? chyba mojej śmierci....

— Cha, cha, cha— parsknęła śmiechem— tragiczny jesteś.

— A ty bez serca....

Dyalog ten przybierał ton coraz groźniejszy; oboje byli w tak gwałtownem rozdrażnieniu, że Fedor spojrzawszy na nich, aż się przeląkł, i widząc na co się zanosi, porwał Tadzia i Pelunię za ręce i wyprowadził z pokoju.

— Bawcie się tu na ganku — mówił Fedor — nie trzeba rodzicom przeszkadzać....

Dzieci drżały z przestrachu i miały łzy w oczach.... Pelunia mówiła: Tato chce się zabić....

— Tato gniewa się na kucharza, bo się upił, i nóż mu odebrał.... Biegajcie! bawcie się ot tam dalej.

Fedor nie chciał, żeby dzieci słyszały dolatujące słowa: „Mój posag“ — „Moja praca“ — „Mnieś wszystko winien“ — „Przewrotna kobieto“ — „Niedołęgo“...

Głos męża grzmiał, aż szyby się trzęsły. Głos żony jak syczenie gadu. Burza ta mięszała się z tupaniem o podłogę, wywracaniem stołków i biciem pięścią o stół; a jak burza kończy się ulewą, tak naraz rozległ się płacz spazmatyczny i ryk mężczyzny, który płacze, a płakać nie umie, bo łez nie ma na zawołanie.

Kiedy się uciszyło, Fedor zajrzał do pokoju, a widząc, że nikogo nie ma, przywołał dzieci i dał im śniadanie; a gdy zjadły, rzekł: „Teraz idźcie do nauki.“

— Ja chcę do mamy — mówił Tadzio.

— I ja także — mówiła Pelunia.

— Potem, potem, teraz nietrzeba.

I odprawiwszy dzieci, poszedł na palcach do pokoju pani; lecz zastał drzwi zamknięte. Szukał potem pana, ale go nie było; widać tylnemi drzwiami wyniósł się do stodoły lub do stajni, a to wprawiło go w nielada kłopot, bo nie wiedział, czy ma sprzątnąć zastawę, czy czekać z kawą....

Dzień cały przeszedł smutno; do obiadu siadły tylko dzieci i nauczyciel. Ojca ani matki nie było.

Gdyby w tych młodych sercach mogło gadać przeczucie, byłoby każde gorzko zapłakało nad sobą; ale, na szczęście, dziecinny wiek nie patrzy w daleką przyszłość, a najbliższa, zawsze prawie uśmiecha się w różowym kolorze.

Około wieczora wyszła Chorążyna ze swego pokoju do salonu; miała głowę obwiązaną białą chustką, a oczy spłakane, które ledwo otworzyć się mogły. Chorąży siedział w swo-

jem krześle, wzdychał i gryzł bursztyn od lulki, której nawet nie zapalił. Wtem dzieci wbiegły, rzuciły się w objęcia matki, przyszły do ojca, który je posadził na kolanach, głaskał po główkach, a one mu w oczy patrzały, tak samo jak matce...

Nie wiem, co w duchu odpowiedział ojciec, co matka na to nieme zapytanie, które oraz było wyrzutem.... Dość, że ojciec wstał, przeszedł się wielkiemi krokami po pokoju, zakręcił około kanapy, gdzie siedziała żona, i zatrzymując się, przez chwilę w nią się wpatrywał; nareszcie zrobił gest jakby ją chciał wziąść za rękę, i rzekł stłumionym głosem: „Przez miłość dla tych dzieci, niechże już będzie zgoda.“

Chorążyna zanosząc się od płaczu, lecz z odwróconą głową, podała mu rękę, którą on poniósł do ust, i nachyliwszy się, mówił pocichu urywane wyrazy....

Dzieci zaczęły szczebiotać i opowiadaniem swojem wciągać rodziców do rozmowy. Tadzio deklamował Niemcewicza: Dumę o Żółkiewskim, którą się napamięć nauczył; Pelunia mówiła o swojej wiewiórce, którą chart rano zadusił, kiedy wybiegła do ogrodu na orzechy. Oboje naradzali się nad pogrzebem, jaki mają jej wyprawić. Tadzio wylazł na krzesło i zaczął prawić mowę pogrzebową w sposób komiczny, naśladujący gesta i styl księdza wikarego, nieodznaczającego się kaznodziejską wymową — co sprowadziło uśmiech zadowolenia na usta rodziców — i odtąd coraz więcej rozpraszały się chmury złego humoru, smutne wspomnienia burzliwego poranku pierzchały przed wesołą pustotą młodego wieku... nawet apetyt powrócił, bo oboje państwo kazali spieszyć z kolacyą.

Fedor wcześniej niż zwykle nakrył do stołu, i już poszedł z półmiskami do kuchni, kiedy na dziedzińcu zaturkotało....

— Ktoś zajechał? — rzekł Chorąży i wyszedł do sieni; dzieci wybiegły za nim i zaraz odraportowały matce: Pan Rotmistrz przyjechał....

(*Dokończenie nastąpi*).

Z PAPIERÓW
FRANCISZKA WĘŻYKA.

Miło wśród gwaru i zajęć świata dzisiejszego szukać ciszy i ochłody — choćby w starych papierach, a zwłaszcza pozostałych po człowieku, co takie poczciwe zostawił po sobie imię i w nieszczęśliwych dziejach narodu i w szczęśliwszej literaturze. Jednemu z członków rodziny ś. p. kasztelana Franciszka Wężyka zawdzięczamy możność przejrzenia pozostałych po nim rękopisów. Są tam rzeczy ciekawe, są ładne, są lepsze od prac drukowanych, a w każdym razie świadczące o niezwykłej i w teraźniejszem pokoleniu rzadkiej czci dla swego zawodu i sumienności autorskiéj. Naśmiewano się u nas ze słynnej i obowiązującej naszych starych pisarzy zasady Horacyuszowskiej, a jednak dobrzeby było, gdyby jej przestrzegało rozpłodzone plemię autorów dzisiejszych, co piszą bez przygotowania i bez zapału, bez pracy i bez natchnienia utwory w najlepszym razie jeden dzień żyć mogące. Ś. p. Wężyk pozostał przez całe życie wiernym owej zasadzie — z tą różnicą, że zamiast dziewięciu, przechowywał niektóre utwory swoje przez lat kilkadziesiąt. Jest między niemi cały przekład Eneidy Wergilego, wierniejszy i z wielu względów lepszy od znanych przekładów; jest tłumaczenie Oidypa Sofoklesowego na szkolnej dokonane ławie, a przejrzane i poprawione w r. 1856. Z przedmowy,

świadczącej o wielkiem zamiłowaniu do literatury klasycznej, przytoczę ustęp:

„Przekład niniejszy jest i stary i świeży. Jeszcze z ław szkolnych poczęty i dokonany (w r. 1804), dziś oczyszczony z dawnego pyłu niechaj przeświadczy o ciągłych dążnościach do jednego celu. Tak nad czem ślęczał młodzieniec, to dzisiaj służy za pociechę starcowi. Przekład ten wiąże alfę i omegę długoletniego żywota, a pod tym przeszło półwiekowym pomostem leży głęboka przepaść. Tkwią w niej szeroko rozsiane dwóch pokoleń mogiły i leżą pogrzebane ogromnego rozmiaru wypadki: usiłowania udaremnione i gorzko zawiedzione otuchy.“

„Gdy według wszelkiego podobieństwa praca niniejsza będzie ostatnią pracą mojego żywota — niechaj tu znajdzie miejsce

WIERSZ

NA ZAMKNIĘCIE PISARSKIEGO ZAWODU.

Drugie półwieku w otchłań czasu spływa:
A do grobowej przyciśnion krawędzi,
Jeszcze się starzec na pieśń nową zrywa;
Już to dźwięk piersi ostatni, łabędzi —
Bo skoro wybrzmi piosnka donucona,
I on z nią skona.

Czemuż z weselem dzień ten zapowiadam?
I szukam w niebach źródła takiej wieści —
Bo tam Jan Paweł, Kajetan i Adam
Brzmią Panu dźwiękiem nieśmiertelnej cześci
I tworzą przed nim spółkę wiekuistą
Z naszym psalmistą.

Pójdę ich słuchać w skrusze i pokorze —
Dość już nędz świata w życiu mem doznałem;
Nim przebrnąć zdołam najburzliwsze morze,
Nim ducha mego Pan rozbrata z ciałem,

Niech mi się stanie ostatnią pociechą
Ich pieśni echo.

Ty, której w niebach hołdują anieli,
Co brzmisz hymnami u Pańskich ołtarzy:
Sponiewierana przez błędnych czcicieli
I potępiona na pastwę kramarzy,
Roztocz Poezyo! na szczere obrońce
Twych wdzięków słońce!

Nie wziąłem z niebios wyższego natchnienia:
Lecz przy miłości potężnym zasobie
Tobie od dziecka wszystkie moje tchnienia
I dni i nocy poświęcałem tobie!
Dziś zbiegłą z ziemi dojrzawszy Cię w niebie,
Wzdycham do Ciebie.

O! ileż razy, gdy niezbędne troski
Przyczepiały się do mego żywota,
Dźwięk twoich tonów i twój uśmiech boski
Świątyni pociech otwierał mi wrota,
Gdzie wnijść nie śmiałbym czcią wyższą przejęty
Bez twej zachęty.

A gdy z jędz która w nastawione sidła
Chciała mię mocą przynęcić zdradziecką,
Tyś mię pod swoje przytuliła skrzydła
Jak ptaszka piskle, jak Anioł stróż dziecko;
Dziś gdy czas dni me w noc pogrąża ciemną,
Tyś znowu ze mną!

Cóż na to rzeknie twych wdzięków potwarca,
Czyż mnie lub tobie poczyta za zbrodnię,
Żeś pocieszała młodzieńca i starca;
Że mi brzmisz, niosąc grobową pochodnię:
„Tędy od wiernych droga wydeptana
Wiedzie do Pana.“

Pójdę nią — pójdę i prosto i śmiele:
W duchu tym dni mych dokonam osnowę:
Wielem zniósł — przemógł — przecierpiałem wiele —
A w ciężkim trudzie skołataną głowę,
Ufając szczerze w miłosierdzie boże,
Spokojnie złożę.

10 grudnia 1856.

Z wiersza tego wieje prostota, pokora i skromność, a jeśli zważymy, że pisał go starzec w 71 roku życia, to pozazdrościć mu przyjdzie i tej ciepłej wiary i tego szczerego uwielbienia dla poezyi, a przynajmniej obudzą się w nas młodszych wyrzuty sumienia, że sami maluczcy i jak maluczcy, może zanadto lekceważyliśmy tych starych „klasyków“ — a co gorsza, że patrzyliśmy na nich z góry, nie czytając ich dzieł. Bo czas nareszcie powiedzieć prawdę: lada student z drwinami wspominał o nich, a częstokroć oprócz tytułu (i to bez bibliograficznej dokładności), nic nie znał, nie wiedział, nie widział. Ci starzy trochę szlachetniejsi byli i sprawiedliwsi! Wprawdzie recenzentom warszawskim nie podobały się gminne wyrazy tak zwanych romantyków, wprawdzie Śniadecki nie mógł się z tem pogodzić, żeby uczeń jego wszystkim, a zwłaszcza młodzieży szkolnej i kobietom tak głowy zawracał; ale ostatecznie większa część tych nudziarzy-klasyków nietylko nie gardziła pracami młodszych, ale czasem wstępowała w ich ślady (Morawski, Niemcewicz, Korzeniowski), a co większa, witała ich niekiedy tak serdecznie i z takiem uwielbieniem, jakiego bogdaj czy tak bardzo doczekali się od „romantycznych kolegów“. Przynajmniej takiej zawiści, zazdrości i tak złośliwych napaści nie było, jak między tymi młodymi szermierzami, walczącymi niby pod jednym sztandarem. Iluż to obelg, oszczerstw i nienawiści przedmiotem był sam czysty i szlachetny Adam? Był czas, a bardzo smutny, że rówieśnicy nazywali go zdrajcą, panslawistą itd. — a ze starszych i zasłużeńszych ludzi prze-

cież nikt tego nie powiedział. Przeciwnie wielu z nich wielbiło i kochało Mickiewicza. Może niejeden wzruszy ramionami nad połączeniem w powyższym wierszu Wężyka, imion: Jana Pawła (Woronicza), Kajetana (Koźmiana), Adama (Mickiewicza) i psalmisty (Kochanowskiego)— a jednak już to samo zestawienie świadczy, w jak wysokiej cenie miał autor Adama, pomieszczając go obok poetów największych w rozumieniu owej epoki. Mamy wszakże i inne dowody, że ci zimni klasycy mieli słowo gorące dla naczelnika nowej szkoły — już bardzo rychło, prawie w początkach jego zawodu. W zbiorze pomniejszych utworów okolicznościowych Wężyka, między któremi jest wiele pisanych z humorem nieznanym dzisiejszym grymaśnikom, znajdujemy wiersz do Mickiewicza po wydaniu Wallenroda pisany, w którym nazywa go wieszczów ojczystych chlubą i zaszczytem:

Do A. Mickiewicza,

po wydaniu Wallenroda w Petersburgu i w czasie pobytu jego we Włoszech (1828—1829).

Gdy po skościałych twardej ziemi zwłokach
   Słońce na złotym wyjedzie rydwanie,
Buja skowronek w obłokach
   I głosi światu wiosny zmartwychwstanie.
Prysły z rzek bystrych lodowe kajdany,
   Wre pracą kmiotków niwa dotąd głucha —
Zabrzmiał słowik — i ziemia słucha —
   Umilkł gwar ptastwa na dźwięk niezrównany.
Jakiż dziw polskie i litewskie sioła
   Ku brzegom Newy porywa?
Słuchajcie bacznie! odgłos ludów woła:
   Władca ptaków, orzeł śpiewa!

Jakże górnemi poloty
 Do samych niebios dąży drogą nową . . .
Kto nie zapłakał na głos Wajdeloty,
 Temu za życia nućmy pieśń grobową.

Wieszczów ojczystych chlubo i zaszczycie!
 Czyś wskrzeszał z mogił zapomniane *Dziady*,
Czyliś *Grażynie* nowe stwarzał życie,
 Czyliś malował *Świtezi* żwierciadła;
Czy na gór *krymskich* okazałym szczycie
 Ryłeś twych natchnień nieśmiertelne ślady,
  Wnet ciebie dusza narodu odgadła.
Któż po olbrzymim zarysie,
 Nawet powodząc oczyma tępemi,
Siły poświęceń nie poczuł w *Farysie*,

. . . .

Jest bezherbowne serc powinowactwo,
 Z podobnej na świat wyrzuconych procy,
Jest święte uczuć jednozgodnych bractwo
 Wyższe od ludzkiej przemocy.

Ci, co chrzest jego wraz z życiem przyjęli,
 Żyć będą wiecznie w uczuciach złączeni —
Oni się znają, choć się nie widzieli,
 I nie ma dla nich rozdzielczych przestrzeni.

Ciebie dziś więzi ojczyzna Wirgila,
 Tu ci, co w tobie głos boży poczuli,
Czekają tęskni, kiedyż przyjdzie chwila,
 Że cię dłoń bratnia do serca przytuli.

Jeszcze nam wszystkie nie spełzły pociechy,
 Resztę ich chcemy od zgonu ochronić;
Wstąp pod sąsiednie dla Litwina strzechy:
 „Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.“

Serdeczny ten wiersz i inne np. o Zygm. Krasińskim i o Polu, nasuwają nam myśl, żeśmy mniejsi, bo mniej sprawiedliwi, i że walka klasyków z romantykami, o której nawet w gimnazyach głośno, większą się stała w historyi niż była w rzeczywistości. W każdym razie sądzimy, że późniejsze pokolenia i trzeźwiej ją ocenią i sprawiedliwiej.

Hugon Zathey.

Przegląd Literacki.

Rys dziejów literatury polskiej podług notat Aleksandra Zdanowicza opracował L. S. Tom I. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1874, in 8vo, stron 760.

Historya literatury polskiej licznych ma uprawiaczy; co dwa, trzy lata pojawia się nowe dzieło w tej materyi. Możnaby sądzić, że dzieje literatury naszej są już wszechwzględnie opracowane. Tak jednak nie jest. Jeden pisze dzieje literatury, bo przeczytał dwóch lub trzech autorów XVI wieku lub z epoki Stanisławowskiej i wyrobił sobie o nich sąd niezgadzający się z dotychczasowymi historykami pimiennictwa, drugiemu epoka ta lub owa nie zdaje się należycie w ogólnych swych rysach schwycona, trzeci uważa plan swoich poprzedników w traktowaniu pojedynczych gałęzi literatury za nieodpowiedni i zamiast w pojedynczej monografii lub artykule krytycznym swoje zapatrywania i przekonania złożyć, pisze zaraz całe dzieje, powtarzając ślepo w bardzo wielkiej części swojej pracy, co inni przed nim tak samo a może lepiej powiedzieli. Historya też literatury jednego nie bardzo się różni cd drugiego autora, a wszystkie tę mają wspólną cechę, że niemiłosiernie okradają Wiszniewskiego już to kierując się jego sądami, już to wrzekomo polemizując z nim, bo że większa część tych historyków dzieł, o których wspomina i sądy wydaje nie widziała, a tem mniej czytała, to dla każdego namacalnem, kto z jaką taką uwagą pracę ich przejrzał. Wyjątek stanowi Maciejowski, który rzecz samodzielnie badał i Mochnacki w swojej historyi literatury XIX wieku. Wszyscy inni dawno już przyrządzoną potrawę podlewają nowym sosem o ile można bardziej szczypią-

17*

cym podniebienie od tego, którego użył poprzednik i na tem cała różnica.

Rys dziejów ułożony przez L. S. z notat ś. p. Zdanowicza, powstał tym samym sposobem. Wyróżnić tu wypada jeszcze dwóch autorów, jednego, który zbierał notatki i ten niejednokrotnie jest samodzielnym, widać, że znaczną część autorów XVI wieku przewertował, sąd o nich wydał i wyjątki z nich często bardzo szczęśliwe porobił, i drugiego, który je w całość zespolił, podlewając to wszystko jeneralnym sosem z dodatkiem zaprawy, której w innych sosach tego rodzaju nie ma, to jest umiarkowanego w tonie wygadywania na kościół i duchowieństwo, i to ma być wszechstronnem ocenieniem płodów literackich!

Zaraz na wstępie kościół winien, że nie mamy żadnego piśmiennego zabytku polskiej mowy i oświaty przynajmniej z tego czasu, z którego datuje się sąd Libuszy lub Rękopis królodworski u Czechów, a wyprawa Igora na Połowców u Rusinów. Łaciną zabił kościół, narodowy język. Są wprawdzie ludzie, powiada p. L. S., którzy utrzymują, że Polska na obrządku łacińskim nic nie straciła i argumenta ich przytacza, nie powiada jednak jakie jest jego zdanie w tej mierze, a opuszcza dwa najgłówniejsze, pierwszy: że za pośrednictwem łaciny weszła Polska wciślejszy związek z rodziną europejskich ludów i wszystkie ich skarby duchowe stały się i dla niej przystępne, drugi: że obrządek słowiański, zaprowadziłby nas tam gdzie zaprowadził Ruś, czyli inaczej, że bez obrządku łacińskiego nie bylibyśmy dzisiaj Polakami. Dalej utyka autor na św. Stanisławie. Gallus w swojej kronice nazywa biskupa zdrajcą, późniejsi miejsce to wyskrobali, dotyczący ustęp zastąpili żywotem św. Stanisława ułożonym do poparcia kanonizacyi. Szkoda że autor nie cytuje na której to karcie Gallusa ten ustęp egzystuje i jeżeli go późniejsi wyskrobano zkąd wie że taki passus się mięścił, gdyby zaś w jakim egzemplarzu na prawdę się znajdował, jest jeszcze pytanie, czy go husyci pózniej nie wtrącili, a gdyby nawet w oryginalnym rękopisie Galla się znajdował, podejrzywaćby go można, iż tym sposobem chciał zrehabilitować strya króla Bolesława, na którego dworze znalazł przyjęcie i kęs dostatniego chleba. Oryginalnego rękopisu jednak nie ma, są tylko kopie z XV wieku, o wtrącenia więc nie było trudno, a przypuszczać nie można, żeby w wieku Bolesława Śmiałego gdzie chrześciaństwo nie było jeszcze silnie ugruntowane, duchowieństwo posiadało takiż wpływ na społeczność, iż ta wygnała króla karzącego biskupa za najobrzydliwszą zbrodnię, jaka po wszystkie czasy największą odrazę burzyła. Ostroróg wojewoda poznański współczesny Kazimierza Jagiellończyka za ostre słowa przeciwko duchowieństwu znajduje mir szczególny. Ostroróg był statystą znakomitym, w sprawie je-

dnak kościoła, gdyby rad jego posłuchano, mielibyśmy już w piętnastym wieku majowe bismarkowskie ustawy.

Grzegorza z Sanoka nazywa geniuszem, na którego się wieki składały. Nikt wysokiego rozumu Grzegorzowi zaprzeczać nie myśli, ale geniusz trochę większy musi wywierać wpływ nie tylko na społeczeństwo swoje rodzime ale i na cały świat ucywilizowany. Przesada, czy to w pochwale, czy w naganie, rozśmiesza, nie buduje.

Na Jezuitach nie zostawia Autor suchej nitki, oni ociemnili, zezwierzęcili (sic.) Polskę. Oni swemi panegirykami szlacheckość kosztem innych klas i dobra narodu apoteozowali. Zagarnięcie przez nich wychowania było grobem Polski. Znowu taka przesada w naganie jaka była w pochwale Grzegorza z Sanoka. Polska była najwolniejszym krajem w Europie, nauczać mógł w niej kto chciał, czemuż ani naród, ani przeciwnicy Jezuitów nie myśleli o zaprowadzeniu innej nauki, nie mówimy o rządzie, bo tego w Polsce prawie nie było. Jezuici nie byli tak wszechmocni, aby swój system narodowi narzucili, przecież ani w Krakowie szkoły ani we Lwowie akademii założyć nie mogli mimo usilnego starania i wielkiego poparcia. Co zrobiła akademia? czy nauki u niej wyżej stały, niż u Jezuitów? Prawda, Jezuici dawali przedewszystkiem religijne wychowanie swoim uczniom, to było ich obowiązkiem i powołaniem, mimo tego nauki u nich stały na tym samym stopniu w szkołach średnich, a takie tylko mieli i w innych krajach Europy, a wyżej niż w zakładach pod bezpośrednim wpływem akademii krakowskiej zostających. Wszakżesz ten system, którego się trzymali Jezuici trwał w Austryi aż do roku 1848. Oprócz łaciny czegóż nas innego uczono w gimnazyach? prawda, trochę historyi i jeografii, lecz za czasów jezuickich nigdzie tych dwóch przedmiotów nie nauczano, a gdy je w skład nauk przyjęto, przyjęli je także i Jezuici. Uczyli tylko po cztery godzin na dzień, powiada L. S. W Austryi tylko cztery godzin dziennie trwała nauka po gimnazyach, do tego oprócz niedzieli były rekreacye we wtorek pół dnia i we czwartek cały dzień. O geometryi, fizyce, naukach naturalnych nie słyszano zupełnie Nie stawiamy bynajmniej Austryi na czele państw cywilizowanych, do najzacofańszych jednak nie należała, a od Józefa II czasów od kościoła wyemancypowała się zupełnie, a jednak tak długo w niej trwał ten system. Istotnie te wszystkie namiętne przeciwko Jezuitom wycieczki pochodzą chyba z gniewu: że dali się wyprzedzić Darwinowi i że dzisiaj nie naśladują Büchnerów i Moleschottów.

Książka ta nie jest jednak pozbawiona wszelkiej wartości, wspomnieliśmy już o bardzo szczęśliwych wyjątkach z charakterystycznych pisarzy, oprócz tego zasługuje jeszcze na uwagę trafne ocenienie dzieł wszystkich poprzednich historyj litera-

tury począwszy od Bentkowskiego aż do Nehringa i Kuliczkowskiego. Pouczającym jest także gramatyczno-lingwistyczny rozbiór Psałterza Floriańskiego tak nazwanego od miasta Florian, gdzie wynaleziony został, a który pierwotnie miał być przetłumaczony na polskie dla użytku królowej Jadwigi.

Nauka o ziemi i ciałach niebieskich tudzież o atmosferze ziemskiej popularnie wyłożona. *Praca uwieńczona nagrodą przez Towarzystwo oświaty wielkopolskie Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego 1875 in 8vo stron 99 i dwie tablice objaśniające system słoneczny.*

Zwięzłej a jaśniej napisanej książki o ciałach niebieskich, atmosferze, zjawiskach ognistych i optycznych nie znamy w naszej literaturze. Autor szczęśliwie umiał utrafić w myśl zadania popularnego dziełka, nie tylko to co wykłada, ale i sposób, w jaki wykłada, odpowiada najzupełniej przeznaczeniu. Nawet umysł najmniej wykształcony potrafi z tej pracy korzystać, a traktuje ona przedmioty zarówno uczonego jak prostaczka interesujące, lud wiejski może więcej niż innych a to z powodu, że z naturą więcej żyje niż inni. Lud też chciwie łaknie wyjaśnienia dotyczącego ciał niebieskich i różnych zjawisk przyrody, na które codziennie patrzy, a sprawy sobie zdać nie umie. Książeczka, o której mówimy, ciekawość jego w najważniejszych punktach zaspokoi. A ma ona jeszcze jednę zaletę wielką: uczy go poznawać wielkość, mądrość i dobroć Boga z dzieł jego, które na każdym kroku człowieka otaczają. Język czysty i naturalny dopełniają zalet tego dziełka. Zwracamy na nie uwagę miłośników oświaty ludowej. Powinno ono być w każdej bibliotece wiejskiej i nie szkodziłoby wcielić je nawet w całości do czytanek przeznaczonych dla szkół początkowych. Przy tej sposobności niechaj nam wolno będzie wyrazić wdzięczność p. Żupańskiemu, który nigdy przed nakładem się nie cofa, jeżeli chodzi o pożytek lub honor narodu; pod tym względem pochlebiamy sobie, że uczucie nasze podziela większość ziomków. Wydawnictwo w Polsce nie zawsze jest zyskiem, częściej ofiarą i poświęceniem, z tego też względu ogólnem, przynajmniej ogólnem uznaniem uczcić je należy.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez bióro statystyczne pod redakcyą Dr. Tadeusza Pilalata. Ziemska własność w Galicyi, jej kapitały pieniężne i stan bierny, ułożył Dr. W. Ochenkowski. Lwów, w drukarni Winiarza r. 1874 in 8vo str. 74.

Po raz pierwszy dowiaduje się publiczność o stanie majątków gminnych w Galicyi i sposobie zużytkowania ich na ko-

rzyść gminy. Kwestya nadzwyczajnie ważna raz wobec projektowanej gminy zbiorowej, — drugi raz wobec pytania czy majątek ten dostatecznie jest ubezpieczony i daje gminie najwyższy możliwy dochód, na jaki stosunki ekonomiczne i stan finansowy kraju zezwalają. Pod ostatnim względem stan rzeczy w większej części gmin nie odpowiada zadaniu. Tam gdzie pastwiska i lasy stanowią majątek gminy, gmina jako taka żadnej a przynajmniej bardzo małą odnosi korzyść, korzystają tylko pojedynczy członkowie gminy i to w nierównej mierze. Mało gdzie pastwiska i lasy są w ten sposób użytkowane, aby właściciel od każdej sztuki bydła czy nierogacizny płacił za prawo paszenia pewną kwotę, któraby szła do kasy gminnej na potrzeby gminne, ale użytkuje z pastwiska bez żadnej opłaty. Tak samo dzieje się z lasami. Jakież z tego następstwa? kto ma więcej bydła lub więcej potrzebuje drzewa, więcej korzysta z majątku gminnego, a gdy przyjdzie opędzić potrzeby gminne, na wszystkich bez wyjątku według jednej skali stosownie do wysokości opłacanych rządowych podatków nakładają dodatki na potrzeby gminne, kto bydła nie ma, z majątku gminnego nie korzysta, a ponosi równe ciężary jak ci, co z niego korzystają. Takiemu gospodarstwu potrzeba raz koniec położyć. Wiele też kapitałów gminnych wypożyczanych jest bez hipoteki, a często bez żadnego pisemnego dowodu; że w taki sposób nie jedna wierzytelność gminie przepadnie, to rozumie się samo z siebie. Nie jedną trudność w przeprowadzeniu gminy zbiorowej będzie stanowiła nierówność majątku każdej dotychczasowej gminy pojedyńczej. Wprawdzie nic łatwiejszego jak postawić zasadę potrzeby gminy, rozłoży się na każdą gromadę t. j. dzisiejszą polityczną gminę w stosunku do jej ludności i zamożności, to ciężar na nią przypadły zaspokoi naprzód z majątku gromadzkiego a niedobór wypełni rozkładając na każdego dodatek; gromady zaś nie posiadające majątku, zaspokoją potrzeby z dodatków do podatku, nikomu się więc krzywda nie stanie. Prawda, ale jeżeli każda gromada będzie administrowała swoim majątkiem, a gmina będzie nad nim miała taki dozór jak n. p. nad majątkiem gminy rady powiatowe, starcia będą ciągłe, a administrowanie majątkiem gromadzkim będzie tak nieudolne, jak dzisiaj gminnym, a może jeszcze gorsze, bo dzisiaj uchwały w tej mierze następują na radzie gminnej, a nie sądzimy, aby obok rady gminnej zatrzymano jeszcze rady gromadzkie, albo żeby majątkiem gromady administrowała gmina, w którejby gromada interesowana była majoryzowaną przez inne gromady w sprawie własnego majątku, boby ztąd były protesta i zatargi ustawiczne. Spodziewamy się, iż dotychczasowe data co do własności gminy nie są ostatecznym rezultatem, z jakim bióro statystyczne myśli publiczność oznajomić, że nam wykaże własność każdej gminy

pojedynczej, bo takim tylko sposobem można się będzie przekonać, które gminy posiadają dosyć zasobów, aby zatrzymać swoją niezawisłość i indywidualność, a które potrzeba zlać z innymi gminami, aby zadaniu swemu sprostać mogły. Bez takich szczegółowych dat zestawienia Dr. Ochenkowicza jakkolwiek nie są bez zasługi, wielkiej jednak korzyści nie przyniosą, ani słusznej ciekawości czytelnika nie zaspokoją. Wprawdzie dzieło takie wymaga wielkiej pracy i nakładu, ale taki inwentarz majątku wszystkich gmin w Galicyi może także liczyć na rozkup drogą księgarską.

L. Powidaj.

Dra Karola Benoniego. — Rys jeografii i historyi powszechnej dla wyższych klas szkól średnich i do nauki prywatnej. Tom I. Świat starożytny. Zeszyt I, i II. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda. 1874.

Gdy w Galicyi w skutek rozporządzeń rządu zaprowadzono przed kilku łaty język polski jako wykładowy w szkołach średnich, okazała się potrzeba książek, któreby były w stanie zastąpić używane podówczas książki szkolne niemieckie, jakoteż podawać naukę młodzieży naszej w formie zbliżonej więcej do pojęć i wyobrażeń naszych. Trudno było naturalnie o dzieła oryginalne w języku polskim, a ponieważ potrzeba była nagłą i zwłoki niecierpiała, postanowiono pomagać sobie tłumaczeniami używanych podówczas książek niemieckich. Grono nauczycieli lwowskich zajęło się skrzętnie tą pracą i wkrótce książki polskie były w ręku młodzieży. Jak przekłady te ogółem wypadły, powiedzieć trudno, co do historyi przyznać musimy, że tłumaczenie I, tomu książki Pütra dokonane przez pp. Niedzielskiego i Gołębiowskiego zasługuje ze wszech miar na uznanie. Język tam o ile możności poprawny, dodatki poczynione tu i owdzie wcale stosowne, a świadczące o znajomości rzeczy i wymagań dydaktycznych, słowem książka cała pożyteczna można powiedzieć wcale dobra. Nie tą drogą poszły tłumaczenia dalszych tomów dzieła Pütza. Czy to brak znajomości przedmiotu, czy też niedokładność zwykła u naszych tłumaczy, dość, że drugi tom był o wiele gorszym od pierwszego, w trzecim zaś złe doszło do takich rozmiarów, że Rada szkolna widziała się zmuszoną wzbronić używania tej książki. Okazała się przeto potrzeba albo poprawniejszego tłumaczenia, albo też oryginalnej pracy. Woleliśmy naturalnie drugą, ale przyznać trzeba, że obawialiśmy się tej nowej produkcyi nowych historyków wobec dzieła Pütra używającego nietylko u nas zasłużonej zupełnie powagi, a że obawy nasze były wcale słuszne dowiodła książka p. B. — P. B. któ-

ry poraz pierwszy staje przed sądem krytyki jako autor pracy historycznej czuł snać sam całą trudność zamierzonego dzieła i postanowił przeto pójść drogą wskazaną przez innych. Pod względem układu książki swojej trzymał się zupełnie Pütra, — w opowiadaniu czerpał z znanych powszechnie a znakomitych badań historyków niemieckich. Powstała w ten sposób książka, której dwa zeszyty dopiero znajdują się w ręku publiczności. Jak trudno z ułamków jakiegokolwiek dzieła sądzić o całej pracy, tak znowu jest rzeczą krytyki wskazać już teraz błędy w jakie popadł autor i podać mu w ten sposób możność uniknięcia ich w następnych zeszytach.— Pod względem układu nie mamy p. B. nic do zarzucenia, poszedł on bowiem w tej mierze zupełnie za wzorem Pütza i lepiej uczynić nie mógł. Inaczej ma się rzecz z opowiadaniem historycznem. Często bardzo dają się u nas słyszeć skargi, że „Historya Pütza“ jest napisana sucho i nieprzystępnie. Zdania tego żadną miarą podzielać nie możemy. Trudno żądać, aby książki szkolne kogokolwiekbądź, a tem mniej młodzież mogły zabawić, trudno, aby nauka przedmiotu chociażby tak zajmującego jak jest historya nie stała się suchą dla tego, kto jej ożywić sobie nie potrafi. Do ożywienia takiego służy w szkole wykład nauczyciela, książka ma przypomnieć uczniowi w domu to, co usłyszał w szkole, a w takim razie niepowinna koniecznie a nawet nie może być w sposób zajmujący napisaną. Zestawienie faktów musi być suche a na tło odpowiedne każdej epoce historyi, na ubarwienie opowiadania w książce szkolnej miejsca nie ma. Zresztą czas by już było odrzucić mylną a niezmiernie szkodliwą zasadę, że nauka jest zabawką, że przeto i historyi nauczyć się można czytając w wolnych chwilach zajmujące opowiadania.

Każdą naukę nabywa człowiek trudem i pracą więc i nauka historyi wyjątku w tej mierze stanowić nie może. — Z tego względu uważaliśmy też i uważamy zawsze podręcznik Pütza za zupełnie dla szkół odpowiedni — innego zdania był p. B. — Postanowił on książkę swoją rozszerzyć, opowiadanie ożywić i w zakres jego wciągnąć to co Pütz pominął lub w kilku zaledwie zamknął słowach. Pomysł ten w zasadzie może złym by nie był, gdyby go autor inaczej był wykonał, „gdyby zdołał ustrzedz się licznych błędów, w skutek których „Rys“ jego zupełnie traci na wartości.

Już w historyi Wschodu, gdzie autor przeważnie trzyma się badań Dunckera (Geschichte der Alterthümer) napotykamy liczne przykłady tego rodzaju. Wiadomo powszechnie, że historya starożytna wschodu o tyle tylko ma wartość dla młodzieży w szkołach średnich o ile przedstawia rozwój cywilizacyi odrębnej zupełnie a zdumiewającej swoją oryginalnością. Opowiedzieć jasno a krótko jak cywilizacya ta powstawała i upadała, dać wyobrażenie o formie i istocie rządów oryentalnych — oto wy-

magania, którym każda książka szkolna naszem zdaniem zadość uczynić powinna uwzględniając o tyle tylko niepewną z resztą historyą tych państw i narodów o ile tego związek chronologiczny wypadków i stosunek wschodu do ludów Europę zamieszkujących wymaga. Nie tak sądził p. B. i nie zadawalniając się wcale krótkiem przedstawieniem historyi assyryjskiej i babilońskiej w książce Pütza, wzbogacił swój „Rys“ romantycznem wprawdzie (w pojęciu Wschodu) ale dla młodzieży nie zupełnie stosownem opowiadaniem o ożenieniu się Ninusa z Semiramidą tudzież o tem jak to małżeństwo przyszło do skutku. Opowiadanie to streścił autor z przytoczonego już dzieła Dunkera (I. Bur. Dritte aufl. S. 439 i nast.) pozwalając sobie przytem zmian o których niewie nic ani Duncker, ani też Diodor (Ks. II. r. 5) służący w tem miejscu Dunckerowi za źródło. Zmiany te wydawaćby się mogły małoznaczące wprawdzie, ale za chwilę spotykamy inne więcej już rażące, następnie zaś podaje autor zdarzenie niezgodne z prawdą historyczną. I tak na str. 62 twierdzi p. B. że Sardanapal (Sargina) zdobył Samaryą podczas, gdy dzieła tego dokonał Salmanassar a o nim właśnie nie wspomina autor wcale. Na str. 19 czytamy: „Ale Niniwa upadła... a król babiloński Nebukadnezar, wracając z wyprawy assyryjskiej przydybał Nechona pod Karkemisz nad Eufratem.“ i t. d. Otóż nie ma w tem zdaniu prawie ani słowa prawdy, gdyż najpierw nie był w owym czasie królem w Babilonii Nebukadnezar, ale ojciec jego Nabopolassar (Duncker I, 822 — M. Niebuhr Assur und Babel p. 370) powtóre nie wracał Nebukadnezar z pod Niniwy miasto to bowiem już w r. 606 zostało zdobytem podczas gdy bitwę pod Karkemisz stoczono w r. 604, a zresztą pobieżny nawet rzut oka na mapę może przekonać każdego, że bohaterowi babilońskiemu wracającemu z pod Niniwy, Circesium wcale w drodze nieleżało, że dzieliła go od tej miejscowości rozległa równina Mezopotamii. Na str. 64 twierdzi p. B. że Nebukadnezar stolicę swą rozszerzył znacznie na *prawym* brzegu Eufratu, podczas gdy Babilon stary leżał na zachodniem to jest prawem, wybrzeżu a wiszące ogrody i pałac Nebukadnezara na lewem, wschodniem. Usterki te jednak są jeszcze mało-ważnem w porównaniu z błędami jakich się autor dopuszcza w historyi greckiej: Na str. 116 opisując Atlykę dodaje, że na wschodzie „mieści liczne i dobre porty“, podczas gdy ta część półwyspu najmniej jest rozwiniętą. Na str. 157 opowiada, że stronnicy Kylona zamknięci na Akropolis w Atenach siedzieli na stopniach *ołtarzy Eumenid*, podczas gdy ołtarze te znajdowały się na wzgórzu Aresa (Areiopagos), a nigdy na zamku ateńskim. Na str. 174 twierdzi p. B. że w czasie wyprawy Xerxesa wojsko perskie wsiadło na okręty pod Acanthus a wylądowało u stóp Olimpu. Milczą o tem zdarzeniu źródła i opracowania, sprzeciwia się wręcz Duncker (IV, 737) nie sądzimy, ażeby Xer-

xes nawet mimo całej swej excentryczności takich kosztownych zabawek bez celu i powodu mógł sobie pozwalać. Na str. 101 opowiada p. B. że: Osobiści i polityczni nieprzyjaciele Alcybiadesa... oskarżyli go nietylko o *uszkodzenie* słupów Hermesa, ale oraz i o lekceważące naśladowanie eleuzyńskich mysteryów itd. Musimy zarzucić mu znowu, że albo pobieżnie czytał opracowania, albo też zanadto spuszczał się na swoją pamięć.

Ani źrodła bowiem odnoszące się do tego okresu (Tukydides, Audocides w mowie „De mysteris,“ ani Cornelius Nepos, ani też późniejsi Diodor i Plutarch), ani opracowania niewspominają o tem, że Alcybiades został oskarżony o uszkodzenie Hermów. Podejrzywano go może o to, zarzucano, że znieważał mysterya eleuzyńskie. ale w licznych procesach jakie wytaczano w r. 411 i następnie rozmaitym osobom podejrzanym o zbrodnię dokonaną na posągach Hermesa niema mowy o Alcybiadesie jako o poszlakowanym, a nawet Audocides który zostawał długo pod śledztwem i wyznaniem tylko (kto wie czy prawdziwem) odzyskał wolność nazwiska Alcybiadesa niewymienił. Lękając się znurzyć czytelników poprzestajemy na wyliczeniu tych kilku zasadniczych usterek, (opuszczamy pomniejsze jak np. na str. 165 gdzie autor opuszcza niektóre ważniejsze osady greckie, jak Istros, Tomi i Odessos, na str. 177 gdzie zamiast Artabanus ma być Artabazos, na str. 179 gdzie w uwadze podaje mylnie rok bitwy nad Eurymedonem i t. d.) gdyż dają one, o ile nam się zdaje, dostateczne wyobrażenie, że autor nieobznajmił się należycie z źrodłami i opracowaniami. Niemniej ważne są usterki innego rodzaju pochodzące także z niedokładności. W § 37 rozbiera p. B. idąc zupełnie za przykładem Pütza stanowisko dzisiejsze starożytnej Grecyi. Rozbiór ten zamykający się w kilkunastu wierszach jest tak pobieżny, że nikt a tem mniej uczeń niebędzie w stanie pojąć o ile i dlaczego położenie jeograficzne i kształt kraju wpłynęły tak a nie inaczej na rozwój cywilizacyi greckiej. Nieuwzględnił autor mianowicie nierównego rozwoju wschodniego i zachodniego wybrzeża półwyspu, nieuwzględnił i nieuwydatnił dostatecznie połączenia jakie przyroda niejako utworzyła między lądem azyatyckim a półwyspem greckim zapełniając cały Archipelag mnóstwem większych i mniejszych wysepek i w skutek tego właśnie dziwnym niezrozumiałym po części wydaje się wniosek autora: Grecy byli więc szczególnie powołani do połączenia Wschodu z Zachodem. W końcu zaś nie wiemy co autor chciał właściwie powiedzieć za pomocą słowa *doświadczenia*, twierdząc, że Grecy na morzu stykali się i udzielali sobie nawzajem swych doświadczeń. Słowo to określa zwykle pojęcia z świata zmysłowego wzięte, a przecież wiadomo powszechnie że ludy greckie nie rozwijały się jednostronnie, że panowała tam właśnie niezwykła harmonia między duchem a ciałem, że przeto owocem życia helleńskiego niemogły być jedynie

doświadczenia. Podczas gdy w historyi assyryjskiej pozwolił sobie p. B. dodać podanie o Semiramidzie, wzbogacił również historyą grecką opisem, nader jak na taką książkę obszernym, mytów o Heraklesie i wojnie trojańskiej. Jest to dodatek naszem zdaniem zupełnie niepotrzebny. Wszak uczniowie gimnazyalni mają sposobność poznać to podanie przy nauce filologii klasycznej, wszak czytają w oryginale Homera, a wkońcu uczą się bajecznej historyi Grecyi w klasach niższych, pocóż zajmować niepotrzebnie parę kartek opowiadaniem tak oklepanem a obcem właściwej historyi? Daleko lepiej byłby autor uczynił uzupełniając natomiast Pütza z tego okresu, a nie skrócając go jak tego mamy przykład w § 39. Na str. 154 mówi p. B. o tyranach w Peloponezie, a wyliczywszy znaczniejszych opuszcza zupełnie samowładzców w Sikyonie, chociaż na wzmiankę zasługiwał Kleistenes i jego projekt utworzenia federacyi jońskiej. Jeżeli autor jak to dotychczas wykazaliśmy mijał się nieraz z prawdą historyczną, robił niepotrzebne dodatki lub też opuszczał to na co wypadało szczególniejszą zwrócić uwagę, to w innych ustępach znowu nieokreślił dokładnie pojęć ważnych niezmiernie dla wewnętrznej historyi Grecyi. Na str. 161 mówi o „stopach podatkowych,“ nie dodając wcale, że Grecy podatków w naszem tego słowa pojęciu nieznali i że tylko w wypadkach nadzwyczajnych uciekano się do tego środka. Podobnie niedokładnie przedstawia autor zakres czynności Areopagu, ograniczając takowy do spraw dotyczących religii, moralności i wykonania ustaw, podczas gdy jest rzeczą znaną (a i Duncker mówi o tem), że instytucya ta miała także polityczne znaczenie, że członkowie Areopagu założyć mogli veto przeciw każdej nowej ustawie, jeśliby takowa zagrażać się zdawała bezpieczeństwu ogólnemu lub obowiązującym prawom.

Na tem kończymy spis błędów i usterków jakich się p. B. w dwóch pierwszych zeszytach swego „Rysu“ dopuścił, a nadmienić trzeba, że niewyliczyliśmy wszystkich. I ztego cośmy wykazali poznać łatwo, dlaczego próbę napisania oryginalnej historyi dla szkół naszych uważamy przynajmniej na teraz za zupełnie chybioną. „Rys p. B. niemoże i niepowinien zastąpić tłómaczenia Niedzielskiego i Gołębiowskiego, a nakładcy wypadało się postarać raczej o nowe wydanie II tomu książki Pütza (pierwszy nakład wyczerpano) niż wzbogacać literaturę naszą i tak ubogą w dobre dzieła historyczne, książką nieodpowiadającą wymaganiom dzisiejszej krytyki.

A. S.

Kronika bibliograficzna.

TEOLOGIA I PISMA RELIGIJNE.

Businger X. L. O. Żywot Najśw. Panny Maryi i św. Józefa, aż do narodzenia Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa. Przekład z niemieckiego. Poznań. Nakł. Daszkiewicz Tytus. 1874, str. 131, 8vo, cena 7 ½ sgr.

Bougaud Ks. Edmund. Ojcowstwo i macierzyństwo czyli wzór dla rodziców i nauka dla dzieci, na tle życia św. Moniki, matki św. Augustyna osnute. Z francuzkiego. Warszawa. Druk. Czerwiński i spółka, 1874, str. 670, Tablica ryt. 1, 8vo. cena 18 złpol.

Faber F. W. Krew przenajdroższa czyli cena zbawienia naszego. Warszawa. Druk. Inst. Głuchoniemych, 1874, str. 395, 8vo. cena 4 złp. 10 gr.

Fabisz X. Paweł Władysław. Wiadomość o szkolności katolickiej i o gimnazium katol. w Ostrowie. Ostrów. Nakład. Priebatsch J. 1874. Str. 73. 8vo. cena 14 sgr.

Gaume X. Znak Krzyża św. w XIX wieku z przedmową ojca Prokopa. Warszawa, 1874, cena 45 kop.

Gorzelański X. M. Katechizm większy. Warszawa. Druk. Berger Józef, 1874, str. 211, 8vo, cena 4 złp.

Jełowicki Ks. Aleksander. Listy duchowne 1843—1874, z przydaniem maksym św. Ignacego i mowy pogrzebowej, O. Wentury na cześć Daniela Oconnella. Berlin. Druk. Martinet E. 1874. str. 500, 8vo. cena 1 tal. 20 sgr.

Krechowiecki X. A. Dr. Nauki o męce Pańskiej. Lwów. Nakł. Autora, 1875, str. 247, 8vo.

Liguory, Alfons święty. O miłości Boga i ufności w przyczynie Maryi. Tłom. O. Prokopa Kap. Warszawa. Druk. Czerwiński i Spół. 1874. str. 139, 16a, cena 1 złp.

Liguory, Alfons święty. O modlitwie jako środku otrzymania wszelkich łask od Boga. Tłom. O. Prokopa Kap. Warszawa. Druk. Czerwiński i Spół. 1873, 16a. str. 199, Cena 1 złp. 10 gr.

Liguory, Alfons święty. Sposób ciągłego obcowania z Bogiem. Tłom. O. Prokopa Kap. Warszawa. Druk. Instyt. Głuchych i ciemnych. 1874, str. 187, 16a, cena 1 złp.

Ołtarzyk nowy. Nabożeństwo z książek przez Kościół św. potwierdzonych tudzież pieśni nabożne najbardziej używane. Poznań. Nakład. M. Leitgeber i Spół. 1874, str. 441, 16a. Cena 25 sgr.

Rohling Ks. Dr. Ludwika Lateau stygmatyzowana z Bois D'Haine, podług autentycznych dokumentów lekarskich i teologicznych. Tłom. X. J. Sz. Gniezno. Nakł. Langie J. B. 1874. str. 83, 8vo, Cena 8 sgr.

HISTORYA I UMIEJĘTNOŚCI POMOCNICZE.

Bluntschli J. C. Dr. Założenie unii amerykańskiej w. r. 1787, Warszawa. Nakł. Spół. wydawnictwa Księgarzy. 1874, Str. 22. 8vo. Cena 1 złp.

Kolberg Oskar, Lud, Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka, i tańce. Kraków. Druk. Gumplowicz Dr. 1875. str. 368. 8vo Tablic ryt. 1. Cena 3 złr. 50 ct.

Kołaczkowski Julian. Słownik rytowników polskich tudzież obcych w Polsce zamieszkałych lub czasowo w niej przebywających, od najdawniejszych do najnowszych czasów jako przyczynek do historyi sztuk pięknych w Polsce. Lwów. Druk. Z drukarni Tow. im. Szewczeńki. 1874. Str. 75. 8vo. Cena 1 złr. 80 cnt.

Krzyżanowski Dr. Stanisław. Rocznik dla Archeologów, Numizmatyków, i Bibliografów polskich. Rok 1871. 1 plan, 1 portret i 1 tablica autografowana. Kraków. Nakł. Autor. 1874. Str. 487. 8vo. Cena 4 złr.

Likowski Ks. Edw, Historya Unii kościoła Ruskiego z kościołem Rzymskim. Poznań. Nakł. Leitgeber J. 1875. str. 287, 8vo. Cena 1 Tal. 20 sgr.

Louis Józef Wieś Paczołtowice (Monografia). Kraków. Nakł. Autora, 1874. str. 174, 8vo. Tabl. ryt. 1 Widok. Cena 1 zr.

Pomniki dziejowe wieków średnich do objaśnienia rzeczy polskich służące T. I zawiera: Kodeksu dyplomatycznego Katedry krak. św. Wacława. Część pierwsza od r. 1166 do 1366.

Kraków. Nakł. Akademii Umiejęt. 1874. str. 375. 4to. Tabl. ryt. 11. Cena 8 złr.

Smolka Dr. Stanisław. Początki feudalizmu studyum historyczne. Lwów Nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1874. str. 65. 8vo. Cena 84 cnt.

Walewski Antoni. Dzieje Bezkrólewia po skonie Jana III T. I. Kraków. Nakł. Akademia Umiejęt. 1874. Str. 375 8vo. Cena 3 złr.

Wisłocki Władysław Dr. Kodeks Pilznieński artykułów magdeburskich. Kraków. Druk. Uniwer. Jagiell. 1874. Str. 81. 8vo. Tabl. ryt. 1. Cena 1 złr. 25 ct.

Wiadomości Archeologiczne. Spostrzeżenia w dziedzinie starożytności krajowych. Czasy przedhistoryczne. II z licznemi rycinami w tekscie. Warszawa. Druk. Orgelbranda S. synowie, 1874. Str. 93, 8vo. Tabl. ryt. 21, Widok 1. Cena 13 złp. 10 gr.

PRAWO, PISMA I BROSZURY POLITYCZNE.

Beaulieu Paweł Leroy. Praca kobiet w XIX wieku. Przekład z francuz. przez A. S. Warszawa. Nakł. Korzeniowski J. 1875. Str. 318, 8vo. Cena 6 złp.

Białecki Dr, Antoni. Prawidłowość stosunków międzynarodowych. Rzecz z powodu dzieła pod tytułem: O jurysdykcyi konsulów na Wschodzie, przez Teodora Martensa, Prof. Uniwer. Peters. Petersburg. 1873. Warszawa. Druk. Noskowski J. 1874. Str. 39, 12mo. Cena 1 złp. 20 gr.

Biliński Dr. Leon. O pracy kobiet ze stanowiska ekonomicznego. Odczyt miany na dniu 22 marca 1874 w Wielkiej Sali ratuszowej na rzecz Tow. brat. pomocy Akademików Lwowskich. Lwów. Nakład. Autora. 1874. Str. 37. 8vo. Cena 50 c.

Blumenstock Prof. Dr. Uwagi nad niektóremi kwestyami Sądowo-psychiatrycznemi. Kraków. Druk. Drukar. Uniwer. 1874. Str. 33. 8vo. Cena 40 cnt.

Buczyński. Stan moralny społeczeństwa naszego na podstawie wykazów statystycznych karnych. Warszawa. Nakł. Redak. Bibl. Warszaw. 1874. Str. 83, 8vo. Cena 50 kop.

Chwalibóg Hipolit. Wykład Kodeksu postępowania cywilnego. Warszawa, Druk. Orgelbranda S. 1874. Str. T. 399. T. II 328. 8vo. Cena 13 złp. 10 gr.

Dębicki Z. L. Andrzej Zamoyski. Kraków. W drukarni Paszkowskiego Leona. 1874. Str. 45, 8vo. Cena 30 ct.

Ekonomika przemysłowa. Szereg odczytów w stowarzyszeniu politycznem w Paryżu układ A. N. Warszawa. Druk. Pajewski Aleksander. 1874 Str. 93. 4to. Cena 4 złp.

Gumplowicz Dr. Ludwik. Stanisława Augusta projekt reformy żydowstwa polskiego. Kraków. Nakł. Dygasiński Adolf. 1874. Str. 64, 8vo. Cena 70 ct.

Haidinger Andrzej. Adwokat domowy czyli każdemu przystępnie objaśnienia w jaki sposób każdy przy aktach prawnych wszelkiego rodzaju sam się zastępować i potrzebne pisma jako to: podania, prośby, rekursa i t. d. bez pomocy adwokata z zupełnym skutkiem prawnym sporządzać może. Cieszyn. Nakł. Malik Karol. 1874. Str. 72, 8vo, Cena zeszytu 60 ct.

Heinze Rudolf. Angielska jury w porównaniu z francuzko-niemieckim sądem przysięgłych. Tłom. Benzef Juliusz. Warszawa. Nakł. Redak Bibl. Uniw. 1874. Str. 72, 8vo Cena 4 złp.

Jeleński Jan. Pomoc własna klas niezamożnych. Warszawa. Nakł. Ciemniewski Brunon. 1873. Str. 23, 8vo. Cena 1 zp.

Kilka Słów odpowiedzi na rosyjskie warunki pojednania z Polską, przez Obywatela z Wielkopolski. Lausanne. Druk. Sureman J. 1874. Str 31. 8vo. Cena 12½ sgr.

Limanowski Bolesław. Losy narodowości polskiej na Szląsku. Lwów. Druk. Dobrzański i Groman. 1874. Str. 47, 8vo. Cena 30 cnt.

Mittelstedt Jan. Odpowiedź recenzentom warszawskim mojego dziełka 70 miliardów rubli dla Rosyi Jana Mittelstedt. Warszawa. Nakł. Autora. 1874. Str. 14, 8vo. Cena 1 złp.

Niemirycz Juliusz. Filozofia historyi prawa czyli historya zawiązku, postępu i rozwoju idei prawa od najdawniejszych czasów, aż do nas wraz z krytycznym poglądem na byt i prawodawstwa główniejszych Państw Azyi i Europy. Warszawa. Nakł. Autora. 1874. Str. 231, 8vo. Cena 33 złp. 10 gr.

Quetelet Adolf. Układ spółeczny i jego prawa. Z francuzkiego przełożyli z upoważnieniem Autora Słuchacze prawa. Warszawa. Nakł. Lewicki i Spół. 1874. Str. 226, 8vo. Cena 10 złp.

Rosenblatt Józef. Zasady nauki o przestępstwie. Warszawa. Nakł. Red Bibl. Uniw. Praw. 1874. Str. 142, 8vo. Cena 8 złp.

Rumunia jej przeszłość i teraźniejszość, opowiedziana przez Autora „Żydzi i Kachały.“ Lwów. Nakł. Twardowski F. 1874. Str. 220, 8vo. Cena 1 złr. 80 cen.

Słownik niemiecko-polski wyrazów prawniczych i administracyjnych Kraków. Nakł. Akad. Umie. 1874. Str. 350. 8vo. Cena 2 złr

Szymański Dr. Roman. Statystyka ludności polskiej, w Zaborze Pruskim. Poznań. Nakł. J. Leitgeber. 1874. Str. 26, 8vo. Cena 7½ sgr.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe Bióro statystyczne pod redakcyą, Prof. Dr. Tadeusza Pilatego. Lwów. Druk. Winiarza E. 1874. Str. 39, 4to. Cena 1 złr.

FILOZOFIA I KRYTYKA.

Bain Aleksander. Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku. Tłom. z angiels. 1874. Str. 206. 8vo. Cena 6 złp. 20 gr.

B. J. Zarys Psychologii empirycznej. Lwów. Druk. Tow. Imienia Szewczenki 1874. Str. 98, 8vo. Cena 50 ct.

Idea. Wydanie drugie poprawnione i pomnożone Lwów. Nakł. Majewski J. J. 1875. Str. 383. 8vo. Cena 3 złr.

Libelt Karol. Estetyka czyli umnictwo piękne. Poznań. Nakł. Żupański J. K. 1875. Str. 457, 8vo. Cena 1 Tal. 10 sgr.

Skomorowski J. Rozbior teoryi Darwina czyli geneza gatunków ze stanowiska racyonalnej krytyki z 38 drzeworytami w tekscie. Warszawa. Nakł. Wydawnictwa Czasop. Przyrod. i Przemysł. 1874, Str. 211, 8vo. Cena 10 złp.

PEDAGOGIA I SZKOLNICTWO.

Bączalski Edmund. Przewodnik metodyczny przy nauce rachunków w Szkole ludowej. Lwów. Nakł. Karol Wild. 1875, str. 83 8vo, cena 60 cent.

Bączalski Edmund. Nauka rachunków w Szkole ludowej osnuta sposobem obrazowym i przywodzącym na tle ćwiczeń i zadań praktycznych, zestawionych metodycznie i zastosowana do metrycznego układu miar Cz. I. z 11 drzeworytami w tekście. Lwów, nakł. Karol Wild, 1875, str, 184 8vo, cena 1 złr. 15 centów.

Bączalski Edmund. Arytmetyka dla użytku szkół niższych realnych, wydziałowych, handlowych, przemysłowych, rolniczych i innych podobnych zakładów naukowych, podług Dr. T. Meinika arytmetyki dla szkół naszych z uwzględnieniem miar metrycznych ułożona i w myśl nowego planu lekcyjnego dla szkół realnych z r. 1872. Lwów, nakł. Seyfardt i Czajkowski 1875, str. 278, 8o. cena 1 złr. 30 c.

Boczyliński Ignacy. Jak uczyć historyi. Wskazówki dla nauczających. Warszawa, nakł. Red. Opiek. domowego 1874, str. 47, 8o, cena 1 złp

Chęciński Jan. Malowanki. Dziesięć kolorowanych tablic opisane rymem dla drobnej dziatwy. Warszawa, nakł. Gebetnera i Wolff, 1875, str. 36, 4to, cena 6 złp. 20 gr.

Chociszewski Józef. Piśmiennictwo polskie w życiorysach naszych znakomitych Pisarzy, dla ludu polskiego i młodzieży, z wieloma rycinami sławnych Polaków. Poznań, nakł. autora 1874, str. 244, 16a, cena 12 sgr.

Chociszewski Józef. Skarb ukryty czyli najlepsze dziedzictwo — podług pism X. Schmidta. Poznań, nakł. autora 1874, str. 109, 32, cena 3 sgr.

Chociszewski Józef. Żywot Ojca Św. Piusa IX, dla dzieci polskich opowiedziane. Poznań, nakł. autora 1874, str. 64, 32, cena 3 srg.

Chociszewski Józef. Żywoty Świętych patronów narodu polskiego — dla ludu i młodzieży. Poznań, nakł. autora 1874, str. 208, 16. Z wieloma drzeworytami w tekście, cena 10 sgr.

Edgeworth Maria. Powieści dla młodszej dziatwy, 9 rycin w tekście. Tłóm. Chęciński Jan. Warszawa, nakł. Gebetner i Wolff, 1874, 8o, cena 6 złp. 20 gr.

Gregorowicz J. K. Pierwsza książeczka na gwiazdkę dla dzieci wiejskich i miejskich. Warszawa, nakł. Red. Przyjaciela dzieci 1874, tabl. ryt. 1, str. 134, 16, cena 2 złp. 15 gr.

Heller K. B. Zoologia dla szkół wydziałowych i wyższych ludowych. Tłóm. Wajgel Leopold — 127 drzeworytów w tekście. Wiedeń, nakł. Hoelder Alfred 1875, str. 100, 8o, cena 60 c.

Jeske August. Geografia. Kurs I. dla dzieci od lat 9—12. Warszawa nakł. Aret Stanisława w Lublinie — 1874, str. 132, 8o, 12 figur w tekście, cena 3 złp.

Jeske August. Równianka czyli zbiór powiastek do opowiadania dzieciom od lat 3 do 7. Z obrazkami kolorowanemi w tekście. Warszawa, nakł. Aret w Lublinie — 1874, str. 105 8o, cena 5 złp.

Jeske August. Świat i dzieci czyli nauka o rzeczach, wyłożona na podstawie nauki poglądowej. Cz. I. Najbliższy światek dziecka z 15 tablicami kolorowanemi dla dzieci od lat 5 do 7. Warszawa, nakł. Aret w Lublinie 1873, str. 88, 4to, cena 8 zlp.

Jeske August. Świat i dzieci czyli nauka o rzeczach. Cz. II. Nauka o zwierzętach i roślinach dla dzieci od lat 7—10. Warszawa nakł. Stanisł. Aret w Lublinie, 1874. Tabl. ryt. kolorow. XV, str. 114, 4to, cena 10 złp.

Kauer Antoni Dr. Nauka Fizyki i Chemii, dla szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych metodycznie ułożona, 142 drzeworytów w tekscie. Tłóm. Kawczyński Max. Wiedeń, nakł. Hölder Alfred 1874, str. 162, 8o, cena 1 złr.

Kostecki Antoni. Rocznik szkolny obejmujący najświeższe urządzenia i ustawy szkolne, ogólne przepisy, warunki przyjęcia opłaty szkolne, wykazy stypendyów i inne wiadomości statystyczne o szkołach. Kraków, nakł. Wildt Juliusz 1875, str. 303, 16a, cena 1 złr. 20 c.

Ostrowski Władysław. Upominek Adasia. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt 1875, str. 67, 8o, cena 60 c.

Popławska Marya z Łozińskich. Obrazki z życia dla młodocianego wieku — 4 drzeworytami. Warszawa, druk. Goldman J. 1874, str. 173, 8o, cena 5 złp.

Stoeckl Albert Dr. Logika — drugiego poprawnego wydania oryginału niemieckiego. Tłóm. Miłkowski Wład. Kraków, nakł. Wydawnictwo dzieł katol. 1874, str. 207, 8o, cena 2 złr.

Tatomir Lucyan. Jeografia Galicyi. Podręcznik dla uczniów seminaryów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Lwów, nakł. Karol Wild 1874, str. 128, 8-o, cena 1 złr. 50 c.

MEDYCYNA UMIEJĘTNOŚCI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE.

Berger Antoni Stanisław Dr. Choroby dziecięce, odra czyli kur, szkarlatyna, ospa, dławiec (Angina). Rys popularny dla użytku rodziców, opiekunów, przełożonych zakładów i t. p. Lwów, nakł. Piller K. 1875, str. 93, 8-o, cena 1 złr.

Cohn Dr. Ferd. Światło i życie. Tłóm. Znałowicz B. Warszawa, nakł. Spół. wydawnicza księgarzy, 1874, str. 27, 8-o, cena 1 złr.

Domański Dr. Stanisław. O rozpoznawaniu i leczeniu porażeń, tudzież o znaczeniu przypadów im towarzyszących. Kraków, druk. Uniwer. Jagiell. 1874, str. 35, 16a, cena 40 c.

Dziarski L. E. O niektórych ogólnych własnościach rosnących latorośli i stosunki ich do chyżości wzrostu w kierunku podłużnym. Poznań, nakł. autora, 1874, str. 37, 8-o, cena 6 sgr.

E. P. Fizyka zastosowana do potrzeb ogółu i szkół niższych, podług najlepszych źródeł opracowana. Poznań, nakł. ks. Fr. Bażyński, 1874, str. 190, 8-o, cena 15 sgr.

Flammarion Kamil. Bóg w przyrodzie. Przekład z francuzkiego, Warszawa, nakł. Orgelbrandt Maurycy 1875, str. 463, 8-o, cena 12 złp.

Gurtl Prof. Dr. E. Podręcznik do ćwiczeń operacyjnych na zwłokach, tudzież do ich zastosowania na ciele żywem, przekład z niemieckiego. Tłóm. Zielewicz Ignacy Dr. medycyny i chirurgii, Kraków, nakł. autora 1874, str. 152, 8-o, cena 1 złr. 60 c.

Henoch E. Prof. Dr. Patologia i Terapia szczegółowa. Choroby przyrządów jamy brzusznej. Przekład dzieła: Pr. Dr. E. Henocha „Klinik der Unterleibes Krankheiten". Tłóm. Stockmann Dr. Alex. Warszawa nakł. Red. Gaz. lekarskiej 1874, str. 748, 8-o, cena 40 złp.

Jaccoud S. Prof. O zakłóceniach mowy (Aphasia alalia) w chorobach nerwowych. Przekład z francuzkiego, Warszawa, nakł. Rybiński J. Szrejber 1874, str. 29, 8-o, cena 2 złp.

Jaccoud S. Rzucawka i Mocznica (Eclampsia et Uraemia), Tłóm. Szrejber, Warszawa, druk, Gaz. lekarskiej 1874, str. 77, 8-o, cena 30 kop.

Jerzykowski Dr. S. Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgnowaniu ciała ludzkiego zebrane podług najnowszych źródeł — z 20 dzeworytami. Warszawa, nakł. S. Czarnowski i M. Podlewski 1874, str. 254, 8-o, cena 10 złp.

Kaczkowski Antoni. Poradnik dla matek o pielęgnowaniu dzieci, oraz o leczeniu ich chorób od urodzenia do siódmego roku. Lwów, nakł. autora 1874, str. 186, 8-o, cena 1 złr. 50 centów.

Kalendarz lekarski na rok 1875, Warszawa, nakł. Red. Gazety lekarskiej, str. 204, 12a, cena 6 złp. 20 gr.

Nauka o ziemi i ciałach niebieskich, tudzież o atmosferze ziemskiej — wyłożona popularnie. Poznań, nakł. Żupański J. K. 1875, str. 99, 8-o, cena 15 sgr.

Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Tablic ryt. 9. Kraków, nakł, Akademii Umiejętności 1874, str. 227, 4-o. cena 7 złr. 50 c.

Perty Maksymilian. O parazytyzmie w naturze organicznej. Rzecz popularnie wyłożona w Bernie 1869 r. Warszawa, nakł. Spółka wydawnicza Księgarzy 1875, str. 40, 8-o, cena 1 złp.

Sągajło Adolf. Wykład zupełny Algebry. Paryż, nakł. właściciela Bibl. Kurnickiej 1874, str. 400, 8-o, cena 1 talar 15 sgr.

Skrzeczko Dr. Choroby umysłowe w stosunku do nauki o poczytalności. Przekład z niemieckiego, poprawione przez Dr. St. Chomentowskiego. Tłóm. Cohn Adolf Jakób. Warszawa, nakł. Red. Bibl. Um. Prawnych 1874, str. 62, 8-o, cena 3 złp.

AGRONOMIA i UMIEJĘTNOŚCI TECHNICZNO-PRZEMYSŁOWE.

Aleksandrowicz Benedykt. O trzebieży i urządzeniu jej w gospodarstwie. Warszawa, druk. Sikorski J. 1874, str. 136 8-o, cena 75 kop.

A. S. O stowarzyszeniach akcyjnych i o współkach osobowych. Poznań, nakł. autora 1874, str. 22, 4to, cena $2^1/_3$ sgr.

Gawryłow Dymitr. Broszurka o zaprowadzeniu, utrzymywaniu i użyteczności owiec rasy Ramanowskiej, ze szczegółowym opisaniem przymiotów tej rasy. Tłóm. Nassalski J. Warszawa, nakł. tłómacza 1874, str. 85, 8-o, cena 1 rubel.

Głos Jakóba Natansona na konferencyi rolniczej o nawozach sztucznych odbytej w dniu 13 (25) września 1874 roku. Warszawa, druk. Sikorki J. 1874, str. 11, 8-o, cena 10 kop.

Heiden E. Prof. Dr. Nauka o nawozach i statystyka rolnicza. Przekład z niemieckiego, Brühl Robert, Warszawa, nakł. Spółki wydawniczej 1874, str. 353, 8-o, cena 9 złp.

Huba Mieczysław. Rezultaty uprawy płodów rolniczych na nawozach mineralnych i obornych otrzymane na polu doświadczalnem z r. 1873 i 1874. Warszawa, druk. Sikorki J. 1874, str. 56, 8-o, cena 40 kop.

Karpiński A. O sztucznym rozmnażaniu ryb. Warszawa, nakł. Red. Gazety rolniczej 1864, str. 85, 8-o, cena 30 kop.

Piątkowski Romuald. 300 Pytań i odpowiedzi z gorzelnictwa, obejmujące słodowanie zboża, suszenie, robienie zacierów z kartofel, kukurudzy i ze zboża; chłodzenie ich, robienie drożdży sztucznych, ustawienie zacierów i fermentacya oraz postępowanie z ciepłomierzem, cukromierzem, kwasomierzem etc. Lwów, nakł. Druk. Narod. 1875, str. 124, 8-o, cena 1 złr. 25 centów.

Rocznik Ziemiański na rok 1875, podług najlepszych źródeł zebrany i wydany staraniem Redakcyi Tygodnika Rolniczego i Gazet. roln. Warszawa 1874, str. Zcszyt I, 125, Zeszyt II. 68, 8-o, cena 1 złr. 40 c.

Rosenberg-Lipiński Albert. Praktyczne rolnictwo zastosowane do racyonalnej uprawy roli, a oparte na studyach organicznej i nieorganicznej chemii, dla użytku podręcznego ziemian. Przekład z niem. Warszawa, nakł. Korzeniowski J. 1874 str. Tomu I, 597, Tomu II 283, 8-o, cena 26 złp. 20 gr.

Sadowski Jan. Spółki pożyczkowe w zastosowaniu do gospodarstwa wiejskiego. Poznań nakładem autora 1874, str. 54 8-o, cena 10 sgr.

Strzelecki Henryk. Gospodarstwo lasowe. Cz. I. Użytkowanie lasów. Wykład na kursie leśniczym. Lwów, druk. Dobrzański i Gromann 1874, str. 199, 8-o, cena 1 złr. 70 c.

Strzelecki Henryk. Las w stanie natury. Lwów, druk. Dobrzański i Gromann 1874, str. 177, 8-o, cena 1 złr. 80 c.

Thirifag. Zupełny kurs nauki kroju sukien i okryć damskich oraz wszelkiej bielizny męzkiej, damskiej i dziecinnej. Wykładany w Zakładzie rękodzielniczym dla kobiet w Warszawie. Tłóm. E. H. Nakł. Unger i Banarski 1874, str. 64, 8-o, cena 3 złp.

Wężyk Edmund. Słowo o suchej destylacyi, jej znaczeniu dla przemysłu i racyonalnym rozwoju, z dołączeniem sprawozdania z obecnej wystawy warszawskiej o produktach suchej destylacyi. Warszawa nakł. Noskowski J. 1874, str. 61, 8-o, cena 40 kop.

Wystawa płodów rolnictwa i przemysłu odbyta we wrześniu 1874 w Warszawie. Warszawa nakł. Red. Wieku 1874, str. 63, 4to, cena 3 złp. 10 gr.

DZIAŁ LITERACKI.

Boccacio Giovanni. Dekameran. Sto zajmujących powiastek. Z oryginału włoskiego. Tłóm. Władysław Ardon. Lwów nakł. Tłómacza 1874, str. 80, 16a, cena 50 c.

Boleslawita B. Nad Spreą. Obrazki współczesne, Poznań, nakł. Tygod. Wielkopolski 1874, str. 166, 8-o, cena 1 talar.

Bołesławita B. Zagadki. Obrazy współczesne, Poznań, nakł. Z. Merzbacha 1873, str. T. I 236, Tomu II 225, 12a, cena 3 talary.

Chomętowski Wł. Pielgrzymki do ziemi świętej i sąsiednich krain: 1) Pielgrzymka do ziemi świętej Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła: 2) Podróże po Europie, Azyi i Afryce Tomasza Stanisława Wolskiego. Warszawa, druk. Korzeniewki J. 1874, str. 136, 8-o; cena 25 kop.

Dzisiaj. Przez Autora pieśni Moje sny (Sufczyński). Poznań, nakł. Żupański J. K. 1874, str. 31, 8-o, cena 7½ sgr.

Eljasz Walery. Szkice z podróży w Tatry. Tablic lit. 1, tablic ryt. 47. Poznań i Kraków, nakł. Red. Tyg. Wielkopol. i autora 1874, str. 282, 16a, cena 2 złr. 50 c.

Gaszyński Konstanty. Pisma prozaiczne. Biblioteka Pisarzy polskich T. 69. Lipsk nakł. Brockhaus T. C. 1874, str. 279, 8-o, cena 1 talar.

Gorzkowski Maryan. Wielki książę Włodzimierz (Studyum historyczne). Dramat w pięciu aktach, Kraków, nakł. autor 1875, str. 141, 8-o, cena 75 c.

Hoszowski J. Poezye. Lwów 1874, str. 245, 8-o, cena 1 złr. 20 c.

Hugo Wiktor. Rok dziewięćdziesiąty trzeci. Warszawa, nakł. Gazeta Polska 1874, str. Tomu I 263, Tomu II. 211, 8. Cena 12 zlp.

Kalendarz satyryczno-humorystyczny na rok 1875, z illustracyami Fr. Kostrzewskiego. Warszawa nakł. Kaufmana J. 1875, str. 65; 8-o, cena 20 kop.

Kasiuczak Jan. Restauracya powieść — obrazy z niedawnych czasów, przekład ze Słowackiego. Tłóm. Grabowski Bronisław. Warszawa, nakł. Red. Opiek. Dom 1874, str. 177, 16.

Kondratowicz Ludwik (Władysław Syrokomla). Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych czasów do XVII. wieku. Warszawa nakł. Gebethner i Wolff 1874, str. T. I. 352, II 349, III 369, 8-o, cena 20 złp.

Koszczyc W. Wschód. Ze Stambułu do Angory. Lwów nakł. Rogom Q, J. Q. 1874, str. 311, 8-o, cena 1 złr. 50 c.

Leszczyc Kazimierz. Joanna i Giowanina. Wspomnienia z Palermo. Warszawa druk J. Sikorki 1874, str. 167, 8-o cena 4 złp.

Lubomirski Józef książę. Książę Sołdat. Szkic z życia wojskowego w Rosyi. Poznań nakł. Merzbach Lud. 1874, str. 192, 8-o, cena 22½ sgr.

Mieczysław z Poznania. Kazimierz i Magdusia — powieści z dziejów ojczystych siedemnastego stulecia. Poznań nakł. Leitgeber J. 1875, str. 95, 16a, cena 5 srg.

M. C. Ludzie. Powieść. Lwów nakł. Piller K. 1875, str. 348, 8-o, cena 2 złr. 20 c.

Siemieński Lycyan. Portrety literackie T. IV. Poznań, nakł. Żupański J. K. 1875, str. 393, 8-o, cena 1 tal. 10 srg.

LINGWISTYKA.

Amborski Jan. Gramatyka języka francuzkiego. Opracowana na podstawie języka polskiego. Lwów nakł. Gubrynowicz i Schmidt 1875, str. 234, 8-o, cena 1 złr. 50 c.

Bocquel Eugenia de Rochetin. Rozmowy francuzkie, wydanie nowe przejrzane i pomnożone. Warszawa, nakł. Błaszkowski J. 1874, str. 417, 8-o, cena 6 złp. 20 gr.

Baczyliński Ignacy. Zasady gramatyki języka polskiego według najnowszych wyników nauki i wskazówek dydaktyki. Warszawa druk. Berger J. 1874, str. 119, 8-o, cena 50 kop.

Orda N. Grammaire analitique et pratiqne de la langue polonaise à l'usage des etrangères Warszawa nakł. Gebethner i Wolff 1874, str. 439, 8-o, cena 2 rsr. 40 kop.

Kronika teatralna.

(Żyd, dramat w 3 aktach, oryginalnie napisana przez Adama Asnyka).

Już to przyznać się muszę — a myślę że i wielu z łaskawych czytelników mogłoby się do tego przyznać beż skrupułu, że najmilej spędzam wieczór w teatrze, gdy na scenie występują ludzie dzisiejsi, ci których poznaliśmy wczoraj, lub możemy spotkać jutro. Dzisiejszy sposób gry artystów niveau ich talentów zwłaszcza po mniejszych scenach, a przytem i ogólne usposobienie dzisiejszej publiczności, (do której i recenzent ma zaszczyt się liczyć), wszystko składa się na to, żeby woleć na scenie ludzi w tużurkach, czarnych frakach i białych krawatach, aniżeli starożytnych lub średniowiecznych bohaterów, w strojach w jakich dziś mało który aktor i po najlepszych teatrach tak się ruszać umie żeby z poza tej larwy nie wyglądał co chwila pospolity „un homme ganté“ ze szkiełkiem w oku; z namiętnościami, których nasze pokolenie nie tylko że odczuć, ale nawet na deskach teatralnych udawać nie jest wstanie i nie umie.

Nie wynika ztąd, żeby niebyć wdzięcznym dyrekcyi zato, iż od czasu do czasu stara się przypominać, że jest na świecie sztuka dramatyczna we wielkim stylu, niespożyta, zawsze nowa choć odwieczna, że były kiedyś formy cywilizacyi odrębne od dzisiejszego swiata, ludzie choć w gruncie zawsze ci sami, to ze skalą i intenzyą uczuć i namiętności inną i odmienną, życie w zewnętrznych przynajmniej formach, to drastyczniejsze to idealniejsze, wogóle w silniejszych tętniące kontrastach. Choćby nawet Dyrekcya sama była przekonana, że trupa jej niekoniecznie wiernie oddaje i nie zupełnie dorosła do otworzenia Kalderowskiego lub Szekspirowskiego świata, to zawsze winna to sobie i publiczności, żeby od czasu do czasu tradycyjną nicią łączyć swój teatr z dawnymi mistrzami; publiczność zaś po-

winna z wdzięcznością te próby przyjmować, i nie tracić żadnej sposobności, by sobie dawne arcydzieła przypominać. Zawsze jednak przedstawienia takie są rodzajem festynów na dni świąteczne, rodzajem rekolekcyi artystycznego sumienia i smaku, zaś codzienną strawą, niejako zwyczajnym obiadkiem w kółku familijnem, w życiu teatralnem jest wieczór spędzony na nowożytnej a dobrej komedyi lub nowym dramacie, z naszego dzisiejszego społecznego i towarzyskiego życia, w którym czy to w bolesny czy mniej bolesny sposób, byle trafnie i zajmująco poruszone są dzisiejsze bieżące kwestye i choroby wieku, otwarte społeczne rany i t. d., a to wszystko w codziennych, dzisiejszych warunkach życia, przez zwyczajne, choć niekoniecznie pospolite dzisiejsze figury.

Wtedy to po takiem przedstawieniu przychodzi ochota wykrzyknąć razem z p. Wtorkiewiczem Fredry;

. . . . byłem na teatrze
Ja djablo lubię teatr, bo jak się zapatrzę
To mi się zdaje, że ja widzę ludzi!

Podobnych wrażeń doznałem na przedstawieniu „Żyda“ p. Asnyka, choć (z góry wyznaję) nie wciągu całego wieczoru, i nie aż do końca sztuki.

Personal dramatu dobrze wybrany i zestawiony. Zaraz w pierwszych scenach zapoznajemy się ze wszystkiemi działającemi osobami, a jest ich nie wiele, bo tylko sześć, trzech mężczyzn i trzy Panie, akcya więc skoncentrowana, i niepotrzebująca długiej ekspozycyi. I w rzeczy samej zaraz po pierwszej pogadance trzech pań przy robótce (od czego się sztuka zaczyna), pani Natalii Doliwskiej, młodej mężatki i bohaterki dramatu, i jej dwóch kuzynek pani Pokrzywskiej z córką Różą, jesteśmy już „dans l'intimité“ z rodziną w której ma się odgrywać dramat.

Pani Natalia poszła za mąż z miłości za p. Doliwskiego, panicza z wysokiego rodu, który miał dla niej wszelkie pozory niepospolitego i godnego jej uczuć męża, tymczasem kilkoletnie z nim pożycie było dla niej szeregiem coraz to większych rozczarowań i upokorzeń. Zasłania ona jak może w obec świata nędzę domowego pożycia, żeby mu nadać przynajmniej pozór przyzwoitości, nawet szczęścia, ale robi to raczej z dumy, nie zgłębokiego poczucia obowiązków żony. Jest to kobieta, której jak sama później „o sobie powiada“ prócz dumy nic już nie zostało.“ Duma jest to źródło siły moralnej, które na jakiś czas wystarcza, ale się wkońcu wyczerpuje, gdy się na niem samem ograniczyć. Pani Natalia żyje już z kapitału swoich sił moralnych, ekspensa z biegiem życia zawsze się zwiększają, a wkońcu gdy jeszcze do tego zbudzi się w sercu i w grę wejdzie niespo-

dzianie jaka silniejsza namiętność, kapitał dumy bankrutuje. Pani Natalia jest już więc na pochyłości.

Kuzynka jej Pokrzywska, kobieta jakich wiele w każdym towarzystwie, zwykły materyał składający się na to co się nazywa: *tout le monde,* sprytna i skandalu chciwa, zwłaszcza wobec takiej cnotliwej Natalii, co się przed nią drapuje zawsze w swoje najwznioślejsze uczucia; ona już coś dostrzega i usiłuje Natalię ilemożności wybadać, co się jej dość udaje, bo pani Natalia namiętna, porywcza i egzaltowana nie najlepiej umie się maskować. Właśnie poprzedniego dnia zemdlała na pewnym wieczorze, gdy mówiono o pojedynku p. Augusta, salonowego Don Juana. — Pani Pokrzywska z troskliwością kuzynki wypytuje się o ten wypadek na balu, pani Natalia zaprzecza wszystkiemu, ale ona już wie co się święci. Z coraz bardziej ożywionej rozmowy tych pań dowiadujemy się dalej, że w pani Natalii, gdy jeszcze była panną w domu rodziców, kochał się p. Weinberg, wychrzczony żyd, kolega szkolny późniejszego jej męża p. Doliwskiego, z którym także razem służył wojskowo, i nawet mu życie w jakiejś potyczee uratował. Jako zręczny adwokat wyprowadził był Weinberg rodziców Natalii z wielkich kłopotów majątkowych, a bywając często w ich domu zakochał się szalennie w pannie, bo nie potrzebuję mówić, że była niepospolitych zalet i wdzięków. Do tego czując wdzięczność Weinbergerowi za wielkie usługi oddane rodzicom, panna Natalia, jak zwykle młode panny, musiała mu to okazywać w tak wdzięczny sposób, że młody człowiek uwiedziony naturalną kokieteryą, którą brał za oznaki wzajemności, sięgnął po wszystko i dostał odkosza. Taki był los Weinberga, szczęśliwszym był Doliwski, który nie zważając wcale na sentymenta swego wychrzczonego przyjaciela, a jako bardzo lekkomyślna natura, nie przeczuwa nawet całej głębokości i orjentalnej gwałtowności uczuć Weinberga, żeni się z Natalią, a jego zaszczyca dalej swoją przyjaźnią, posługuje się jego usłużnością, tem śmielej, że Wenberg tymczasem wyszedł na milionera, a tem częściej, że on zato powo traci uratowany niegdyś przez Weinberga majątek żony i swój w dodatku, przez nierządne i marnotrawne życie i przez nieostrożne spekulacye giełdowe.

Sztuka więc rozpoczyna się na tle złowrogiego „krachu„ materyalnego (rzecz dzieje się w r. 1873) i moralnego państwa Doliwskich. — Wszystko to czuć już z piewszej sceny, a zarazem i to także z niej się dowiadnjemy, że panna Róża Pokrzywska, nieodrodna córeczka swojej mamy, główka pozytywna, jakie się teraz coraz częściej między młodemi panienkami pojawiają, ma wielką ochotę wydać się za Weinberga, bo wedle niej, „żyd się kończy, gdzie się milioner zaczyna.“

Anonsują Weinberga, jest to wychrzczony Żyd salonowiec,

jakich u nas jesze mało, w Warszawie takich coraz więcej, wychrzcił się oczywiście nie z tych powodów co Ratisbonne, nie dla tego, żeby w religii katolickiej znalazł prawdę, tylko ze względów towarzyskich, dla pozycyi socyalnej i zewnętrznego zasymilowania się z chrześciańskiem społeczeństwem. Przybrał on wszystkie pozory człowieka z wielkiego świata (eines Cavaliers), służył w wojsku, sekonduje w pojedynkach, przytem miliony jego wszystkie drzwi mu otwierają. Jest to typ Żyda XIX wieku rozpowszechniony nie tyle jeszcze w Polsce co zagranicą, prototypami, najświetniejszemi okazami tego rodzaju Żydów nowoczesnych są n. p. Henryk Heyne później Lassalle. — Rozum niepospolity, nadzwyczajna bystrość, dowcip tryskający z każdego niemal słowa, wykształcenie gruntowne, powierzchowność zazwyczaj ujmująca, a zdradzająca w każdym ruchu namiętną duszę, przytem coś melancholijnie-demonicznego w wyrazie oczu, i coś cierpkiego w wydętych ust ściągnięciu, — któż w życiu nie spotkał takiego Żyda, chrzczonego czy niechrzczonego, zawsze Żyda, bo chrzest przecie cech narodowych wcale nie zmywa, zwłaszcza gdy dla ochrzczonego sakrament jest tylko potrzebną mu ceremonią, a nie epoką w życiu i odrodzeniem z wody i z Ducha św. Tak sądzę pojął autor swego Żyda i tak go nam przedstawił p. Benda wyśmienicie ucharakteryzowany na takiego wykwitnego salanowca Semickiej rasy.

Przytem autor dobrze zrozumiał, że u nas nie czas jeszcze na Lassallów, na Żyda działającego na masy, grającego na namiętnościach warstw społecznych. Wprowadza więc swego Żyda w zetknięciu tylko z jedną możną rodziną, do której przyczepia się jak fatum, i emezys za wszystkie jej występki i słabości.

Natalia potem co zaszło między Weinbergiem a nią, kiedy jeszcze była panną, czuje do niego wstręt nie przezwyciężony i instynktowo się go boi. Mąż jej z całem zaufaniem, a lekkceważeniem w duchu uważa go za ostatnią ucieczkę w swoich pieniężnych kłopotach. August wspólny przyjaciel jednego i drugiego, także związany jest z Weinbergiem jakimś długiem wdzięczności, o czem świat wie, bo mówi o tem pani Pokrzywska, Panna Róża kokietuje Weinberga aż niemiło patrzeć, — słowem z całego personalu dramatu tylko jeden Weinberg stoi na własnych nogach, zresztą wszyscy zachwiani, i od niego pośrednio lub bezpośrednio zależni, on jeden panem sytuacyi, i jak się wnet pokazuje, ma wszystkich w rękach lub w kieszeni. Jest on we walce z całem otaczającem go społeczeństwem, dla wszystkich zdawkową monetą jego: szyderstwo, a na swoje wytłumaczenie powiada: „Ja który od dzieciństwa spotykałem się dokoła z śmiechem i szyderstwem, ja któremu za najlepsze chęci płacono wzgardą i zniewagą, ja którego serce wyzyskiwano w potrzebie, by je potem tem dotkliwiej odtrącić, ja ku-

piłem sobie drogo to prawo natrząsania się ze wszystkiego nawzajem.“ — Przedmiotem zaś jego zemsty za wszystkie te doznane zawody i przykrości, zemsty nie kończącej się na śmiechu, ale zemsty strasznej, ząb za ząb, oko za oko, ma być Natalia wraz z mężem, który wedle jego rozumienia wydarł mu bezprawnie szczęście całego życia. — To też ze szczególną skwapliwością śledzi on rodzący się stosunek Natalii z Augustem. Męża jej nienawidzi, gardzi nim, zwłaszcza gdy tenże udaje się znowu do niego o pomoc pieniężną, będąc w bardzo krytycznem położeniu, bo zażądano od niego depozytu 10 tysięcy, który on był naruszył, wprawdzie jak mówi dla poratowania przyjaciela, ale narusył depozyt, kryminalna sprawa. Weinberg i tym razem przychodzi mu w pomoc, bo mu jeszcze nie trzeba zrywać z Władysławem, jeszcze plany zemsty jego nie dojrzały, tymczasem pasie się tylko jego upokorzeniem i ruiną, rzucając za nim słowa pełne wzgardy: „Oto na co zeszedł ten człowiek którego Natalia przeniosła nademnie! on który mi wydarł moje szczęście! Bo gdyby nie on, nie byłbym się wyrzekł nadziei przezwyciężenia jej oporu, musiałbym zdobyć sobie jej miłość;“ i zagrzewa się do zemsty właśnie tym materyalnym upadkiem Władysława, bo w przekonaniu Żyda nie ma co robić sobie skrupułów z człowiekiem zrujnowanym majątkowo, dla Weinberga jest to już tylko trup, którym i Natalia powinna się także brzydzić jak trupem.

Salonowy Don Juan August, tym razem na prawdę zakochany, a zakochany w Natalii jest wybrany przez Weinberga na ślepe narzędzie jego zamiarów. — Proteguje on jego uczucia, jako bystrzejszy od Augusta widzi on już, że Natalia jest mu wzajemną, a zrażoną do swego męża, pcha go wiec do ostateczności, a gdy ten ma niejakie skrupuły, mówi mu: „Cóż cię wstrzymuje? Władysław jest bankrut na majątku i honorze, Natalia jest nieszczęśliwą i zakochaną w tobie... boisz się postawić pytania? Boisz się może pomyślnej odpowiedzi?... bo w takim razie miałbyś Natalią na karku. Taka bowiem kobieta jak ona nie poniży się do odgrywania fałszywej roli wobec męża, i świata, albo zostanie nieprzystępną pokusie, albo też poświęci wszystko, i pójdzie za tym którego kocha... Uczucie to rzecz święta przed nim wszystko nastąpić powinno.“ Takiemi argumentami Weinberg rozdmuchuje zarzewie w sercu Augusta. — Rzeczy tak się składają, że Natalia ma coraz więcej powodów żalu do swego męża. — Władysław prosi żonę, żeby nie odmawiała Weinbergowi bytności swojej na obiedzie u jego matki. Natalia opiera się temu stanowczo; wtedy Władysław widzi się zmuszonym wyznać jej, jaką Weinberg oddał mu przed chwilą usługę, to jeszcze bardziej oburza Natalią, że on targ w targ za pieniądze rozrządza jej osobą, i aby uniknąć upokarzającej wizyty u Weinbergów, decyduje się ona

oddać swoje brylanty na zastaw, by wydostać potrzebną sumę i nie potrzebować łaski Weinberga. Na to mąż się miesza, ale Natalia od słowa do czynu idzie zaraz po swoje kosztowności. i przekonuje się, że brylantów nie ma w zwykłem schowaniu, myśli że skradzione, tymczasem mąż przyznaje się, że to on wziął je na zapłacenie zażądanego pokrycia od Banku chcąc się ratować wśród strasznego przesilenia giełdowego. — Z tego oczywiście scena małżeńska, Natalii nie chodzi o brylanty tylko dotknięta jest do żywego, że straciła o mężu swoim ostatnie iluzye, kiedy tenże mógł jak złodziej zakraść się do jej biórka i popełnić taką podłość. Władysław tłumaczy się jak może, przedstawia jej w całej grozie bezdeń niedawnej kryzys pieniężnej. Ale to nie wiele pomaga do przejednania egzaltowanej Natalii, która przyrzeka wprawdzie że będzie u Wejnbergów ponieważ konieczność tego wymaga, ale mówi te słowa za odchodzącym. „Oto mąż mój człowiek wybrany sercem, w którym położyłam całą moją miłość, dumę, wszystkie nadzieje moje. O straszny zawodzie! Pomyśleć sobie że jestem przywiązanem do niego nierozerwalnym łańcuchem, że powinnam podzielać wszystkie jego losy, wszystkie myśli i uczucia . . . . dzielić jego myśli i uczucia! co za gorzka ironia! Czyż oni wszyscy tacy?!“ I tu przychodzi jej na myśl August, zrazu odpędza pokusę z przerażeniem, ale za myślą wnet zjawia się i sam p. August w swojej osobie, właśnie kiedy pani Natalia we łzach tonie po tych wszystkich emocyach. Następuje scena, jakich Bogu dzięki nierównie więcej odgrywa się dzisiaj na deskach teatralnych, niż w rzeczywistości. Kobieta, dotąd wzór cnoty, niby bardzo szlachetna, dumna, pełna wzniosłych uczuć, wysłuchuje najgorętsze wyznania miłośne, obrażające każdem słowem kobiecą uczciwość. Niby to ona wszystko odpiera, ale niezręcznie, i zdradza się fatalnie z tem że August nie jest jej obojętnym. On to mimowolne wyznanie podchwytuje skwapliwie, a chwyciwszy raz za paluszek, ciągnie całą rękę. Ona trzepoce się jak ćma na szpilce, ale jak na szlachetną i dumną kobietę, za mało się broni komplementom Augusta, za mało godnie występuje w obec niego, zniża się do prośby żeby jej nie dręczył, wkońcu żegna go, wprawdzie na zawsze, ale gdy kobieta raz wda się w podobną rozmowę, nie odepchnie odrazu natręta ze wzgardą, lub gdy czuje do niego słabość, nie chwyci się jedynego środka obrony, to jest nie zostawi go samego na placu, to wiemy już co takie „na zawsze“ znaczy. Następnego dnia ci państwo schodzą się znowu na obiedzie u Wejnberga, w którego apartamentach odgrywa się akt drugi.

Akt drugi zaczyna się nową sceną małżeńską między Nataliją i Władysławem, sceną która przykre robi wrażenie potem co się pokazało z ostatniej rozmowy Natalii z Augustem

w poprzedniej scenie nie wypadało jej robić mężowi tak srogich wyrzutów, a już zgoła nie miło się robi, gdy autor wkłada jej tu w usta kazanie dla całej warstwy narodu. „Odtrąciliście, mówi, wszystkie czyste i święte uczucia i nic wam w piersiach nie pozostało. Czemże jest dziś dla was każda wznioślejsza dążność, *każda myśl ku ogólnemu dobru skierowana* (frazes szczególnie w ustach kobiety, bardzo niesmaczny). Czemże jest szlachetna duma, nieskazitelna prawość?... urojeniem i przesądem tylko. Zatraciliście w sobie poczucie złego i dobrego, a chcąc żyć i używać tylko bez pracy i bez zastanowienia, frymarczycie wszystkiem, co posiadacie: majątkiem, dobrą sławą i nazwiskiem etc. etc. . . .“ A gdy mąż przerywa jej ten kaznodziejski zapał, mówiąc jej komplement i chcąc ją uściskać na zgodę, wpada w ton najwyższego oburzenia, wzgardy i pogróżek. „Myślisz, że to jest jedyna miłość, która się żonie należy, że przykuwszy ją na zawsze ślubnym pierścieniem, można już nie dbać więcej o jej szacunek i przyjaźń, ale ukazawszy jej oczom w całej nagości moralne swoje nicestwo, można zdeptać jej wstyd, odebrać wiarę, poniżyć we własnych oczach, i mieć ją zawsze powolną jak niewolnicę na każde skinienie swego kaprysu. Wiedz o tem, że i najpokorniejsza z niewolnic gotowa w chwili rozpaczy zamienić tajony wstyd domowego pożycia na jawną niesławę. . . . Nie zdołasz mnie zrozumieć teraz, ale może zrozumiesz gdy już będzie zapóźno.“ Nieoszacowany mąż rzeczywiście zdaje się nic nierozumieć, czem mu żona grozi i tylko powiada sobie gdy już znikła z salonu: „Ma słuszność, ja już zbyt nisko upadłem; poczucie to tkwi we mnie . . . ona ma słuszność, lecz kto mnie dzisiaj podniesie?“ . . . a najlepszy jest, gdy potem szuka moralnej pociechy i pomocy u Weinberga, którego o poufną prosi rozmowę i wywnętrza mu się ze wszystkiego jak przed spowiednikiem, posuwa się nawet do tego, że chce przyjąć służbę w jego kantorze. Weinberg zbywa go z początku szyderstwem, potem mówi mu sążniste kazanie, adresowane nie tylko do niego, ale do całego społeczeństwa naszego. Już to wybornych moralizatorów społeczeństwa ma ta sztuka, najprzód żonę zapominającą o najświętszych swoich obowiązkach, później Żyda, który właśnie już knuje piekielne plany najhaniebniejszej zbrodni, bo tylko co przed chwilą miał stanowczą rozmowę z Augustem. Gdy Natalia wyszła wzburzona po ostatniej z mężem rozprawie, Weinberg usiłuje skłonić Augusta, by poszedł za nią. Wyborna jest ta scena między nimi, jedna z najlepszych z całego dramatu, demoniczny charakter Weinberga po pierwszy raz występuje tu w całej grozie. „Owoc już dojrzał“, mówi do Augusta, „trzeba go tylko umieć zerwać . . . powinieneś pospieszyć za nią;“ a gdy się August waha, Weinberg wpada w coraz gorętszy zapał dochodzący do najwyższego pun-

ktu, gdy mówi: „gdybym ja kochał taką kobietę i był przez nią nawzajem kochany, to nie wahałbym się ani chwili wyrwać ją z nienawistnych więzów, chociażby na przekór jej woli... podeptałbym raczej wszystkie prawa, mówi w uniesieniu, wszystkie obowiązki, cały kłamany blichtr ludzkich świętości, nie uznając innego prawa nad swą miłość, innego obowiązku nad jej szczęście!“ — August ani się domyśla, że przez Weinberga mówi jego własna namiętność, tylko puszcza wodze swojej i podąża za Natalią.

Wspomniałem już, że w ten główny romans dramatu wpleciony jest drugi mniej straszny i namiętny: panna Róża używa wszystkich sztuk i sztuczek najwyrafinowańszej kokieteryi, żeby złapać Weinberga na męża. — On udaje, że się zaplątał w jej sidła, potrzeba mu tego zapewne, by zamaskować swoją grę tajemną. Panna Róża jest już całkiem pewna swego i myśli, że Weinberg dla tego tylko jej nie mówi stanowczego słowa, że nie śmie, że uważa to za zbyt wysokie progi. Wyborna jest scena, kiedy chce ona zmusić Weinberga do tego, żeby się jej oświadczył, ale bo też i graną była wyśmienicie przez pana Bendę i pannę Urbanowiczównę, (dwie najlepiej oddane role w tej sztuce). Dyalog w tej scenie prowadzony przez autora bardzo zręcznie i wytwornie. Panna Róża już już zdaje się być u celu, kiedy na wielką jej rozpacz a radość Weinberga (bo go to wybawia z niemałego kłopotu), wpada Władysław i przerywa ciekawą rozmowę, właśnie na to, by wziąść Weinberga na poufną pogadankę.

Krytyczne położenie Władysława, które już znamy, zmienia się nagle o tyle, że zgłasza się do niego jakiś kuzyn czy przyjaciel (ale tylko za kulisami), którego on był dawniej z biedy wyratował, i ofiarowuje mu teraz nawzajem swą pomoc, bo się dorobił wielkiego majątku, a Władysław poprzednio udawał się do niego listownie.

Władysław dostawszy raz pieniądze od poczciwego Korczaka (bo tak się ten zakulisowy dobroczyńca nazywa), nie ma nic pilniejszego, jak oddać świeżo zaciągnięty dług Weinbergowi. Sposób, w jaki to robi, jest niekoniecznie zgodny ze zwykłem dobrem wychowaniem naszych panów, jakim ma być Doliwski; autor przedstawia nam go, jak poczuwszy pieniądze w kieszeni, zaraz pomiata Weinbergiem i jest dla niego niegrzecznym. Ale scena ta dobrze przygotowuje następną, główną w całym dramacie i prawdziwie dramatyczną. Kiedy Weinberg świeżem złem obejściem się z nim Władysława najbardziej do zemsty zagrzany, August powraca ze swojej zdobywczej wyprawy za Natalią i powraca zwycięzcą; porwana siłą wymowy Augusta i namiętności, którą już także dzieli, a nienawidząc męża, przystaje w końcu na ucieczkę z nim, i to zaraz tego samego wieczora, „bo co się ma stać, niech

się stanie prędzej," daje mu więc klucz od ogrodowej furtki, i naznacza godzinę, w której ma ją zastać w umówionem miejscu, gotową do podróży.

Weinberg słysząc to wszystko, nie posiada się z radości, co wzmaga jeszcze szał i upojenie Augusta; ale gdy się tenże mieni na szczycie szczęścia, wtedy Weinberg pyta go niby nawiasem: „A klucz od ogrodu masz przy sobie?" i gdy mu go uradowany August pokazuje, Weinberg wyciągając rękę, mówi: „a więc mi go daj." August z początku nie rozumie, o co chodzi, ale Weinberg nalega wyraźnie: „daj mi ten klucz," i gdy ten się pyta, co to ma znaczyć, wtedy Weinberg powiada mu poprostu, że chce zająć jego miejsce w tej wieczornej schadzce i ucieczce, bo „w nocy wszystkie koty szare." Można sobie wyobrazić, jaka ztąd wywiązuje się scena! Augustowi dopiero się oczy otwierają, gdy mu Weinberg mówi: „Tyś pewnie myślał, że ja zachwyciwszy się tobą, zwróciłem wyłącznie wszystkie starania, ażeby ci zapewnić miłość kobiety... którą ja kocham!" Rzecz nabiera jeszcze większego interesu, gdy się pokazuje, że pan August za młodu fałszował weksle, które Weinberg wszystkie wykupił, i teraz proponuje mu po przyjacielsku, żeby mu dał żądany klucz, a on mu wtedy odda jego fałszywe weksle. — August zdecydowany raczej na kryminał niż na podobną podłość, odrzuca propozycyę z przynależną wzgardą i stanowczością. Wtedy Weinberg nie mając już innych argumentów, rzuca się na niego jak tygrys, powala go na kanapę, wydziera mu nieszczęsny klucz i wybiega jak szalony, zatrzaskując drzwi za sobą i rzucając złowrogi wykrzyk: „nie wyjdziesz ztąd!" Nim August zdołał przyjść do siebie i rzucić się ku drzwiom, już nie było dla niego wyjścia z pokoju Weinberga, pada więc pod drzwiami jak nieżywy; na tem kończy się akt drugi.

Scena ta jest tak pełna nowych dramatycznych efektów tak zręcznie przeprowadzona, taką wywołuje senzacyę na widzach, że zapewnia sukces całej sztuce; w wielkim naprężeniu czeka się trzeciego aktu i końca, jak się też rozwiąże ta misternie z namiętności ludzkich splątana awantura.

Natalja czeka w oznaczonem miejscu w ogrodzie na swego kochanka, (od tego zaczyna się akt trzeci), oczywiście w wielkich emocyach, boi się przyszłości, a usprawiedliwia jak może swój krok przed samą sobą, wyłuszczając powody dla których z mężem dłużej żyć nie może. Choćby nawet te powody były całkiem słuszne, to zawsze zapomina ta pani o tem, że między rozłączeniem się z mężem, a ucieczką z kochankiem jest jeszcze wielka przepaść. Wnet przybywa Weinberg zamiast Augusta, otulony płaszczem, Natalja spocztątku go nie poznaje, ale iść z nim nie ma siły; lecz gdy tenże ją prawie siłą mocą porywa, on zdradza się zawcześnie głosem zbyt podniesionym.

Scena między niemi znowu pełna niezwykłych efektów, prawda że i grana była wyśmienicie, autor dobrze przeprowadza nas przez całą skalę oburzenia, upokorzenia, rozpaczy z jednej; a zaś wybuchu przez długie lata żywionej namiętności z drugiej strony, kiedy Weinberg jak szalony miota się na swoją ofiarę, to mówiąc językiem miłości jak Romeo, to chcąc Natalję rozbroić upokorzeniem i boleścią, to w końcu usiłując przekupić ją złotem, a ona na to wszystko po długiem szamotaniu się rzuca mu w końcu w oczy pogardliwą obelgą: idź precz Żydzie! Wreszcie nadbiega August; potrafił on się przecie jakoś wydostać z apartamentów Weinberga, który teraz schodzi już na drugi plan, bo akcya dalsza tej sceny rozgrywa się między Natalją i Augustem, a on tylko od czasu do czasu rzuca słowami najdzikszej ironii. — Pola do ironicznych uwag nastręczają dalsze sceny bardzo wiele, ale nietylko Weinbergowi, lecz niestety i widzowi, bo dramat cały odtąd coraz bardziej zaczyna chromać. Ma się tu niby akcya przełamywać, dodatnie czynniki zaczynają brać górę nad złem. August żałuje swego postępku; nim przybiegł do ogrodu już zawiadomił pierwej o wszystkiem męża, Natalją zaś prosi o przebaczenie, i tłumaczy się jak może ze swych grzechów młodości.... fałszywych weksli. Ona wspaniałomyślnie przebacza mu wszystko z takiem namaszczeniem jakby sama była zupełnie czystą i niewinną, i radzi mu, żeby nadal był zacnym człowiekiem. Nie trzeba być Weinbergiem, żeby się to wydawało arcykomicznem, zamiast żeby miało dawać zadośćuczynienie moralnemu uczuciu, co widocznie przez autora w tej scenie było zamierzonem. Ale to najlepsze, że mąż asystuje tej całej rozmowie stojąc na uboczu niepostrzeżony, i dopiero gdy August wyzywa Weinberga na pojedynek na śmierć i życie, wychodzi z za krzaku by zreflektować Augusta, że to nie do niego należy stać na straży honoru jego domu. Nie obwinia on o nic żonę, niema żadnej pretensyi do Augusta że mu ją chciał wykraść, zabrania mu tylko stanowczo strzelać się z Weinbergiem bo to do niego należy, i certuje się z nim o to prawo, czem daje sposobność Weinbergowi do nowych bardzo słusznych szyderskich uwag. W końcu staje na tem, że Władysław ma się strzelać z Weinbergiem, ale ten nie chce prostego pojedynku na pistolety, bo nie strzela tak dobrze jak Władysław, tylko proponuje dla równości szansy, żeby ciągnąć węzełki, na kogo los padnie, ten we 24 godzin musi sobie odebrać życie. Po niejakiem wahaniu się w końcu wszyscy przystają na tę grę, prócz Natalii, która kilkakrotnie prosi męża, żeby się nie narażał, ale na nią nikt nie zważa. Weinberg wiąże węzełek, August trzyma chustkę, Natalja pada na kolana jak do modlitwy, Weinberg wyciąga śmierć..... po uroczystej ciszy wszyscy prócz Weinberga oświadczają, że to Bóg

tak rozstrzygnął. Zdawać by się mogło, że chwila w której ludzie żyjący i działający tak, jakby Boga nie było, jak się to dzieje w tym dramacie od samego początku we wszystkiem, chwila w której tacy ludzie dostrzegają i uznają nad sobą palec opatrzności Bożej musi być niesłychanie podniosłą, kulminacyjnym punktem całej sztuki; tymczasem tutaj ten zwrot do Boga zamiast podniosłego robi niesłychanie przykre wrażenie; czuje się że to nie Bóg tu przemówił, . . . tylko Deus ex machina; cały koniec dramatu od przyjścia Augusta, a jeszcze bardziej od zjawienia się Władysława jest zwichnięty i zupełnie chybiony, wszyscy jakby rozum stracili, wszyscy robią nie to co do nich należy; w istocie mogli rozum stracić w takiej chwili, ale autor zdaje się uważać to wszystko co robią za rozsądne i logiczne w danej chwili, i ztąd doznaje się zamiast artystycznych coraz przykrzejszych wrażeń.

Przecież z takim prostym zbrodniarzem jakim okazał się Weinberg od owej sceny z kluczem, idącym teraz naprzód już tylko prostym brutalnym gwałtem, nikomu szanującemu się choć trochę nieprzyszłoby na myśl pojedynkować się jak z honorowym człowiekiem, jeźli była racya do pojedynku, to między Władysławem i Augustem, co zaś do Weinberga, to myślę, że taki pan jak Doliwski byłby go co najwięcej obił lub kazał obić kijami i wyrzucił za bramę swego ogrodu, a nie żeby się chciał z nim strzelać i to na wyścigi z kochankiem swojej żony. Gdy akcya dramatu raz wejdzie na takie bezdroża i nieprawdopodobieństwa, w tedy wszystkie efekta sceniczne pryskają jak bańki mydlane. Inwokacya Opatrzności, która to wszystko co namiętni i występni ludzie nabroili niby sama wkońcu rozwięzuje, a robi to w tak przypadkowy i dowolny, z loiką namiętności i położenia tychże samych działających osób niezgodny sposób, jak się to dzieje w niniejszym dramacie, zamiast zadowolnić, obraża nasze moralne poczucie.

Sztuka pod sam koniec po wyciągnięciu węzełka przez Weinberga poprawia się o tyle, że tenże odzyskuje swój charakter prostego zbrodniarza, którym już tylko sama zemsta powoduje. Wprzód nim ma sobie w łeb strzelić, chce zabić Natalię i strzela do niej, lecz zamiast w nią trafia w zasłaniającego ją Augusta, który ocaliwszy ją swoją osobą z radością u jej stóp umiara. Tu już znowu jesteśmy na prawdopodobniejszym i naturalniejszym gruncie. Weinberg zaraz po strzale godzącym w Augusta, wybiegł jak opętany, i wnet słychać strzał nowy, którym sobie przegrane życie odebrał. Natalia zemdlona po śmierci Augusta i leży jak bez ducha, a Władysław zostający sam na placu, kończy dramat bardziej ciemną niż głęboką i chrześciańską sentencyą nad zwłokami Weinberga, że błędy jednych pociągają za sobą winy drugich,

„że najtajniejsza nawet wina powraca do nas potem awną zbrodnią. Nie pomoże spóźniona skrucha.“

Fałszywy grunt moralny i nie dość jasne uwidocznienie tendencyi autora, co w takiej już z natury swojej tendencyjnej sztuce jak „Żyd“ p. Asnyka koniecznie było potrzebne, oto zdaje nam się główne błędy tego dramatu. Bo cóż zamierzył autor w swoim „Żydzie?“ Myślę, że chciał wykazać to, co Natalia mówi do Weinberga w ogrodzie, gdy tenże rzuca obelgi na Władysława, Augusta, nawet na nią; oto że ci wszyscy są jeszcze w porównaniu z Weinbergiem czystymi i dobrymi, bo pomimo upadku swojego mają w sobie szlachetne popędy, do których on wznieść się nie jest zdolnym Są oni jednak tak niezgrabni w okazywaniu tych szlachetniejszych popędów, tak mało zdolni do podniesienia się z upadku i tak zawsze trafnie wyśmiani przez Żyda w chwili tych szlachetniejszych porywów, że Żyd zdaje się być zawsze górą ponad nimi, bo autor nie tylko że go postawił wyżej intelligencyą, ale i dla uczuć, namiętności i cierpień jego wywołuje ciągle mimowolne współczucie, nie piętnując dość silnie zbrodni, jaką tenże chciał popełnić. — W całej sztuce nie ma ani jednego dodatniego charakteru, są tylko ludzie, w których tli jeszcze coś na kształt sumienia, ale którzy nie są zdolni znieść już ani choroby swojej, ani lekarstwa, a nawet wedle ostatnich słów dramatu: „nie pomoże spóźniona skrucha!“ — Pytanie tylko kiedy skrucha jest spóźniona?

Tak więc choć dramat p. Asnyka z wielkim talentem jest założony i chwilami ogromnie zajmuje, bo są w nim sceny, szczególniej w akcie drugim bardzo a bardzo udane, pełne werwy i zręcznych zwrotów, całość jednak przykre zostawia wrażenie, bo wszystkie zalety talentu autora jaśnieją tylko w przedstawieniu ujemnych stron charakterów wprowadzonych osób, w oddaniu demonicznej siły korrupcyi, potęgi złego nad ludzką istotą; dramat silny jest i zajmujący tylko negacyą, bo gdzie tylko autor chce się wznieść do afirmacyi, artystyczna wartość dramatu maleje, spada czasem nawet niżej zera.

Samo przedstawienie można uważać za bardzo udane, już wśród opowiadania treści wspomniałem które role i które sceny były najlepiej grane. Rola Natalii, która ciągle moralizuje, a jest właściwie przyczyną wszystkiego złego, co się dzieje, jest tak niewdzięczną, że trzeba rzeczywiście prawdziwego oddania się sztuce, a zapomnienia o sobie, żeby ją tak starannie grać jak p. Hoffman; pomimo tego jednak nie mogła wzbudzać sympatyi i współczucia dla cierpień bohaterki którą prz dstawiała. Mąż jej zaniedbany przez samego autora, bo najmniej udany ze wszystkich, — nie jest ani charakterem

ani typem, — trudno żeby mógł zainteresować choćby był grany jak najlepiej. Rola tytułowa Żyda (p. Benda) i pny Róży (pna Urbanowiczówna) nie zostawiają nic do życzenia, ale bo też to są najlepsze dwie figury dramatu, szczególniej sam „Żyd“ z wielkim talentem zarysowany, i aż do najmniejszych szczegółów wykończony.

S-i.

KRONIKA.

Kraków, 31 Stycznia.

Jak niegdyś wśród największej potęgi, kiedy w posiadłościach jej monarchów słońce nie zachodziło, tak dziś wśród największej niemocy Hiszpania stała się chwilowo środkowym punktem ogólnej polityki. Trzeba było wiele zmian, wiele upadków i wielkiej słabości innych, aby jej przypadła choćby na krótko tak ważna w świecie rola. Nie przez siebie samą też nabrała ona znaczenia, ale przez zbytni upadek jednych a przez zbytni wzrost jednego. Świeżo zaszłe wypadki w Madrycie, dotąd nie są rzeczywiscie czem innem, jak jedną rewolucyą więcej, nie zmieniającą smutnego żeby nie powiedzieć opłakanego położenia wewnętrznego tego narodu, lecz mogą dać znowu powód do ugrupowania się czynników polityki europejskiej wobec cisnącej je żelaznej ręki bezwyznaniowego kanclerza. Przedewszystkiem tak prędki koniec rządów marszałka Serrana, jeżeli nie może bez śmieszności policzonym być jako klęska lub nawet walna przegrana ks. Bismarka, to przecież jest jedną z tych porażek, które w dziejach składają się na upadek zbyt wielkich ludzi. W każdym razie jest on jeżeli nie ważną, to nader miłą wygraną dla przezornego kanclerza rosyjskiego i świeżym laurem dyplomatycznym zdobiącym siwe włosy ks. Gorczakowa. Gdy niemożliwą jest wielka zemsta, słodką jest przecież mała byle udana, a taką się stało nieuznanie przez Rosyę rządów marszałka Serrana od chwili, jak w przeciągu godziny przestały one istnieć pomimo potężnej a bezskutecznej opieki ks. Bismarka i mniej potężnej a równie bezskutecznej pomocy liliputowej floty gargantuowych wszech Niemiec. Wprawdzie marszałek Serrano ma czem się

podobno pocieszać w wygnaniu, bo jak twierdzą niezgorszą zdobył sobie tantiemę w ostatniem przedsiębiorstwie politycznem, którego był jeneralnym dyrektorem, lecz i ta właśnie okoliczność zwiększa tylko śmieszność i ohydę tak skwapliwego uznania jego rządów przez cnotliwe Niemcy i potulne im inne morcarstwa i państwa a podnosi znaczenie Rosyi, której wyjątkowe położenie i silniejsze nerwy pozwoliły ochronić się i od śmieszności i od służalstwa wobec ks. Bismarka. Sprawy hiszpańskie stały się tym sposobem stawką gry że ją tak nazwiemy komercyjnej między dyplomacyą europejską, lecz jakąkolwiek była lub będzie nadal ta gra, nie zmieni ona położenia rzeczy w samej Hiszpanii i nie przeistoczy opłakanych stosunków politycznych tego państwa, wśród których wstąpienie na tron Alfonsa uważanem być może tylko jako epizod chronicznej rewolucyi, jako jedno więcej *pronunciamento*, które nic nie rozwiązuje ani nic nie kończy. Nowo powstała monarchia w Madrycie jest dziełem najmniej trwałem, najmniej poważnem, awanturą bez przyszłości, a zdobyć się na nie mogła tylko lekkomyślność podstarzałej kobiety i naiwność młodzieńca. Dwa te pierwiastki wszędzie ale szczególniej w polityce prowadzą nieochybnie do katastrofy, w najlepszym razie do *fiasca*. W każdym kroku nowej monarchii wybitnie czuć i lekkomyślność i naiwność. Już jej program jest pełnym onych złudzeń, które są przywilejem młodości lub śmiesznością podstarzałych namiętności. Połączenie w dzisiejszej chwili katolicyzmu z liberalizmem jest przedsięwzięciem tak olbrzymiem, że targnąć się na nie mogły tylko karły, a w epoce, w której rozgrywa się wielki dziejowy dramat, w której toczy się walka na życie i śmierć między katolicyzmem i liberalizmem łączy je właśnie na papierze w szumnych odezwach uczeń wiedeńskich Terezyanów pod dyktandą królowej Izabelli! Można zaiste o tem tylko powiedzieć, że z wszystkich rzeczy poważnych naszych czasów jest to najśmieszniejsze; a kamień filozoficzny średniowiecznych alchemistów lub kwadratura koła są dziecinną igraszką wobec wielkiego zadania, jakie stawiają sobie nowe rządy w Hiszpanii. Już ten początek, już to założenie nie pozwala poważnie zapatrywać się na świeży porządek rzeczy w Madrycie, jest ono rękojmią jego chwiejności i dalszych awantur, a świadczy, że o ile jest łatwo dzisiaj stworzyć lub wskrzesić pierwszą lepszą monarchię, o tyle trudnem jest ustalić ją i nadać jej trwałość. Młody król znajdzie się wobec trudności, którym podołaćby mógł może Filip II, lecz nie syn Izabelli, a którym podołaćby mógł nie za pomocą frazesów, ale jedynie za pomocą ręki jakiego Alby. Lecz że ludzi tej miary książę godzący katolicyzm z liberalizmem użyć nie zechce, a choćby i chciał, — nie znajdzie dzisiaj, nic słuszniejszego jak żeby poszedł za radą pewnego humorystycznego pisma, które złożyło mu ministeryum z samych exministrów przedlitawskich, wyznaczając na ministra

dróg i komunikacyj p. Offenheima; do czego dodaćby jeszcze można jako poufnych doradców kilku mężów stanu galicyjskich. Bądź co bądź, dziwnem zrządzeniem losu, monarchowie na to zdają się być dziś tylko stworzeni, aby oddawać usługi rzeczypospolitej. Wstąpienie bowiem na tron króla Alfonsa przekazało mu wszystkie kłopoty i trudności, pod któremi rzeczpospolita upadła sromotnie i haniebnie a wraz z nią wszystkie niedorzeczności, które przedstawiała. Dziś spuściznę tę odziedziczył młody król, który wobec starszej linii i jej przedstawiciela Don Karlosa zarówno jak wobec zgasłej rzeczypospolitej jest uzurpatorem. Czy w tych warunkach jedyne zbawcze wyjście, fuzia między Don Karlosem i synem Izabelli jest możliwem? Nie chcemy tego przypuszczać, nie chcąc popaść w naiwność i lekkomyślność, której nowa monarchia hiszpańska dopuszcza się łącząc katolicyzm z liberalizmem. Raczej musimy mniemać, że niebawem król Alfons znajdzie się w położeniu bez wyjścia, którego jedynem wyjściem będzie wyjście za przykładem króla Amadeusza, owe manatki księcia w Rabagasie.

We Francyi, w pięknej zawsze lecz nieszczęśliwej Francyi, zagmatwanie wyobrażeń, pokrzyżowanie najrozmaitszych prądów, rozchulanie stronniczych zabiegów niejasność celów i błahość środków do tego doszły stopnia, że z daleka, nawet dla obeznanych z tamtejszemi stosunkami nie łatwo się rozpoznać w tym labiryncie, z którego jak dotąd żadna nić Ariadny nie wskazuje narodowi francuzkiemu wyjścia. Tam znów rzeczpospolita jest tylko skutkiem niemożności monarchii; rzeczpospolita rządzona przez wszystkich, wyjąwszy przez republikanów, którzy o ile istnieją, należą bez wyjątku do opozycyi. Dziwne to i opłakane położenie, z którego społeczeństwo francuzkie nie ma ani dość siły ani dość energii, aby się otrząsnąć. Jak długo potrwa ten chorobliwy stan rzeczy? Trudno przewidzieć, ale to pewna, że musi być życzeniem wszystkich kochających Francyą, aby jak najprędzej ustał, równie jak jest pożądanem dla wszystkich jej wrogów z księciem Bismarkiem na czele, aby jak najdłużej trwał. Ustawy konstytucyjne, o które obecnie toczy się walka, w zgromadzeniu narodowem, mogłyby przyczynić się do ustalenia formy republikańskiej, ustalenia którego najmniej może życzą sobie ci, którzy wnoszą te ustawy; są one za mało republikańskie dla republikanów, zanadto dla monarchistów i ostatecznie noszą na sobie znamię instytucyj potrzebnych dla osoby dzisiejszego prezydenta. Wątpliwości, namiętności, nadzieje, do tego zaś stopnia są rozbudzone w stronnictwach, że żadne szczerze nie chce nawet ustalenia rządów marszałka Mac-Mahona w obawie, aby ono nie spóźniło godziny własnego zwycięztwa. O Francyi niestety wśród tych marnych zapasów zapominają wszyscy zbyt często. Wobec takiego chaosu cesarzowa Eugenia może bez zbytnich złudzeń oczekiwać dla syna losu, który stał

się przed kilkunastu dniami udziałem syna jej królewskiej rodaczki. W chwilach ogólnego upadku ducha i prostracyi najśmielsi są najsilniejszymi, a stronnictwo bonapartystowskie jest niewątpliwie najśmielszem, już dla tego samego, że wie czego chce i niekrępowane ani żadnemi względami, ani żadnemi teoryami ani może nawet zbytnią uczciwością, zmierza prosto do celu, nie myśląc nawet o pogodzeniu katolicyzmu z liberalizmem, lecz pragnąc jedynie i wyłącznie władzy. Każdy niemal uzupełniający wybór jest nową wskazówką jeżeli nie rzeczywistej siły bonapartyzmu, to przecież tej względnej, o której mówimy, siły bezwzględności w środkach i celach wobec tysiąca skrupułów, wahań i niepewności innych stronnictw. Czy restauracya bonapartystowska położyłaby koniec nieszczęściom Francyi to inne pytanie; to pewna, że nie ona zdolna podnieść poziom moralny tego społeczeństwa, ale chwilowo zapewnić może bieg spokojny i pomyślny interesów, a podobno niestety to daje jej dziś największe rękojmie powodzenia.

We Włoszech, gdzie starożytna dynastya sabaudzka tak uporczywie działa wciąż w interesie rewolucyi, nic może lepiej nie określa położenia rzeczy, jak owo przybycie do Rzymu Garybaldego, na którego spotkanie król wysyła straż honorową, rozwijając jednocześnie w mieście znaczne siły zbrojne, z obawy tej samej rewolucyi, na usługach której sterał swoje dobre imie i swoje nieraz szlachetne popędy na to, aby Garibaldi wystawił mu świadectwo dobrego prowadzenia.

Ten arcynieświetny stan krajów łacińskich zbyt niestety sprzyja ich odwiecznemu wrogowi, uosobnionemu dziś w ks. Bismarku, i jego planom w strasznej walce, którą w imieniu liberalizmu wydał katolicyzmowi i temu wszystkiemu, co nie poczyna się w brutalnej sile faktów. W takiej chwili dał się właśnie słyszeć, pod bokiem wszechpotężnego pana sytuacyi, śmiały głos słabych i zgnębionych, głos protestacyi przeciw brutalnej potędze dokonanych faktów i pogwałceniu najdroższych ludziom praw przyrodzonych.

Wśród tylu upokorzeń szczycić się możemy, że ten głos pełen godności był głosem polskim. A z jaką miarą, z jaką wytrawnością podniesionym on został przez naszych posłów z W. księstwa Poznańskiego! prawdziwy to balsam, gdy przychodzi zastanowić się nad sprawami naszemi, widzieć jak ludzie polityczni tej prowincyi umieją reprezentować i bronić się wobec napaści, z jaką sumiennością, wytrwałością i wyższością spełniają do końca swoje zadanie. I doprawdy przypatrując się im i porównywując, dochodzi się do przekonania, iż najlepszymi są Polacy tam, gdzie im jest najgorzej. Ileż to siły i prawdy było w tem znakomitem przemówieniu niezmordowanego posła Niegolewskiego, który ile razy przypuszcza szturm do nieprzyjaciela, przypomina na zawsze pamiętny dla

nas dzień Samosiery. Nie dziwimy się burzy wywołanej w izbie jego mową, bo wiemy, że zawsze największy powstaje hałas tam, gdzie nie ma nic do odpowiedzenia, i że gdzie braknie argumentów, tam zwykle nie braknie obelg i krzyków.

Na chwilę, wprawdzie tylko w dziennikach wiedeńskich, powstało z łoża boleści widmo sprawy wschodniej. Zatargi między Turkami a ludnością czarnogórską powtarzają się sporadycznie z powodu pastwisk, których własność nigdy dokładnie określoną nie została. Przed kilku laty dyplomacya austryacka usiłowała załatwić tę sprawę, lecz jak tyle innych, bezskutecznie. Nie jest to jednak w mocy ani Czarnogórców ani Turków podnieść, choćby z powodu najżyzniejszych pastwisk, sprawę wschodnią. Jej punkt ciężkości oddawna spoczywa nie w niej samej, ale w ogólnej polityce europejskiej, a zawsze w ręku chwilowo najsilniejszego. Dopóki więc z tej strony nie będzie danym znak do rozpoczęcia jej, mogą się tysiące Turków zabijać z setkami Czarnogórców, bez wywołania sprawy wschodniej w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu.

Położenie Austryi najlepiej acz najsmutniej określa to, że streszcza się ono obecnie całe w procesie p. Offencheima.

St. Koźmian.

W SPRAWIE „PORCYJ."

Ponieważ nieszczęsna sprawa „Porcyj" już i w Warszawskich pismach niejednokrotnie była podnoszoną, i to najczęściej w sposób zupełnie niezgodny z rzeczywistym stanem i przebiegiem rzeczy, sądzimy przeto, iż oddamy usługę szanownym czytelnikom *„Przeglądu Miesięcznego"* przytaczając ze styczniowego zeszytu *„Przeglądu Polskiego"* w dosłownem brzmieniu artykuł p. St. Koźmiana, który tę całą sprawę wyczerpująco traktuje i wyświeca:

„Od dwóch miesięcy pismo nasze stało się tak przez się, jak w osobie naszego współredaktora p. Tarnowskiego, przedmiotem niezliczonych protestów, pocisków, szturmów. Przyzwyczajeni oddawna do hałasów, wrzawy i krzyków, ile razy śmielej podnosiliśmy głos w sprawach krajowych, nie zważalibyśmy na nie zarówno teraz jak przedtem, gdybyśmy nie mieli nic do dodania lub ujęcia w tej kwestyi i gdybyśmy nie czuli doskonale i nie wiedzieli, że w tym wypadku mamy do kogo mówić. Otóż okazało się poprostu, że artykuł *Przeglądu Polskiego* o *Porcyach* nadał zbyt wielkie rozmiary tej sprawie; wolno zaś milczeć wtedy, kiedy się ma przekonanie zupełnej po swojej stronie słuszności, nie wolno od chwili, w której nabiera się świadomości, że się zbłądziło chociażby w najdrobniejszej mierze. Lecz dziś właśnie należy nam przedewszystkiem wytłumaczyć i początek i powód pomyłki.

O *Porcyach* ani Redakcya *Przeglądu Polskiego,* ani autor artykułu nigdy przedtem nie słyszeli, lecz naraz pod koniec ostatniego sejmu i redakcya i autor usłyszeli o nich wiele, bardzo wiele, usłyszeli z ust osób najpoważniejszych w kraju, zajmujących ważne stanowiska, usłyszeli z oburzeniem objawiającem się, jeżeli nie w tych samych, to w równie ostrych wyrazach jak słowa artykułu; usłyszeliśmy od takich osób, iż wobec ich świadectwa, wszelkie sprawdzenie faktu było zbytecznem, niepotrzebnem, dzicinnem; a jeżeliby tym ludziom nie można zawierzyć i zaufać, to komuż nareszcie wierzyć i ufać u nas? Zkąd oni powzięli wiadomość o nieszczęsnym fakcie, niepotrzebowaliśmy nawet badać, gdyż ich oburzenie, zmartwienie i obawy patryotyczne, starczyły nam za najlepszą rękojmię, i byli to ludzie tego znaczenia, że lepiej pomylić się z nimi, jak im nie ufając, swoją miłość własną ocalić. Rzecz musiała się przedstawiać dość groźnie tym mężom politycznym i tym poważnym umysłom, skoro ich zdaniem, powinna się była stać przedmiotem rozpraw sejmowych, a że tak było, na to mamy dowody, aczkolwiek nikogo nie wymienimy, o czem, zdaje się, że dziś już nikt wątpić nie może.

Zapisujemy to tylko dla pamięci, gdyż o tem już wszyscy doskonale wiedzą, którzy wiedzieć chcą. Nie tylko więc obowiązkiem naszym, ale koniecznością dla nas było odezwać się w tej sprawie, obowiązkiem naszym podnieść ją i wyświecić, obowiązkiem wywołać chociażby najprzykrzejszą dyskusyę, a zaiste nie mógł nas wstrzymać wzgląd na obcych i na obce dzienniki, gdyż nieraz dowiedliśmy, że stanowczo zerwaliśmy z tą szkołą, która zamyka oczy na wszystkie nasze błędy i wszystkie zdrożności z obawy, aby się niemi obcy nie cieszyli, a zerwaliśmy dla tego, że obcy tyle już złego o nas napisali, że samą przesadą oskarżenia ich wszelką straciły wartość i dla tego, że tej dobrowolnej cenzurze, krępującej wszelką użyteczność publicystyki poddać się nie możemy i nigdy się nie poddamy, bo jest to wzgląd błahy i urojony wobec piekącej nas rzeczywistości. Nie mogła nas także wstrzymać myśl, że sprawy tej dotąd nie podniosła tak nazwana frakcya Święto-Jurska, bo wiemy doskonale, że przewódzcy tej partyi w tych właśnie stosunkach najmniej są czystymi, a tem samem najmniej pochopnemi do wytaczania ich przed szerszą publicznością. Milczeć więc nie mogliśmy i nie milczeliśmy i dumni z tego jesteśmy, bośmy wyświecili początki złego, aczkolwiek jednocześnie wywołaliśmy burzę oddawna gromadzącą się nad nami, lecz burza nas tylko dotyczy, a początki złego dotykały stosunków krajowych. Że złe było, że *Porcye* czy nie *Porcye*, ale lichwa pod formą najmu zaczęła wchodzić w zwyczaj w niektórych miejscowościach, na to są dzisiaj dowody jawne, a najdobitniejsze znajdują się w polemice przeciw nam prowadzonej, nie mówiąc już o jej gwałtowności, która może nie w jednym wypadku za najmocniejszy starczyćby mogła dowód! Dowodu jednak tego my użyć nie potrzebujemy, bo fakt, jako fakt, stwierdzonym został kilkakrotnie tak w odezwach protestacyjnych, jak i prostujących; innych dowodów dla osądzenia sprawy nie potrzeba, a od nas niech nikt innych nie oczekuje i niech się nikt nie spodziewa, abyśmy ich dostarczyli szpiegowaniem winnych lub wymienieniem tych co się sami do winy przyznawali, delatorami nie będziemy nigdy i nigdzie!

Dla nas świadectwo tych osób, o których wyżej mówimy starczyło od początku za dowód prawdy faktu, jako faktu. Oburzenie zaś ich, myśl podniesienia sprawy w sejmie, były to wrażenia, pod wpływem których umieściliśmy, a p. Tarnowski napisał artykuł o *Porcyach*, one to nadały mu ton i doniosłość, za które przecież nikt oprócz nas nie jest odpowiedzialnym. Okazało się na szczęście, że nasz artykuł pod wpływem tych wrażeń nadał całej sprawie zbyt wielkie rozmiary, niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy, w tem była jedyna ale przyznajemy ważna pomyłka, naprawić ją, sprostować, cofnąć było naszą rzeczą, a nic łatwiejszego jak to uczynić, ile razy działa się lub pisze w dobrej wierze, byle przed dobrą wiarą. Nie czekaliśmy na publiczne protesta, groźby, i burze, lecz ufając zdaniom poważnych, a obeznanych ze stosunkami osób, które prywatnie i powiedzmy to w sposób jedynie ich godny, bo zgodny z naszą godnością, odezwały się do nas, pospieszyliśmy cofnąć to co okazało się być pomyłką w naszym artykule i mieliśmy nadzieję, że list p. Tarnowskiego do p. Hoppena zadowolni pod tym względem tych, na zadowolnieniu, których jedynie nam zależało. Lecz wtedy właśnie najgwałtowniejsza zerwała się burza, najsilniejszy przypuszczono do nas szturm, a do tego pospolitego przeciw nam ruszenia, tyle weszło czynników, tyle wmięszało się żywiołów, że położenie zmieniwszy się naraz zupełnie, nie dozwalało się nam odzywać dla tego, że widocznie nie mieliśmy już wtedy do czynienia z samą dobrą wiarą. Że jednak w tym chaosie niesfornych głosów odzywały się także głosy uczciwe, a tem samem doniosłe, które zawsze umieliśmy od innych rozróżnić i uszanować, pragnęliśmy aby im zadość uczynić i uspokoić je, raz jeszcze przemówić. Nie szło nam wcale o samą rzecz, bo od chwili w której przekonaliśmy się w czem zaszła pomyłka, nic

dla nas nie było łatwiejszego, jak cofnąć ją najzupełniej i najstanowczej, ale szło nam o sposób cofnięcia jej, a niewątpliwie uczciwi i dobrej wiary zrozumieją, że nam na tem zależeć musiało, tak jak inni tego nigdy pojąć niezechcą lub nie potrafią. Uchwyciliśmy też pierwszą sposobność, aby w liście p. Tarnowskiego do p Rozwadowskiego, cofnąć stanowczo, lojalnie, dobitnie, z przytoczenim ustępów, wszystko co zgodnie z wyświeconą prawdą było do cofnięcia, a co mogło było słusznie obejść uczciwych, poważnych, przez nas poważanych. Poszliśmy nawet dalej, bośmy usiłowali usunąć podejrzenie o myśli, których nigdy nie mieliśmy, ale które nam podsunięto. Słowem list pana Tarnowskiego do pana Rozwadowskiego był zadośćuczynieniem, wszystkim uczciwym uczuciom obudzonym tą sprawą, był i jest stwierdzeniem, że aczkolwiek lichwa pod formą najmu, zaczęła ukazywać się w niektórych miejscowościach, przecież pomyliliśmy się obawiając się w chwili pierwszego przerażenia, że ogarnęła już ona całe powiaty, że tem samem nie można czynić za nią odpowiedzialnem obywatelstwo żadnej części kraju, nie mówiąc już o tem, że nigdy nie myśleliśmy rzucać rękawicy ani szlachcie w ogóle, ani obywatelstwu wschodniej części kraju. Takie jest znaczenie listu pana Tarnowskiego do pana Rozwadowskiego, a nim szczerze, otwarcie, bez ogródek naprawiliśmy pomyłkę, a naprawili w sposób jedynie nas godny, a więc jedynie godny tych, do których jedynie w tej sprawie godzi się nam odzywać.

Takie było do tej chwili nasze postępowanie, a obecnie nie mamy już nic ani do ujęcia, ani do dodania do niego i chętnie, ze spokojem sumienia, przyjmujemy wraz z p. Tarnowskim odpowiedzialność za nie, wobec sądu uczciwych ludzi tak w teraźniejszości jak i w przyszłości.

Lecz teraz niech nam wolno będzie zastanowić się i zbadać postępowanie względem nas w tej sprawie, gdyż tu dopiero zaczyna się nauka. W bezprzykładnej burzy która zagrzmiała nad nami, rozróżniamy zawsze jak już powiedzieliśmy, dwa główne czynniki; uczciwość i dobrą wiarę oraz namiętność, zawiść, zemstę, złe skłonności wielkie i drobniutkie miłości własne, słowem cały ten zastęp, który stanowi jeden ściśnięty szereg, złej wiary. Głosy wszystkich tych czynników zmięszała z sobą i pomieszała agitacya ten zatruty napój, którym zawsze tak łatwo upija się nasze spółeczeństwo Ztąd powstało błędne położenie, ztąd pochodzi całe złe. Pojmujemy, że nasz artykuł, nadając sprawie rozmiary, których jak się pokazuje ona jeszcze nie miała, mógł, a nawet powinien był wywołać protesta i sprostowania uczciwych ludzi, szanujemy je i uszanowaliśmy w listach p. Tarnowskiego. Głosów takich ani możemy, ani chcemy lekceważyć; nie chcemy i nie możemy lekceważyć oświadczeń Rad Powiatowych i tym wszystkim głosom, o ile mogliśmy je rozróżnić od wrzasków chałastry pospolitego ruszenia, uczyniliśmy zadość. Wiele z nich wyrażonych było w formie spokojnej, treściwej i godnej, aczkolwiek nie wszystkie Rady Powiatowe odznaczały się tą wstrzemięźliwością w formie, na której gdyby się ogół był ograniczył, byłaby ona nam niewątpliwie ułatwiła odpowiedzi zadośćuczynienia w słusznej mierze. Lecz uragan agitacyi zwinął w jeden kłąbek wszystko co napotkał i uderzył nim w nas, jakby taranem i raptem poważna sprawa przemieniła się w istny zajazd, tylko że nie na Soplicowski dom, ale na *Przegląd Polski* i okazało się, że pewne zwyczaje i zbyczaje narodowe nie zostały wcale wykorzenione ani przez czas, ani przez odmianę okoliczności, a pod nie zupełnie szlachetnym godłem: wszyscy na jednego, ruszył na nas zajazd:

Soplico, rzekł, odwieczny wrogu mej rodziny
Dziś skarżę cię *za dawne i za świeże winy*
Dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!
. . . .
I „hejże na Soplicę“ tysiąc głosów wrzasło

Gdy inna szlachta była, zwyczajem powstania
Burzliwa i niezmiernie skora do wieszania;

wieszać chciano koniecznie.

A jakież to różnorodne żywioły wzięły udział w tej wyprawie, żywioły, między któremi szlachcie przedewszystkiem nie powinno być przyjemnie się znajdować. Wszyscy, którym pismo takie jak *Przegląd Polski* narażać się musiało przez dziewięć lat swojego istnienia, uchwycili tę sposobność, aby przeciw niemu wyruszyć i zemścić się. Wyruszyły więc w pole zawiść i zazdrość, obrażona miłość własna autorska, odepchnięta zarozumiałość studencka, wyśmiana głupota, zdemaskowana niesumienność dziennikarska, zniweczone ambitne a samolubne zamiary, wyruszyły w pierwszym szeregu dzienniki lwowskie, a te miały za co się mścić. Wyruszyli ci, którzy nie zawsze lubią niezależność zdania. Skorzystano z tej sposobności, aby nawet za przegląd literacki naszego pisma pomścić się dowcipnemi felietonami. — Cóż dziwnego, że w takiej ciżbie uczciwi i dobrej wiary ludzie znikli i nie mogli w niej utrzymać ładu, porządku, przyzwoitości. To też nie zawsze szlachetnej broni użyto podczas tej walki i posługiwano się fortelami, które uczciwi i dobrej wiary, nie wątpimy o tem, potępiali. Co do nas odeprzeć nam przedewszystkiem należy, już nie z oburzeniem, ale z całą siłą przekonania i dobrego sumienia myśl, abyśmy owym artykułem chcieli wydawać lub prowadzić wojnę zachodniej Galicyi ze wschodnią. Nigdy, dzięki Bogu, nie staliśmy na śmiesznem i zgubnem stanowisku antagonizmu między zachodnią a wschodnią Galicyą i zawsze razem ze szerszą publicznością polską z politowaniem, przypatrywaliśmy się tym liliputowym zapasom. Ile razy wytykaliśmy błędy lub wady naszego społeczeństwa, nierozróżnialiśmy zachodniej od wschodniej Galicyi i zarówno wyśmiewaliśmy śmieszności Krakowa jak Lwowa. Zkądże więc ten zarzut? Zkąd to narzucanie nam i wpieranie w nas antagonizmu, któremu zawsze pozostawaliśmy obcymi, zostawiając tuzinkowym mężom stanu, tuzinkowym trybunom i niedorosłym obywatelom tę rozkoszną igraszkę konieczną dla nich, ale nie dla nas, bo bez niej może nie umieliby być ani mężami stanu, ani trybunami ani obywatelami. Lecz ten zarzut potrzebnym był agitacyi, aby roznamiętnić sprawę a nas zohydzić, wiedziano jak uderzyć w słabą stronę, użyto więc i tego środka, a ktokolwiek ze wschodniej Galicyi śmiał powiedzieć nieśmiałe słowo w naszej obronie, ten tem samem uchodził za zachodniaka, za członka partyi krakowskiej, za zdrajcę wielkiej sprawy wschodu! Dalecy od tej śmieszności czujemy się zupełnie wolni od niej; oby wszyscy nasi chwilowi przeciwnicy mogli to samo o sobie powiedzieć.

Ciekawą zaiste pozostanie kartą w dziejach Galicyi, cała ta sprawa tak gwałtownie przeciw nam podniesiona, a karta może nienajświetniejsza. Że po dziesięciu latach istnienia naszego pisma, rzucono na nas podejrzenie i oskarżenie, iż stało się antiszalecheckiem, że wyzwało szlachtę, to nas nie dziwi, bo znaną nam jest sumienność agitacyj, ale żeby temu uwierzyła znaczna część szlachty, to zaiste rzecz, która może nas w zdumienie wprowadzić, a którą zamiast kłaść na karb czego innego, wolimy wytłumaczyć sobie tem, że przez te dziewięć lat szlachta mało kiedy nas czytała. Jakto? więc my pismo konserwatywne, okrzyczane i wyklęte przez wszystkich demokratów, demagogów i tromtadratów, my naraz stajemy się pismem antiszlacheckiem i szlachta uderza na nas z zawziętością, z jaką nigdy nie uderzyła na nas demagogia!? Ależ chwila zastanowienia powinna była tu wystarczyć i przekonać, że samobójstwa nie chcieliśmy i nie mogliśmy popełnić, a samobójstwem byłoby w naszych stosunkach dla pisma zachowawczego rzucać rękawicę

i wyzywać lub zrywać ze szlachtą; na kogoż więc będziemy ostatecznie rachować, na kim się opierać, dla kogo pisać, jeżeli odepchniemy szlachtę? — Zastanówcie się Szanowni Panowie i osądźcie sami, a dojdziecie niewątpliwie do przekonania, że cała nasza praca i całe nasze działanie od dziewięciu lat miały głównie na celu i myśli szlachtę, a to dla tego, że w niej widzimy najważniejszą podstawą naszego bytu i najdzielniejszą dźwignię naszego społeczeństwa. Tak jest, ale my inaczej rozumiemy sojusz i przyjaźń jak ci, którzy chcą w was weprzeć, żeśmy wam rzucili rękawicę Nasza przyjaźń nie polega na schlebianiu i pochlebianiu, ale na wypowiedzeniu choćby przykrych rzeczy, na zbadaniu i zrozumieniu prawdziwego interesu tych, których bronimy i kochamy i na wskazaniu im go, chociażby to im chwilowo nie dogadzało. Dlatego właśnie, że przedewszystkiem idzie nam w naszem społeczeństwie o szlachtę, o jej byt moralny i materyalny, o jej przyszłość, nigdy nieomieszkaliśmy jej otwarcie i stanowczo wypowiedzieć, co zdaniem naszem w dzisiejszych okolicznościach i zmienionych stosunkach zapewnić może jedynie ten jej byt i tę przyszłośc i to w narodzie stanowisko, z którego nigdy nie radzibyśmy ją widzieć schodzącą. Dlatego to tyle razy wołaliśmy o załatwienie sprawy propinacyjnej, o reformę gminną, o ustawę drogową uwzględniającą najważniejsze stosunki tego kraju, o szkoły wiejskie i o rozróżnienie chłopa ruskiego od frakcyi Sto Jurskiej, dlatego to nareszcie odezwaliśmy się na pierwszą o nich wiadomość o *Porcyach*, a jeżeli odezwaliśmy się tak gorąco, to może dlatego, że w tych samych kwestyach dotyczących najważniejszej dla wspólnych interesów sprawy, nie zawsze byliśmy wysłuchani. Zapewne! dzienniki : jak *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski* nienawidzące zachowawczego żywiołu szacheckiego, nie powiedziały mu nigdy prawdy, nigdy na seryo nie wystąpiły za reformą stosunków naszych w duchu zachowawczemu interesowi odpowiednim, i nie spieszyły się wcale, żeby to wykazywać. Za cenę prenumeraty dziennika i tej lub owej pseudo-patryotycznej ofiary, można było mieć sauf-conduit na różne grzechy i grzeszki. Można było zawsze wynająć tę demokracyą w służbę pańskich ambicyj i marzeń szlacheckich. Zapewne! tą drogą nigdy iść nie mógł „*Przegląd Polski.*“ Im droższe mu były prawdziwe konserwatywne interesa, a więc i interes szlachty, tem bezwzględnie musiał występować w popieraniu reform zabezpieczających te interesa przeciw słabości, lenistwu, zastojowi tych, którym bezkarnie z uśmiechem na ustach przepuszczała demokratyczna prasa. Im bardziej mu chodziło o czystość historycznej tarczy herbowej, tem silniej przeciw każdej plamie na niej występować musiał. I dzisiaj może on powiedzieć z całym spokojem: przesada, której się dopuściliśmy, była skutkiem prawej gorliwości, jakoż cofnięta została uczciwie i szczerze. Możemy ze spokojnem sumieniem przypatrywać się, czy po raz niestety wielokrotny, nie powtórzy się widok, jak na prawdziwego bo prawdomownego przyjaciela, powiodą szlachtę polską ci, którzy ją tylokrotnie (a najwyraźniej w r. 1863) do ruiny prowadzili! Nie, Szanowni Panowie, to nie był głos nienawiści, lekceważenia lub pogardy, to był głos prawdziwej życzliwości, dobrze i uczciwie zrozumianej przyjaźni. Po dziesięciu latach walki o zasady zachowawcze, a więc o interesa i stanowisko szlachty w naszem społeczeństwie, doczekaliśmy się najazdu szlacheckiego na nasze pismo, może to być przykrem i zadziwić, zachwiać nas nie potrafi; tylko smutnem wzbogaca nas doświadczeniem, co do możności utworzenia u nas partyi konserwatywnej, a w końcu mogłoby w nas wpoić przekonanie, że jeżeli jest przeciw komu u nas walczyć w imieniu zasad zachowawczych, to nie ma dla kogo

A przecież już towarzystwo, w którem znalazła się szlachta w tym zajeździe na nasze pismo, powinno być dla niej dostateczną przestrogą. Zadziwiającem to jest, jak wszystkie organa demokratyczne uderzają na nas na wyścigi za ten antiszlachecki artykuł; powinnoby to starczyć

za dowód, że ten artykuł nie był tak dalece antiszlacheckim jak się niektórym wydaje. Ale bo też nietylko że nie był on antiszlacheckim, ale był w każdej swej zgłosce szlacheckim, bo nie rozróżniał szlachectwa od szlachetności. I doprawdy towarzystwo, w którem znaleźli się nie ci, którzy spokojnie i godnie pospieszyli sprostować fakta i zmniejszyć rozmiary sprawy poruszonej przez *Przegląd Polski*, ale ci, którzy tak gwałtownie i zawzięcie na nas uderzyli, powinno było ich opamiętać o ile do zachowawczego zaliczają się obozu, a zaiste nie najmniej dziwną stroną tej sprawy jest, że ci którzy chcą bronić honoru szlacheckiego, bronią go przeciw *Przeglądowi Polskiemu* w *Dzienniku Polskim* i w *Gazecie Narodowej* i że może niejeden z tych, kto y przyklasnął *Królowej Opinii* przypuszcza dziś szturm do nas za pomocą organów, których ciągłem zadaniem było bezczeszczenie szlachty na to, aby podkopać jej wpływ i zrzucić ją z przynależnego jej w narodzie stanowiska. Takiego zamieszania pojęć, takiego przeistoczenia ról dokazać mogła tylko niezwykła agitacya, której nie szło o rzecz lecz o osoby, nie o *Porcye* lecz o *Przegląd Polski*, a która kierowaną jest niewątpliwie przez tych wszystkich; o których wyżej wspominamy, a którzy oddawna wyczekiwali sposobności, aby się zemścić i zadość uczynić, czy to zawiści, czy zazdrości, czy obrażonej miłości własnej, czy ukróconej dumie. Dość, że kiedy przez tyle czasów organa krajowe rozgłaszały największe niegodziwości o szlachcie, milczano i znoszono to spokojnie, uśmiechają się zaledwie grzecznie nam, którzy nie milczeliśmy, lecz gdy szlachcie powiedziano, że organ szlachecki rzucił jej rękawicę, ona w to natychmiast uwierzyła i z niezwykłą zaciętością rzuciła się na niego. Wierzajcie panowie, popchnięto was nietylko do domowej, ale do bratobójczej wojny, do walki pod jednym namiotem i niedziwcie się, jeżeli kiedy w następstwie padniecie pod ciosami odwiecznego, nieubłaganego a prawdziwego wroga waszego. Mniejsza o nas, lecz zważcie, że waszem postępowaniem odstraszający stawiacie przykład dla tych wszystkich, którzyby chcieli kiedykolwiek sumiennie a bezinteresownie bronić waszych interesów i waszego w społeczeństwie stanowiska. Jakże stawać w obronie zachowawczych zasad, przy takiem postępowaniu zachowawczych w kraju czynników? Pamiętajcie że przez to dla waszych obrońców gotujecie los Don Quichottów!

Lecz nie dziwimy się temu wszystkiemu zbytecznie, bo znamy potęgę agitacyi mianowicie w naszem społeczeństwie, bo wiemy że co Don Bazilio mówi o potwarzy, jest zawsze i wszędzie głęboką prawdą, bo wiemy że w danym razie i przy pewnym stopniu rozgrzania umysłów, najpoczciwsze najlepsze żywioły bezwiednie dają się porwać i zmięszać z nieczystemi i złowrogiemi, szczególniej jeżeli jak tu miały powód. Wiemy że agitacya jak bryła śniegu coraz niżej spadając zamienia się w lawinę i porywa ze sobą bez różnicy wszystko co na drodze napotyka. Ale przecież wśród takich zajść społecznych nadchodzi zawsze dla uczciwych i rozumnych chwila, w której zatrzymać się mogą. O ile na to przebieg sprawy pozwalał zrobiliśmy wszystko, aby tę chwilę przyspieszyć, a niewątpliwie każdy bezstronny przyzna, że nie ułatwiono nam zadania sposobem jakim w ogóle prowadzono wojnę. Ale bo też jeżeli uczciwym i dobrej wiary szło o sprostowanie całej sprawy, to innym, jak powiedzieliśmy, szło tu o zudełnie coś innego, każdemu z osobna o coś innego, a wszystkim o jedno; a ci wszyscy uchwycili w lot sposobność. Ztąd to urosła istna literatura *Porcyj* z drukowanych i pisanych, z podpisami i anonimwych dokumentów złożona. Ile w nich było elukubrazyi bałamuctw lub złej wiary, nienawiści i zemsty nie będziemy się długo rozwodzić. Tam to żądano na przemian a na różne nuty od autora artykułu dwóch rzeczy niemożliwych, bo albo zupełnego odwołania faktu, albo wymienienia nazwisk. Pierwsze byłoby nieprawdą zadającą samemu sobie kłam, drugie niegodną nas rzeczą. Nieprawdą bo fakt w małych rozmiarach był stwierdzonym, a nawet przyznanym

w niektórych listach żądających zupełnego odwołania. Mówiono: czemu autor nie chce wierzyć wszystkim, że Porcyj czy też lichwy pod formą najmu, nie ma, a wierzył niektórym, że są? Ależ bo protestujący mówili za siebie tylko, że nie słyszeli i nie wiedzą, a oprócz nich jest ludzi wiele w Galicyi, a między tymi wieloma, byli tacy, którzy mówili, że sami zaprowadzają *Porcye*, żądać zaś ich wymienienia, było to lub nie znać nas, lub zapoznawać stanowisko naszego pisma. Żądać od nas denuncyacyi, to zaiste trochę zawiele, i takie żądanie przypisać chyba musimy zbytniemu oswojeniu się z takiemi dziennikami jak *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski*, do których tym żądaniem chciano nas zniżyć, a co zawsze odepchniemy stanowczo, bo jeżeli nigdy nieprowadziliśmy i prowadzić nie będziemy wojny ze wschodnią Galicyą w imieniu zachodniej, to nie kryjemy się z tem, iż dotychczasowe dziennikarstwo lwowskie mamy za jednę z plag tego kraju. I od nas, którzy ogłosiliśmy *Królową Opinią* żądano postępowania godnego jedynie owych dzienników!

Żądano nazwisk, a opowiadano nam, że na pewnym wieczorze, na którym układano plan kampanii w tej sprawie, podniosły się głosy twierdzące, że nazwiska podobnych osób znajdowały się pod owemi dokumentami, w których nazwisk żądano. Czy to prawda, czy bajka, niech powie kto umie bajki przytaczać. My nie twierdzimy bynajmniej i wolimy, żeby to było bajką, ale i o tem donoszono nam, jako o znaczącym wielce symptomacie agitacyi, gdyż takie podpisy, jak mówiono, miały być położone jedynie przez uczucie solidarności!

Słowem wyczerpano wszystko, użyto wszystkiego na co tylko zdobyć się można było, agitacya posługująca się zemstą i nienawiścią wysiliła się w szumnych protestach, po dziennikach podejrzanej wartości moralnej, i w listach prywatnych; jak między protestami tak między listami były poważne i te umiemy uszanować, ale były i niegodziwe, któremi pogardzamy i szalone, z których się tylko śmiać możemy. Był nawet jeden *Poczciwej Polki*, który wartby był ogłoszenia dla rozweselenia całej sprawy. A jakich groźb nie użyto w tej literaturze porcyowej, anonimowej i nie anonimowej, od najpospolitszych do wołania, aby autor artykułu złożył mandant poselski i, krzyków, że mu nikt nie poda ręki, że wszyscy raczej wyjdą z sejmu! Śmiesznemby to wszystko było, gdyby nie było wstydem, że agitacya zmieszała poważne i uczciwe głosy z wszystkiemi temi przesadami, niedorzecznościami i niegodziwościami.

Ależ nareszcie przyszła chwila stanowczego stwierdzenia, że to co było do naprawienia w tej sprawie, naprawionem zostało i że wszystko to, co do czego innego zmierzało, było tylko wrzawą i hałasem wywołanym przez poruszenie się tych wszystkich, którzy mając sumienie nieczyste, bali się, że kto dziś uderzy, na *Porcye*, jutro może powstać na co innego i chcieli go sterroryzować, aby siedział cicho. Wołała i dobra wiara i urażony honor, a tym zadość uczyniono. Ale wrzeszczała i intryga i bezmyślność odurzona swoim własnym krzykiem, a było to nieuniknionem wobec stanowiska, jakie zawsze zajmowało nasze pismo, ale dobra wiara i honor nie mogą dopomagać tym, którzy chcą albo się zemścić za przeszłość, albo zabezpieczyć na przyszłość.

St. Koźmian.